

# SOPHIE KINSELLA



## SPÓJRZ MI W OCZY, AUDREY



Media Rodzina

**SPÓJRZ MI W OCZY,  
AUDREY**



**SOPHIE  
KINSELLA**

**Media Rodzina**

Dla wszystkich moich dzieci, które – każde na swój sposób –  
zainspirowały mnie do napisania tej książki.

Ja nie mogę, mama zwariowała.

Ale nie tak zwyczajnie, jak to mama. Tym razem kompletnie jej odbiło.

Normalnie jej fiksacja wygląda tak, że mama mówi:

– Słuchajcie, przechodzimy na dietę bezglutenową. Jest niesamowita! Czytałam o niej w „Daily Mail”.

Idzie do sklepu i kupuje trzy bochenki chleba bezglutenowego. Jest w smaku tak ohydny, że wykrzywia nam twarze. Cała rodzina się buntuje, a mama ukradkiem zakopuje swoje kanapki w ogrodzie, więc już po tygodniu kończymy dietę.

To normalna szajba. Tym razem jednak sprawa jest poważna.

Mama stoi przy oknie swojej sypialni z widokiem na placyk przy Rosewood Close, gdzie mieszkamy. Chociaż nie – „stoi” to zbyt normalne słowo, a mama w żadnym razie nie wygląda na normalną. Z obłędem w oczach wychyla się i niemal wisi za oknem. Trzyma w rękach komputer mojego brata Franka. Komputer niebezpiecznie balansuje na krawędzi parapetu. Zaraz spadnie i roztrzaska się o ziemię. Kosztował siedemset funtów.

Zapomniała? Siedemset funtów. Wciąż nam powtarza, że nie znamy prawdziwej wartości pieniądza. Ciągłe mówi coś w stylu: „Wiecie, ile się trzeba naharować, żeby zarobić dziesięć funtów?” albo: „Nie marnowalibyście tyle prądu, gdybyście sami musieli za niego płacić”.

No i jak to się ma do harowania na sprzęt wart siedemset funtów tylko po to, żeby go wywalić za okno?

Na trawniku pod oknem miota się Frank w T-shircie z nadrukowaną scenką z *Teorii wielkiego podrywu*. Trzyma się za głowę i jest tak spanikowany, że usta mu się nie zamykają.

– Mamo! – Ze strachu ma piskliwy głos. – Mamo, to komputer. Mój komputer!

– No pewnie, że to twój komputer! – odkrzykuje histerycznie mama. – Myślałeś, że nie wiem?

– Mamo, proszę, możemy o tym porozmawiać?

– Już próbowałam z tobą rozmawiać! – odgryza się mama.

– Próbowałam do ciebie dotrzeć po dobroci i złością, błaganem, logiczną argumentacją, a nawet przekupstwem... Próbowałam wszystkiego! Wszystkiego, Frank!!!

– Komputer jest mi potrzebny!

– Wcale ci nie jest potrzebny! – Mama krzyczy tak wściekle, że aż przechodzą mnie dreszcze.

– Mamusia wyrzuca komputer! – woła Felix. Wybiega na trawnik i zadziera głowę, patrząc z radosnym niedowierzaniem.

Felix to nasz młodszy brat. Skończył cztery lata. Radosne niedowierzanie to jego typowa reakcja na większość zdarzeń w życiu. Ciężarówka na ulicy! Ketchup! Długaśna frytka! Mama wyrzucająca komputer za okno to dla niego po prostu jeden z codziennych małych cudów.

– No właśnie – mówi przez zaciśnięte zęby Frank. – Jeśli to zrobi, komputer się zepsuje i już nigdy, przenigdy nie zagrasz w *Gwiezdne wojny*.

Felix marszczy się, na jego twarzy pojawia się przerażenie, co wzbudza u mamy nową falę złości.

– Frank! – wrzeszczy. – Nie strasz brata!

Po jakimś czasie nasi sąsiedzi z naprzeciwka, McDuggansowie, podchodzą pod dom, żeby popatrzeć, co się dzieje. Kiedy do ich dwunastoletniego syna Olliego dociera, co mama zamierza zrobić, chłopak wydaje z siebie przeciągły krzyk:

– O nieeee! Pani Turner!

Przebiega przez ulicę na nasz trawnik i razem z Frankiem błagalnie unosi wzrok.

Ollie od czasu do czasu gra z Frankiem w *Ziemię zdobywców*, kiedy mój brat jest w łaskawym nastroju i nie ma z kim zagrać. Wygląda na zdruzgotanego jeszcze bardziej niż Frank.

– Proszę, pani Turner, niech pani nie psuje komputera – mówi łamiącym się głosem. – Są na nim zapisane wszystkie komentarze Franka do gry. Takie śmieszne. – Zerka na Franka. – Naprawdę są śmieszne.

– Dzięki – mamrocze Frank.

– Twoja mama zachowuje się jak... – Ollie nerwowo mruga. – Jest jak Wzmocniona Bogini Wojny z poziomu siódmego.

– Jak kto? – chce wiedzieć mama.

– To komplement – odpowiada Frank i zde gustowany przewraca oczami. – Nie zadawałabyś takich pytań, gdybyś chociaż raz zagrała.

– Potem poprawia Olliego: – Z poziomu ósmego.

– Aha, rzeczywiście, z ósmego. – Ten gorliwie potakuje.

– Nie umiecie się nawet porozumiewać po ludzku! – denerwuje się mama. – Prawdziwe życie nie składa się z poziomów!

– Mamo, proszę – jęczy Frank. – Zrobię, co zechcesz. Załaduję zmywarkę. Będę co wieczór dzwonił do babci. Będę... – desperacko szuka pomysłu. – Będę czytał głuchym.

Będzie czytał głuchym? Czy on sam słyszy, co wygaduje?

– Głuchym?! – wybucha mama. – Głuchym?! Nie każę ci czytać głuchym! Jedynym głuchym w okolicy jesteś ty! Nigdy nie słyszysz, co do ciebie mówię, bo wciąż nosisz na uszach te cholerne słuchawki...!

– Anne!

Odwracam się i widzę, że tata wkracza do akcji, a kolejna para sąsiadów wychodzi przed drzwi swojego domu. Zatem już mamy sprawę dla patrolu sąsiedzkiego.

– Anne! – znowu krzyczy tata.

– Nie próbuj mnie powstrzymać, Chris – ostrzega mama i widzę, jak tacie podskakuje grdyka.

Tata jest wysoki i przystojny, pasowałby na przykład do reklamy samochodów, a właściwie wygląda jak boss, ale tak naprawdę nie jest samcem alfa.

Nie, to niezupełnie odpowiada prawdzie. Pod wieloma względami chyba jest alfą. Tyle że mama jest nią jeszcze bardziej. Silna, władca, ładna i władca.

Powiedziałam dwa razy „władca”?

No cóż, sam wyciągnij z tego wniosek.

– Wiem, że się złościś, kochanie – mówi polubownym tonem tata.

– Ale nie sądzisz, że trochę przesadzasz?

– Przesadzam?! To on przesadza! Chris, on jest uzależniony!

– Nie jestem uzależniony! – wrzeszczy Frank.

– Chcę tylko powiedzieć, że...

– Co? – Mama w końcu odwraca głowę, żeby dobrze przyjrzeć się tacie. – Co chcesz powiedzieć?

– Że jeśli zrzucisz go tutaj, to uszkodzisz samochód. – Twarz taty wykrzywia na chwilę grymas. – Może przesunąć się trochę w lewo...

– Mam w nosie twój samochód! Przebrała się miarka, kochany syneczku!

Jeszcze bardziej odchyła komputer na krawędzi parapetu, wywołując głośne westchnienie u wszystkich – nawet u sąsiadów.

– Kochany?! – Teraz Frank krzyczy na mamę. – Gdybyś mnie kochała, nie próbowałabyś zniszczyć mi komputera!

– A gdybyś ty mnie kochał, Frank, nie wstawałbyś o drugiej w nocy, żeby w tajemnicy przede mną pograć w sieci z Koreańczykami!

– Wstałeś o drugiej w nocy? – Ollie robi wielkie oczy i zerka na Franka.

– Dla treningu. – Frank wzrusza ramionami. – Trenowałem – powtarza z naciskiem, patrząc na mamę. – Czeka mnie turniej! Zawsze powtarzałaś, że powinienem mieć w życiu jakiś cel! No to mam!

– Gra w *Ziemię zdobywców* nie jest celem! O Boże... – Mama opiera się czołem o komputer. – Gdzie popełniłam błąd?

– Och, Audrey – mówi Ollie. Dostrzegł mnie. – Cześć, co u ciebie?

Spłoszona cofam się w głąb pokoju. Moje okno, dyskretnie oddalone, znajduje się na rogu domu. Nie spodziewałam się, że ktoś mnie zobaczy. A już na pewno nie Ollie, który – jestem tego pewna – trochę się we mnie zakochał, chociaż jest dwa lata młodszy ode mnie i sięga mi ledwie do piersi.

– Patrzcie, jest i gwiazda! – dowcipkuje tata Olliego, Rob. Od czterech tygodni nazywa mnie gwiazdą, chociaż mama i tata prosili go, żeby przestał. Wydaje mu się, że jest zabawny, a moim rodzicom brakuje poczucia humoru. (Często odnoszę wrażenie, że ludzie utożsamiają żartobliwość z byciem nietaktownym dupkiem).

Tym razem jednak wygląda na to, że moi rodzice nawet nie usłyszeli tej arcyśmiesznej uwagi. Mama dalej jęczy: „Gdzie popełniłam błąąąąą?”, a tata zerka na nią zaniepokojony.

– Nigdzie nie popełniłaś błędu! – krzyczy do niej. – Nie ma się czym

przejmować! Kochanie, chodź się napić. Odstaw ten komputer... na razie – dodaje czym prędzej, widząc jej minę. – Później możesz go wyrzucić przez okno.

Mama pozostaje nieruchoma. Komputer jeszcze niebezpieczniej kołysze się na parapecie, wywołując u taty spazm.

– Kochanie, boję się o samochód... Dopiero go spłaciliśmy...

Podchodzi do auta i rozkłada ręce, jakby chciał go ochronić przed spadającym żelastwem.

Ollie jakby nagle się ocknął.

– Przynieście koc! – mówi. – Ratuście komputer! Potrzebujemy koca. Staniemy w krąg...

Mama chyba go nie słyszy.

– Wykarmiłam cię! – skrzeczy na Franka. – Czytałam ci *Kubusia Puchatka*! Chciałam, żebyś wyrósł na takiego człowieka, który lubi książki, sztukę, przebywanie na świeżym powietrzu, muzea, a może też jakiś sport oparty na rywalizacji...

– *Ziemia zdobywców* to właśnie rywalizacja! – krzyczy Frank. – Nic o niej nie wiesz! To poważna sprawa! Pula nagród w międzynarodowym turnieju *Ziemi* w Toronto wynosi w tym roku sześć milionów dolarów!

– Już to słyszałam! – wybucha mama. – I co? Może masz zamiar wygrać? Myślisz, że zbijesz fortunę?

– Możliwe. – Frank patrzy na nią morderczym wzrokiem. – Jeśli wystarczająco długo potrenuję.

– Frank, otrząśnij się! – Głos mamy odbija się echem od ścian domów wokół placyku. Jest tak przenikliwy, że można się przestraszyć. – Nie weźmiesz udziału w międzynarodowym turnieju *Ziemi zdobywców*, nie wygrasz tych cholernych sześciu milionów ani nie utrzymasz się z grania na komputerze! TO SIĘ NIE ZDARZY!



## *Miesiąc wcześniej*

Wszystko zaczęło się od „Daily Mail”. Wiele spraw toczących się w naszym domu zaczyna się od artykułów w „Daily Mail”.

Mama zaczyna się niespokojnie wiercić, jak to ona. Zjedliśmy kolację i sprzątnęliśmy ze stołu, a teraz mama czyta gazetę przy lampce wina. Nazywa to „czasem dla siebie”. Zatrzymała się na dłużej przy jednym z artykułów. Zerkam nad jej ramieniem i widzę tytuł:

OSIEM SYMPTOMÓW, KTÓRE ŚWIADCZĄ O UZALEŻNIENIU TWOJEGO DZIECKA OD GIER KOMPUTEROWYCH.

– O mój Boże – mamrocze pod nosem. – O Boże.

Przesuwa palcem w dół strony i słyszę, jak jej oddech przyspiesza. Zaglądam jeszcze raz i udaje mi się wyłowić jeden z podtytułów:

7. Drażliwość i huśtawka nastrojów.

Ha. Ha, ha.

Jeśli masz wątpliwości, tak brzmi w moim wykonaniu pusty śmiech.

No bo wiesz – „huśtawka nastrojów”? Poważnie? James Dean był humorzystycznym nastolatkiem w *Buntowniku bez powodu* (mam plakat do tego filmu – najlepszy plakat filmowy wszech czasów, najlepszy film wszech czasów, najseksowniejszy aktor wszech czasów – dlaczego, ach, dlaczego musiał umrzeć?). Czy to znaczy, że James Dean był uzależniony od gier komputerowych? Zaraz, zaraz.

Na pewno.

Nie ma jednak sensu wytykać tego mojej mamie, bo tu chodzi o logikę, a mama w nią nie wierzy. Woli wierzyć w horoskopy i zieloną herbatę. Aha, i oczywiście wierzy „Daily Mail”.

## OSIEM SYMPTOMÓW, KTÓRE ŚWIADCZĄ O UZALEŻNIENIU MOJEJ MAMY OD „DAILY MAIL”

Czyta ją codziennie.

Wierzy we wszystko, co tam piszą.

Jeśli próbujesz zabrać gazetę, wyrywa ci ją z rąk i tuli do siebie, jakbyś usiłował wykraść jej ukochane dziecko.

Kiedy przeczyta sensacyjny artykuł o witaminie D, każe nam zdjąć bluzki i „zażyć kąpieli słonecznej”. (Nawet kosztem odmrożenia).

Kiedy przeczyta sensacyjny artykuł o czerniaku, każe nam się smarować kremami z filtrem UV.

Kiedy przeczyta artykuł o „kremie do twarzy, który NAPRAWDĘ działa”, od razu go zamawia. To znaczy, wyjmuje iPada i robi to w tej samej chwili.

Jeśli na wakacjach nie może dostać „Daily Mail”, wykazuje objawy silnego zespołu odstawienia. Patrz: drażliwość i huśtawka nastrojów.

Pewnego razu próbowała przerzucić się na „Lent”. Wytrzymała pół przedpołudnia.

No trudno. Nic nie poradzę na to tragiczne uzależnienie mojej mamy. Mogę jedynie mieć nadzieję, że nie wyrządzi zbyt wielu szkód w jej życiu. (Wyrządziło już dosyć szkód w naszym salonie, kiedy mama przeczytała artykuł z działu „Wnętrza” pod tytułem *Pomaluj swoje meble*).

W pewnej chwili Frank beztrudnie wchodzi do kuchni. Ma na sobie czarny T-shirt z napisem: MODUJĘ, WIĘC JESTEM, wetknął do uszu słuchawki, a w ręce trzyma telefon. Mama zerka na niego znad gazety, jakby nagle spadły jej łuski z oczu.

(Nigdy tego nie kumałam. Jakie łuski???)

Zresztą nieważne. Niech już będzie, że łuski).

– Frank, ile godzin w tym tygodniu spędziłeś przy grach komputerowych? – pyta.

– Zdefiniuj, czym dla ciebie są gry komputerowe – odpowiada Frank, nie odrywając wzroku od wyświetlacza telefonu.

– Co? – Mama niepewnie patrzy w moim kierunku, a ja wzruszam ramionami. – No wiesz, gry komputerowe. Ile godzin? FRANK!

– wrzeszczy, bo ten nie reaguje. – Ile godzin? Wyjmij z uszu to coś!

– Co? – pyta Frank, zdejmując słuchawki. Mruga, jakby nie dosłyszał pytania. – Chodzi o coś ważnego?

– Tak, bardzo ważnego! – groźnie prychnęła mama. – Masz mi powiedzieć, ile godzin tygodniowo spędzasz przy grach komputerowych. Tu i teraz. Szybko podlicz i mi powiedz.

– Nie mogę – mówi flegmatycznie Frank.

– Nie możesz? Jak to, nie możesz?

– Nie wiem, o co ci dokładnie chodzi – odpowiada z niezmaconą cierpliwością Frank. – Masz na myśli konkretnie gry przeznaczone dla komputerów czy wszystkie gry wideo? Na Xboxa i PlayStation też? Mam uwzględnić gry w telefonie? Określ swoje wymagania.

Frank czasami zachowuje się jak debil. Nie widzi, że mama właśnie się nakręca i jest o krok od wybuchu?

– Mam na myśli wszystko, co rozmiękcza ci mózg! – mówi mama, wymachując gazetą. – Zdajesz sobie sprawę, jak niebezpieczne są te gry? Wiesz, że twój mózg niewłaściwie się rozwija? Twój mózg, Frank! Najważniejszy narząd w organizmie człowieka.

Frank dostrzega nieprzyzwoitą dwuznaczność tego określenia i parska śmiechem, ja też mimowolnie chichoczę pod nosem. Frank w gruncie rzeczy jest całkiem zabawny.

– Udam, że tego nie słyszałam. – Głos mamy brzmi lodowato. – Twoje zachowanie jedynie potwierdza, że mam rację.

– Nieprawda – mówi Frank i otwiera lodówkę. Wyjmuje karton mleka o smaku czekoladowym, które wypija wprost z opakowania. To obrzydliwe.

– Nie rób tego! – gniewnie go upominam.  
– Spokojnie. Jest jeszcze jedno.  
– Od dzisiaj obowiązuje cię limit na granie, młody człowieku. – Mama trzaska gazetą o kolano, żeby podkreślić swoje słowa. – Dostyc tego dobrego.

Oho, „młody człowieku”. To znaczy, że zamierza wciągnąć w spór tatę. Za każdym razem, gdy mama wyjeżdża z „młodym człowiekiem”, możemy być pewni, że następnego dnia czeka nas koszmarne spotkanie w gronie rodzinnym, podczas którego tata będzie próbował we wszystkim popierać mamę, chociaż nie ogarnia co najmniej połowy problemu.

Zresztą to nie moja sprawa.

□ □ □

Nie moja, ale tylko do wieczora, bo mama wchodzi do mojego pokoju i stanowczym głosem pyta:

– Audrey, czym jest ta *Ziemia zdobywców*?

Odkładam „Grazię”, którą czytałam, i przyglądam się mamie. Wygląda na spiętą. Ma wypieki na twarzy, a jej prawa dłoń jest zaciśnięta, jakby zdrętwiała od trzymania myszy komputerowej. Szukała w Google informacji o „uzależnieniu od gier komputerowych” – bez dwóch zdań.

– To gra.

– Wiem, że to gra – odpowiada poirytowanym głosem mama. – Ale dlaczego Frank spędza przy niej tyle czasu? Ty nie grasz w nią cały czas, prawda?

– Nie.

Grałam w *Ziemię zdobywców*, ale nie wpadłam w obsesję. Wiesz, ta gra jest w porządku, ale tylko na godzinę, może dwie.

– Co więc tak go w niej pociąga?

– No wiesz... – Zastanawiam się przez chwilę. – Chodzi o ekscytację. Zdobywasz nagrody. A sami bohaterowie też nieźle się prezentują. To znaczy, grafika w tej grze stoi na najwyższym poziomie. Poza tym niedawno pojawił się w sprzedaży dodatek z nową drużyną wojowników,

którzy mają niespotykane do tej pory właściwości, więc... – Wzruszam ramionami.

Mama patrzy z konsternacją, jakiej nigdy przedtem u niej nie widziałam. Problem w tym, że sama w nic nie gra. Nie da się jej zatem wytłumaczyć różnicy między *Ziemią zdobywców 3* a na przykład *Pacmanem* z 1985 roku.

– Na YouTube są filmy z rozgrywki – mówię w nagłym przypiływie olśnienia. – Z komentarzami. Poczekaj.

Kiedy szukam odpowiedniego filmu na iPadzie, mama siada i rozgląda się po pokoju. Udaje swobodę, ale jej niebieskie oczy czujnie skanują moje rzeczy osobiste. Próbują wśród nich wyłowić... co? Cokolwiek. Wszystko. Szczerze mówiąc, od jakiegoś czasu moich relacji z mamą nie można nazwać swobodnymi. Wszystko ma ogromny ciężar gatunkowy.

Właśnie to jest najsmutniejsze, zwłaszcza w świetle ostatnich zdarzeń. Już nie umiemy się normalnie zachowywać w swoim towarzystwie. Mama czepia się każdego słówka, które powiem, nawet jeśli sama nie zdaje sobie z tego sprawy. Jej umysł od razu zaczyna pracować na przyspieszonych obrotach: „Co to mogło znaczyć?”, „Czy z Audrey wszystko w porządku?”, „Co Audrey naprawdę chciała przez to powiedzieć?”.

Widzę, że uważnie patrzy na parę starych, podartych dzinsów na krześle, jakby sądziła, że skrywają jakąś mroczną tajemnicę. Tymczasem skrywają tylko jedną prozaiczną prawdę – że z nich wyrosłam. W ubiegłym roku wystrzeliłam w górę mniej więcej o osiem centymetrów, czyli mam metr siedemdziesiąt siedem wzrostu. Jestem więc dosyć wysoka jak na czternastolatkę. Wszyscy mówią, że wyglądam jak mama, ale nie jestem taka ładna jak ona. Oczy mamy są błękitne jak niebieskie diamenty, a moje dość nijakie – zresztą ostatnio mało kto je widzi.

Żeby łatwiej ci było mnie sobie wyobrazić – jestem dosyć chuda, przeciętna, noszę czarny top bez rękawów i obcisłe dzinsy. Aha, i okulary przeciwsłoneczne – zawsze i wszędzie, nawet w domu. To... No wiesz. Takie skrzywienie. Moja fiksacja. Stąd się biorą uszczypliwe żarty Roba z sąsiedztwa. Pewnego razu zobaczył mnie, kiedy z okularami przeciwsłonecznymi na nosie wysiadłam z taksówki w ulewnym deszczu,

i od razu wyskoczył z tekstami w rodzaju:

– Dlaczego włożyłaś okulary? Jesteś Angeliną Jolie?

Wcale nie pozuję na spoko laskę. Jest inny powód.

Który teraz oczywiście chciałbyś poznać.

Jak sądzę.

Okej, to dość intymna sprawa. Nie wiem, czy już jestem gotowa, żeby ci o niej opowiedzieć. Jeżeli chcesz, możesz myśleć, że mi odbiło. Wiele osób już i tak ma mnie za wariatkę.

– O, jest. – Znajduję film przedstawiający potyczkę w *Ziemi zdobywców* z komentarzem Archy’ego. Archy to użytkownik YouTube’a ze Szwecji. Wrzuca do sieci filmiki, które Frank uwielbia. Nagrywa przebieg rozgrywki z zabawnym komentarzem. Jak można było się spodziewać, wyjaśnienie mamie tej koncepcji zajmuje mi wieki.

– Ale po co ktoś miałby oglądać, jak inni grają? – Mama nie może tego zrozumieć. – Dlaczego? Czy to nie kompletna strata czasu?

– No wiesz. W każdym razie... – Wzruszam ramionami. – To właśnie *Ziemia zdobywców*.

Na chwilę zapada milczenie. Mama wpatruje się w monitor niczym profesor starej daty, który próbuje rozszyfrować pradawne egipskie hieroglify. Nagle krzywi się na widok jakiejś szczególnie silnej eksplozji.

– Dlaczego to zawsze musi polegać na zabijaniu? Gdybym ja zaprojektowała grę, byłaby oparta na ideach. Na polityce. Na czymś ważnym. Tak! Czemu nie? – Widzę, że w jej głowie rodzi się nowy pomysł. – Może by stworzyć grę pod tytułem *Dyskurs*? Elementem rywalizacji byłoby zdobywanie punktów za debatę!

– I właśnie dlatego nie śpimy na pieniądzach. – Mówię to tak, jakbym zwracała się do jakiejś trzeciej osoby.

Zaczynam szukać innego filmu. Nagle do pokoju wchodzi Felix.

– *Candy Crush*! – woła radośnie, gdy tylko wpada mu w oko mój iPad. Z ust mamy wyrywa się stłumiony okrzyk przerażenia.

– Skąd on to zna? – pyta. – Wyłącz iPada. Nie chcę mieć drugiego uzależnionego członka rodziny!

Do licha! To chyba ja pierwsza pokazałam Feliksowi *Candy Crush*. Jednak jest za mały i nie rozumie, na czym polegają zasady tej gry.

Zamykam pokrywę iPada, a Felix patrzy na niego zawiedziony.

– *Candy Crush!* – jęczy. – Chcę zagrać w *Candy Cruuuuush!*

– Gra się zepsuła – mówię i udaję, że włączam iPada. – Widzisz?

Zepsuta.

– Zepsuta – potakuje mama.

Felix zerka na nas znad iPada. Wyraźnie widać, że jego umysł pracuje na najwyższych obrotach, na jakie pozwala mu mózg czterolatka.

– Trzeba kupić wtyczkę – proponuje. Nagle się ożywia i chwytając iPada. – Możemy kupić wtyczkę i naprawić grę.

– Sklep z wtyczkami jest zamknięty – tłumaczy bez mrugnięcia okiem mama. – Jaka szkoda. Zrobimy to jutro. Ale wiesz co? Chodź, zjemy tost z nutellą!

– Tost z nutellą! – Twarz Feliksa rozjaśnia promienny uśmiech. Kiedy triumfalnie unosi ręce, mama zabiera mu iPada i daje go mnie. Za pięć sekund iPad jest już schowany za poduszką na łóżku.

– Gdzie *Candy Crush*? – Felix nagle przypomina sobie o grze i wykrzywia buzię do płaczu.

– Musimy wziąć tablet do sklepu z wtyczkami. Pamiętasz? – odpowiada bez wahania mama.

– Do sklepu z wtyczkami – potakuję. – Ale, hej, co z tym tostem z nutellą? Ile tostów dzisiaj zjesz?

Biedny mały Felix. Wciąż trochę zdezorientowany pozwala się wyprowadzić z pokoju. Mamie udało się zrobić go w konia. Taki już los czterolatka. Założę się, że mama żałuje, że te same sztuczki nie działają na Franka.

Mama zatem już wie, czym jest *Ziemia zdobywców*. A „wiedza to potęga”, jak mówi Kofi Annan. Chociaż Leonardo da Vinci twierdził, że „Gdzie jest dużo krzyku, tam nie ma prawdziwej wiedzy”, co jeszcze lepiej pasuje do naszej rodziny. (Proszę, nie myśl, że jestem wyjątkowo czytana czy coś w tym rodzaju. W ubiegłym miesiącu mama kupiła mi na urodziny księgę cytatów, po którą czasami sięgam, oglądając telewizję).

Tak czy inaczej, motto „wiedza to potęga” nas nie dotyczy, bo mama nie ma żadnego wpływu na Franka. Jest sobotni wieczór, a on już od lunchu gra w *Ziemię zdobywców*. Od razu po deserze znikł w pokoju zabaw. W pewnej chwili zadzwieczał dzwonek u drzwi, więc czmychnęłam do mojej kanciapy – kryjówki, gdzie nikt mnie nie nachodzi.

Dochodzi szósta. Zakradam się do kuchni po ciasteczka Oreo i widzę, że mama krąży w tę i z powrotem napięta jak struna. Głośno sapie, zerka na zegar i znowu sapie.

– Oni wszyscy są uzależnieni od komputerów! – wybucha nagle.  
– Mniej więcej dwadzieścia pięć razy prosiłam ich, żeby je wyłączyli! Dlaczego to takie trudne? Wystarczy wcisnąć jeden przycisk!

– Może akurat są na poziomie, którego... – zaczynam.

– Poziomy! – Mama z pasją wpada mi w słowo. – Mam dosyć słuchania o poziomach! Daję im jeszcze minutę. Koniec żartów.

Wyjmuję ciastko i rozdzielam je na warstwy.

– Kto jest z Frankiem?

– Kolega ze szkoły. Nigdy przedtem go nie widziałam. Zdaje się, że ma na imię Linus...

Linus. Pamiętam Linusa ze szkolnej adaptacji *Zabić drozda*, w której grał Atticusa Fincha. Frank był w niej członkiem tłumu.

Frank uczy się w szkole imienia Kardynała Nichollsa, która znajduje się przy tej samej ulicy, co moja szkoła żeńska Stokeland, dlatego od czasu do czasu obie szkoły organizują wspólne spektakle, koncerty i tego rodzaju imprezy. Jednak trzeba uściślić, że już nie mogę nazwać Stokeland moją szkołą. Od lutego nie byłam na zajęciach z powodu pewnych zdarzeń, do których tam doszło. Nieprzyjemnych spraw.

Nieważne.



No. W każdym razie potem się rozchorowałam. Teraz jestem przed zmianą szkoły i powtarzaniem klasy, żeby nadrobić materiał. Nowa szkoła nazywa się Heath Academy i wszyscy mówią, że lepiej zacząć naukę od września, a nie w semestrze letnim, kiedy większość czasu zajmują egzaminy. Tak więc do końca wakacji zostanę w domu, nie chodzę do szkoły.

To nie znaczy, że nic nie robię. Dostałam ze szkoły listę lektur, podręczników do matematyki i zestaw słówek z francuskiego do wykucia. Wszyscy zgodnie doszli do wniosku, że koniecznie muszę być na bieżąco z materiałem: „Dzięki temu poczujesz się o wiele lepiej, Audrey!”. (W najmniejszym stopniu nie poczułam się lepiej). Dlatego od czasu do czasu wysyłam moim nauczycielom wypracowanie z historii albo z innego przedmiotu, a oni poprawiają je na czerwono i przysyłają mi z powrotem. Wszystko dzieje się właściwie od przypadku do przypadku.

Mniejsza z tym. Mówiłam, że Linus grał w szkolnym przedstawieniu i był naprawdę dobrym Atticusem Finchem. Roztaczał aurę bohaterstwa i szlachetności, w którą widownia uwierzyła. Na przykład, w jednej scenie miał zastrzelić wściekłego psa. Podczas spektaklu strzelba-rekwizyt nie wypaliła, ale nikt z widzów się nie zaśmiał, ani nawet nie rozległy się stłumione głosy. Taki był dobry.

Kiedyś wpadł do nas po drodze na próbę. Zatrzymał się na jakieś pięć minut, ale wciąż to pamiętam.

Właściwie to nie ma żadnego związku z dzisiejszą sytuacją.

Już otwieram usta, żeby przypomnieć mamie, że Linus grał Atticusa Fincha, ale nagle zdaję sobie sprawę, że wyszła z kuchni. Po chwili dobiega mnie jej głos:

– Dostyc grania, młody człowieku!

Oho, „młody człowieku”.

Rzucam się do drzwi i patrzę przez szparę. Frank wychodzi z mamą na korytarz. Jego twarz przecinają nerwowe skurcze.

– Nie doszliśmy do końca poziomu! Nie możesz tak po prostu wyłączyć tej gry! Wiesz, co narobiłaś, mammo?! Czy ty w ogóle cokolwiek wiesz o mechanice gry w *Ziemię zdobywców*?

Grzmi świętym oburzeniem. Zatrzymał się tuż pod moimi drzwiami.

Czarne włosy opadają mu na blade czoło, wściekle gestykuje patykowatymi rękami i dużymi, kościstymi dłońmi. Mam nadzieję, że Frank kiedyś dorośnie do swoich dłoni i stóp. Chyba nie zostaną na zawsze tak komicznie nieproporcjonalne, no nie? Reszta ciała powinna je w końcu dogonić. Skończył piętnaście lat, więc jeszcze może urosnąć o jakieś trzydzieści centymetrów. Tata ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ale zawsze powtarza, że Frank będzie wyższy od niego.

– No dobrze – rozbrzmiewa znajomy głos. To Linus, ale nie widzę go przez szparę w drzwiach. – To ja już pójdę do domu. Dziękuję, że mogłem spędzić tu trochę czasu.

– Ależ nie idź! – wykrzykuje mama swoim najprzymilniejszym tonem, zarezerwowanym dla gości. – Proszę, Linus, nie musisz jeszcze iść do domu. Zupełnie nie o to mi chodziło.

– Ale jeżeli nie możemy pograć... – Linus jest zdezorientowany.

– Chcesz powiedzieć, że jedyną formą spędzania wspólnie czasu jest dla was granie na komputerze? Wiesz, jakie to smutne?

– Niby co mielibyśmy robić? – mamrocze nadąsany Frank.

– Moim zdaniem powinniście zagrać w badminton. Zapada ciepły letni zmierzch, w ogrodzie jest pięknie i zobaczcie, co znalazłam!

Wyciąga rękę i pokazuje Frankowi stary, zdezelowany zestaw do badmintonu. Siatka jest totalnie poplątana i widzę, że jakieś zwierzę nadgryzło lotki.

Chce mi się śmiać, kiedy patrzę na minę Franka.

– Mamo... – Wygląda, jakby go zamurowało z przerażenia. – Skąd ty to w ogóle wygrzebałaś?

– Albo w krykieta! – świergocze radośnie mama. – To dobra zabawa.

Frank nawet nie odpowiada. Zdaje się tak zbity z tropu pomysłem gry w krykieta, że jest mi go trochę żal.

– A może w chowanego?

Parskam śmiechem i muszę zasłonić dłonią usta. Nie mogę się powstrzymać. W chowanego!

– No to w rummikub! – Mama jest coraz bardziej zdesperowana.

– Zawsze uwielbiałaś grać w rummikub.

– Lubię rummikub – wtrąca Linus, czym zdobywa sobie moje

uznanie. Do tej pory już śmiało mógłby olać kumpla, wyjść i napisać na Facebooku, że u Franka na chacie jest kicha. Tymczasem z jego głosu można wywnioskować, że chce jakoś udobruchać mamę. Brzmi jak człowiek, który rozgląda się dookoła i dochodzi do wniosku, że warto by wszystkim ułatwić życie. (Zwróć uwagę, że wyciągam takie wnioski na podstawie dwóch słów...).

– Naprawdę zagrałbyś w rummikub? – Frank pyta z niedowierzaniem.

– Czemu nie? – odpowiada swobodnie Linus i po chwili obaj znów zamykają się w pokoju zabaw. (Kiedy skończyłam trzynaście lat, rodzice przemałowali go i zaczęli nazywać pokojem nauki, ale dla nas to wciąż pokój zabaw).

Po chwili mama znowu jest w kuchni, nalewa sobie kieliszek wina.

– Widzisz? – mówi. – Wystarczy skierować ich na właściwą drogę. Trochę kontroli rodzicielskiej. Otworzyłam im oczy i już nie są uzależnieni od komputera. Ktoś po prostu musiał im przypomnieć, że istnieje coś więcej.

Nie zwraca się do mnie. Mówi do wyimaginowanego arbitra z „Daily Mail”, który bez przerwy obserwuje jej poczynania i ocenia je w skali od jednego do dziesięciu.

– Wydaje mi się, że rummikub to nie jest najlepsza gra dla dwóch osób – zauważam. – Trzeba grać bardzo długo, żeby każdy mógł wyłożyć na stół wszystkie kostki.

Czuję, że ta uwaga zasiała ziarno niepewności. Mama na pewno wyobraża sobie to samo, co ja: Frank i Linus w ponurych nastrojach siedzą naprzeciw siebie, coraz bardziej nienawidzą rummikuba i utwierdzają się w przekonaniu, że gry planszowe są do bani.

– Masz rację – mówi w końcu. – Chyba pójdę z nimi zagrać. Będzie weselej.

Nie pyta, czy ja też chcę zagrać. Jestem jej za to bardzo wdzięczna.

– Baw się dobrze – rzucam i wyjmuję z szafki opakowanie Oreo. Szybko uciekam z kuchni do swojej kanciapy i dopiero gdy włączam telewizor, dobiega mnie z pokoju zabaw głos mamy, który odbija się echem w całym domu:

– NIE CHODZIŁO MI O RUMMIKUB PRZEZ INTERNET!

Nasz dom jest jak pogoda. Następują w nim przyływy i odpływy, to się burzy, to uspokaja. Po błogim okresie czystego, błękitnego nieba nadchodzą posępne, szare dni i nawałnice. Właśnie teraz nadciąga burza. Grzmot-błyskawica-grzmot- -błyskawica, Frank-mama-Frank-mama.

– Co to za różnica?

– Wielka różnica! Kazałam wam oderwać się od komputerów!

– Mamo, do diabła, to przecież ta sama gra!

– Nieprawda! Nie chcę, żebyś znowu się gapił w ekran! Chciałam, żebyś zagrał z kolegą! Na żywo!

– We dwóch to żadna zabawa. Równie dobrze moglibyśmy grać w państwa-miasta.

– Wiem! – Mama znowu niemal wrzeszczy. – Właśnie dlatego przyszedłam z wami zagrać!

– Przecież nie wiedziałem, że masz taki zamiar, no nie, do cholery?!

– Przestań przeklinać! Jeśli dalej będziesz używał przy mnie takiego języka, młody człowieku...

„Młody człowieku”.

Słyszę, że Frankowi wyrywa się z gardła wściekły skowyt. Brzmi jak coś pomiędzy rykiem nosorożca a jękiem frustracji.

– „Do cholery” to nie jest przekleństwo – mówi i dyszy, jakby jego cierpliwość się wyczerpywała.

– Oczywiście że jest!

– Tak mówią w filmach o Harrym Potterze, nie słyszałaś? O Harrym Potterze! Jak to się ma do przeklinania?

– Co?

Po głosie poznaję, że mama nie wie, co powiedzieć.

– Harry Potter też tak mówi. Chyba nic więcej nie muszę dodawać.

– Nie odwracaj się ode mnie, kiedy do ciebie mówię, młody człowieku!

„Młody człowieku”. Po raz trzeci. Biedny tata. Nieźle się nasłucha, kiedy wróci do domu...

– Cześć.

Głos Linusa rozlega się tak niespodziewanie, że aż podskakuję w miejscu. Dosłownie. Mam dosyć gwałtowne odruchy. Są przeczulone.

Tak jak i cała ja.

Stoi w drzwiach. „Atticus Finch” – przemyka mi przez głowę. Tyczkowaty nastolatek o brązowych włosach średniej długości, wystających kościach policzkowych i uśmiechu przywodzącym na myśl cząstkę pomarańczy. Nie, nie ma pomarańczowych zębów. Ale jego usta układają się w taki kształt, kiedy się uśmiecha. A właśnie teraz to robi. Nie widziałam, żeby inni koledzy Franka kiedykolwiek się uśmiechali.

Wchodzi do mojej kanciapy, a ja instynktownie zaciskam ze strachu pięści. Na pewno wymknął się z pokoju zabaw, kiedy mama kłóciła się z Frankiem. Nikt jednak nie ma wstępu do tego pokoju. To moja prywatna przestrzeń. Frank go o tym nie uprzedził?

Nic mu nie powiedział?

Panika wzbiera mi w piersi. Do oczu już napłynęły łzy. Czuję, jakbym miała skute lodem gardło. Muszę stąd uciec. Muszę... Nie mogę...

Nikt tu nie wchodzi. „Nikommu nie wolno tu zaglądać”.

Słyszę w głowie głos doktor Sarah. Wyrwane z kontekstu zdania z naszych sesji:

„Weź głęboki wdech, licząc do czterech, a potem zrób wydech, licząc do siedmiu”.

„Audrey, twój organizm wierzy, że zagrożenie jest rzeczywiste, ale naprawdę tak nie jest”.

– Cześć – powtarza mój niespodziewany gość. – Mam na imię Linus. A ty Audrey, tak?

„Zagrożenie nie jest rzeczywiste”. Próbuję się zmusić do myślenia, ale słowa toną w przyptywie paniki. To uczucie mnie przytłacza. Jest jak chmura radioaktywna.

– Cały czas je nosisz? – Wskazuje ruchem głowy na moje okulary.

Przerażenie wypełnia moje ciało. Jakoś udaje mi się go minąć.

– Przepraszam – mówię zdławionym głosem i wybiegam do kuchni niczym ścigany lis.

Pędzę po schodach do mojej sypialni na piętrze. Chowam się w najdalszym kącie. Kucam za zasłoną. Mój oddech wydobywa się z płuc niczym z silnika parowego, a po policzkach płyną łzy. Powinnam wziąć clonazepam, ale w tej chwili nie jestem nawet w stanie wyjść z mojej

kryjówki, żeby go zażyć. Kurczowo trzymam się zasłony, jakby to była ostatnia deska ratunku.

– Audrey? – Mama stoi w drzwiach. Jej głos brzmi nienaturalnie piskliwie. – Kochanie, co się stało?

– Tylko... no wiesz. – Przełykam ślinę. – Ten chłopak wszedł tak niespodziewanie...

– Już dobrze. – Mama podchodzi i głaszcze mnie po głowie. – Już dobrze. Wszystko rozumiem. Chcesz, no wiesz...?

Mama nigdy nie wymawia głośno słów związanych z moimi lekarstwami.

– Tak.

– Przyniosę ci to.

Wychodzi do łazienki i słyszę szum wody z kranu. Czuję jedynie, że jest mi głupio. Tak bardzo głupio.

□ □ □

No to już wiesz.

A właściwie domyślałam się, że nie wiesz – ale próbujesz zgadnąć, o co chodzi. Żeby skrócić twoje cierpienia, oto pełna diagnoza: fobia społeczna, zespół lęku uogólnionego z epizodami depresyjnymi.

Epizodami. Tak, jakby depresja była sitcomem, a każdemu odcinkowi towarzyszyła zabawna puenta. Albo innym serialem telewizyjnym naładowanym momentami, które utrzymują widza w niepewności. Jedyną rzeczą w moim życiu, która utrzymuje mnie w niepewności, jest pytanie: „Czy kiedykolwiek pozbędę się tego gówna?”. I możesz mi wierzyć, że szybko potrafi się znudzić.

Podczas następnej sesji z doktor Sarah opowiadałam jej o Linusie i o ataku paniki, a ona słucha z namysłem. Doktor Sarah wszystko robi z namysłem. Słucha z namysłem, notuje z namysłem (ma piękny, okrągły charakter pisma), a nawet z namysłem stuka w klawisze komputera.

Naprawdę nazywa się McVeigh, ale zwracamy się do niej per doktor Sarah, bo przeprowadziliśmy na ten temat burzę mózgów w dużym gronie i zdecydowaliśmy, że imię jest przystępniejsze, ale tytuł dodaje autorytetu i działa uspokajająco, więc doktor plus imię będzie się najlepiej sprawdzać na oddziale dziecięcym.

(Kiedy powiedziała: „doktor plus imię”, przez dobre dziesięć minut sądziłam, że wszystkim uczestnikom terapii zostaną przypisane pseudonimy Doktor Plus. Poważnie. Odkryłam swój błąd dopiero, kiedy to wyjaśniła).

Oddział dziecięcy to część dużego prywatnego szpitala imienia Świętego Jana, gdzie nasza rodzina leczy się dzięki ubezpieczeniu z zakładu pracy taty. (Pierwsze, o co cię pytają przy rejestracji, nie jest: „Co ci dolega?”, tylko: „Czy jesteś ubezpieczony?”). Spędziłam tam sześć tygodni, gdy rodzice doszli do wniosku, że naprawdę coś jest ze mną nie tak. Problem w tym, że depresji nie towarzyszą żadne wyraźne objawy, takie jak wysypka czy gorączka, więc niełatwo ją zauważyć. Mówisz ludziom, że wszystko w porządku, chociaż wcale nie czujesz się dobrze. Myślisz, że powinieneś dobrze się czuć. Cały czas powtarzasz w duchu: „Dlaczego tak źle się czuję?”.

Mniejsza z tym. Przynajmniej mama i tata zaprowadzili mnie do lekarza rodzinnego, który mnie zbadał, i tak trafiłam tutaj. Byłam w nieciekawym stanie. Szczerze mówiąc, nie pamiętam pierwszych dni, które tu spędziłam. Teraz przychodzę dwa razy w tygodniu. Mogłabym przychodzić częściej, gdybym czuła taką potrzebę – wciąż mi to powtarzają. Nauczyłabym się piec babeczki. Jednak piekłam je już z pięćdziesiąt pięć trylionów razy i przepis zawsze jest ten sam.

Kiedy kończę opowiadać doktor Sarah o tym, jak czmychnęłam za zasłonę, ta przez chwilę studiuje kwestionariusz, który wypełniłam przed wizytą. Były w nim te same pytania, co zwykle.

„Czy masz poczucie klęski?” Oczywiście.

„Czy zdarza ci się myśleć, że wolałabyś nie istnieć?” Bardzo często.

Doktor Sarah nazywa ten kwestionariusz moją „listą objawów”. Czasami zastanawiam się, czy nie powinnam po prostu skłamać i napisać, że wszystko jest cacy. Jednak, może to dziwne, ale nie kłamię. Nie mogłabym tego zrobić doktor Sarah. Tkwimy razem w tym bagnie.

– Jak się czujesz w związku z tym, co się stało? – pyta typowym dla niej łagodnym, spokojnym tonem.

– Jakbym grzęzła.

Słowo „grzęzła” wpada mi do głowy zupełnie bez zastanowienia. Sama nie wiedziałam, że tak się czuję.

– Jakbyś grzęzła?

– Jakby ta choroba trwała wieki.

– Nie trwa wieki – mówi łagodnie doktor Sarah. – Po raz pierwszy spotkałyśmy się... – Zerka na ekran monitora. – ...szesnastego marca. Prawdopodobnie twoja choroba już od jakiegoś czasu się rozwijała, chociaż nie zdawałaś sobie z tego sprawy. Jednak dobra wiadomość jest taka, że przebyłaś długą drogę, Audrey. Z każdym dniem twój stan się poprawia.

– Poprawia? – Staram się, żeby mój głos brzmiał spokojnie. – We wrześniu mam zacząć nowy rok szkolny, a tymczasem nie jestem w stanie nawet rozmawiać z ludźmi. W naszym domu zjawia się obcy człowiek, a ja od razu wariuję. Jak zatem mam iść do szkoły? Jak mogę cokolwiek zrobić? A jeśli to mi zostanie już na zawsze?

Pojedyncza łza spływa po moim policzku. Skąd się, do diabła, wzięła? Doktor Sarah bez słowa podaje mi chusteczkę, a ja wycieram oczy, unosząc na chwilę okulary przeciwsłoneczne.

– Przede wszystkim ten stan nie będzie trwał wiecznie – mówi doktor Sarah. – Twoja choroba jest w pełni uleczalna. W pełni uleczalna.

Chyba już tysiąc razy mnie o tym zapewniała.

– Zrobiłaś postępy, odkąd zaczęłyśmy terapię – tłumaczy dalej. – Mamy dopiero maj. Jestem całkowicie pewna, że we wrześniu będziesz gotowa, by iść do szkoły. Wymaga to jednak...

– Wiem. – Krzyżuję ręce na piersi. – Wytrwałości, praktyki i cierpliwości.



– Zdejmowałaś okulary w tym tygodniu? – pyta dalej.

– Rzadko.

Czyli wcale, co ona w lot rozumie.

– Nawiązałaś z kimś kontakt wzrokowy?

Nie odpowiadam. Kazała mi próbować. Z członkiem rodziny. Po kilka sekund dziennie.

Nawet nie powiedziałam mamie o tym ćwiczeniu. Zrobiłaby z niego wielkie halo.

– Audrey?

– Nie – mamroczę ze zwieszoną głową.

Kontakt wzrokowy to dla mnie wielka trudność. Największa. Już na samą myśl o tym żołądek podchodzi mi do gardła, czuję się sparaliżowana.

Logicznie rzecz biorąc, wiem, że nie ma się czego bać. Oczy to tylko nieszkodliwa galaretowata tkanka. Stanowią bardzo mały element organizmu. Wszyscy je mają. Co więc tak bardzo mi w nich przeszkadza? Miałam jednak dużo czasu, żeby się nad tym zastanowić, i jeżeli chcesz wiedzieć, to ludzie nie doceniają oczu. Przede wszystkim jest w nich wielka moc. Mają daleki zasięg oddziaływania. Skupiasz wzrok na kimś, kto stoi trzydzieści metrów od ciebie, a on wie, że na niego patrzysz, nawet jeśli dzieli was tłum. Jaki inny narząd jest do tego zdolny? Właściwie mamy do czynienia ze zjawiskiem paranormalnym.

Jednocześnie oczy są niczym wiry. Przepastne. Patrzysz komuś prosto w oczy i czujesz, że w jednej nanosekundzie mogą ci wyssać duszę. Tak się czuję. Ludzkie oczy są bezdenne i to mnie w nich przeraża.

W gabinecie przez chwilę panuje milczenie. Doktor Sarah się nie odzywa. Jest zamyślona. Lubię, kiedy się zamyśla. Gdybym mogła się wtulić w czyjś umysł, wybrałabym właśnie ją.

– Mam dla ciebie pewien pomysł. – Unosi wzrok. – Chciałabyś nakręcić film?

– Słucham?

Patrzę na nią zdziwiona. Nie spodziewałam się tego. Oczekiwałam raczej arkusza z ćwiczeniami.

– Mam na myśli film dokumentalny. Wystarczy jakaś tania cyfrowa kamera. Może rodzice będą mogli ci ją kupić albo spróbujemy tutaj coś dla

ciebie znaleźć.

– I co miałabym z nią zrobić?

Specjalnie strugam wariata i udaję brak zainteresowania, bo tak naprawdę czuję się nieco skołowana. Film? Do tej pory jeszcze nikt nie wyszedł z takim pomysłem. Czy właśnie to jest złoty środek? Czy raczej nowoczesny odpowiednik pieczenia babeczek?

– Myślę, że to może ci pomóc ruszyć się z miejsca i... – Doktor Sarah na chwilę milknie. – I dotrzeć tam, gdzie chciałabyś się znaleźć. Na początku możesz filmować z pozycji outsidera – muchy na ścianie. Wiesz, co mam na myśli?

Kiwam głową, ale próbuję ukryć wzbierającą panikę. Sytuacja rozwija się zbyt szybko.

– Potem, po jakimś czasie, chciałabym, żebyś zaczęła prowadzić z ludźmi wywiady. Jak sądzisz, czy przez obiektyw kamery będziesz w stanie nawiązać z kimś kontakt wzrokowy?

Oślepiający strach przeszywa mnie niczym włócznia. Staram się nie zwracać na to uwagi, bo mój mózg często wysyła mi nieprawdziwe informacje i wcale nie muszę go słuchać. To podstawowa rzecz, którą wpajają ci w szpitalu Świętego Jana: „Twój mózg jest ignorantem”.

– Nie wiem. – Przełykam ślinę i czuję, że dłonie same mi się zaciskają. – Może.

– Świetnie. – Doktor Sarah patrzy na mnie z anielskim uśmiechem. – Wiem, Audrey, że to zadanie wydaje ci się trudne i przerażające. Sądzę jednak, że dobrze ci robi.

– Okej, nie rozumiem tylko... – Milknę i zbieram się w sobie. Powstrzymuję łzy strachu napływające do oczu. Nie jestem pewna, czego właściwie się boję. Kamery? Nowego pomysłu? Tego, że ktoś oczekuje ode mnie zrobienia rzeczy, której się nie spodziewałam?

– Czego nie rozumiesz?

– Co mam filmować?

– Cokolwiek. Wszystko, co wpadnie ci w oko. Włącz kamerę i nagrywaj. Dom. Mieszkańców. Stwórz portret twojej rodziny.

– Jasne. – Nie mogę powstrzymać kąśliwego prychnięcia. – Zatytułuję go: „Moja radosna, czuła rodzinka”.

– Może być. – Doktor Sarah śmieje się. – Już się nie mogę doczekać,  
kiedy go obejrzę.

# MOJA RADOSNA, CZUŁA RODZINKA

## SCENARIUSZ FILMOWY

### WNĘTRZE DOMU. ROSEWOOD CLOSE 5. DZIEŃ

Panorama pozioma. Kamera filmuje bałagan w kuchni.

AUDREY (z offu)

Zapraszam do obejrzenia mojego filmu dokumentalnego. To nasza kuchnia. A to stół kuchenny. Frank nie sprzątnął po śniadaniu. Ohyda.

Zbliżenie na stół z surowego drewna sosnowego. Na blacie stoi brudna miseczka po owsiance, talerz z okruszkami i słoik nutelli z wetkniętą łyżką.

AUDREY (z offu)

A tutaj szafki kuchenne.

Zbliżenie na rząd pomalowanych na szaro szafek w stylu Shaker. Kamera wolno przesuwa się wzdłuż nich.

AUDREY (z offu)

To głupie. Nie wiem, co mam filmować. To jest okno.

Zbliżenie na okno wychodzące na ogród, gdzie widać starą huśtawkę

i nowy zestaw do grillowania z wciąż jeszcze przyczepionymi etykietkami.  
Najazd na zestaw.

AUDREY (z offu)

Tato dostał go na urodziny. Powinien chociaż raz coś na nim upiec.

Rozchybotana kamera zwraca się w kierunku drzwi.

AUDREY (z offu)

Okej, powinnam się przedstawić. Nazywam się Audrey Turner i kręcę ten film, bo...

(pauza)

A tak w ogóle to dostałam kamerę od rodziców. Ekscytowali się i cały czas powtarzali: „Może zostaniesz prawdziwą reżyserką!”. Wiesz, byli na maksa nakręceny i wydali zdecydowanie za dużo kasy na tę kamerę. Mówiłam im, żeby kupili najtańszy model, ale się uparli, więc...

Kamera niespokojnie przemieszcza się wzdłuż korytarza, jej obiektyw jest skierowany na schody.

AUDREY (z offu)

Oto schody. Zresztą widzisz. Przecież nie jesteś kołkiem.

(pauza)

Nawet nie wiem, kim jesteś. Kto to będzie oglądać? Pewnie doktor Sarah. Dzień dobry pani, doktor Sarah.

Kamera nierówno pokonuje kolejne stopnie schodów.

AUDREY (z offu)

A zatem wchodzimy na piętro. Kto mieszka w tym domu?

Najazd kamery na koronkowy czarny stanik przewieszony przez balustradę.

AUDREY (z offu)

To należy do mamy.  
(zmiana tempa)

Wolałaby pewnie, żeby nikt tego nie widział.

Kamera mija zakręt korytarza i kadr wypełniają otwarte na oścież drzwi.

AUDREY (z offu)

Tam jest pokój Franka, ale nie mogę podejść. Nie pozwala na to smród. Po prostu zrobię zbliżenie.

Najazd kamery na podłogę za drzwiami. Widać trampki, brudne skarpetki, wilgotny ręcznik, trzy komiksy o Scotcie Pilgrimie i napoczęte opakowanie żelków Haribo. Wszystko leży na jednej stercie.

AUDREY (z offu)

Cały pokój tak wygląda. Wyobraź to sobie.

Kamera oddala się i podąża wzdłuż korytarza na piętrze.

AUDREY (z offu)

A tutaj pokój mamy i taty...

Kamera kieruje się na półprzymknięte drzwi. Ze środka dobiega głos. To głos MAMY – mamy Audrey. Ta mówi zaaferowanym, przyciszonym głosem, który jednak słychać na nagraniu.

MAMA (z offu)

Wspomniałam o nim na spotkaniu klubu czytelnika, a Caroline zapytała, czy on ma dziewczynę. No właśnie, nie ma! Ciekawe, czy w tym tkwi problem? Gdyby miał dziewczynę, to może częściej wychodziłby na dwór, zamiast garbić się przed ekranem. No bo zastanów się – dlaczego nie ma dziewczyny?

TATA (z offu)

Nie wiem. Nie patrz tak na mnie! To nie moja wina!

AUDREY (z offu)

(półgłosem)

To mama i tata. Chyba rozmawiają o Franku.

MAMA (z offu)

Wiesz co? Mam pomysł. Musimy mu wyprawić przyjęcie. Poznać go z jakimiś miłymi dziewczynami.

TATA (z offu)

Przyjęcie?! Poważnie?

MAMA (z offu)

A czemu nie? Mogłoby być zabawnie. Kiedyś urządzaliśmy dla niego wspaniałe przyjęcia.

TATA (z offu)

Tak, kiedy miał osiem lat! Anne, ty wiesz, jak wyglądają imprezy nastolatków? Co zrobisz, jeśli zaczną się dźgać nożem i uprawiać seks na trampolinie?

MAMA (z offu)

Na pewno tego nie zrobią! Prawda? O Boże...

Drzwi przymykają się nieco bardziej. Kamera zbliża się, żeby lepiej rejestrować dźwięk.

MAMA (z offu)

Chris, przeprowadziłeś już z Frankiem poważną rozmowę jak ojciec z synem?

TATA (z offu)

Nie. A ty? Rozmawiałaś z nim jak matka z synem?



MAMA (z offu)

Kupiłam mu książkę. Z ilustracjami... wiesz czego.

TATA (z offu)

(zainteresowany)

Naprawdę? Z jakimi ilustracjami?

MAMA (z offu)

No, wiesz.

TATA (z offu)

Nie wiem.

MAMA (z offu)

(zniecierpliwiona)

Oczywiście, że wiesz. Możesz sobie wyobrazić.

TATA (z offu)

Nie chcę sobie wyobrażać. Chcę, żebyś dokładnie mi je opisała, powoli, z francuskim akcentem.

MAMA (z offu)

(jednocześnie rozbawiona i poirytowana)

Chris, przestań!

TATA (z offu)

Dlaczego tylko Frank ma czerpać z tego przyjemność?

Drzwi się otwierają i TATA wychodzi z pokoju. Jest przystojnym mężczyzną po czterdziestce, ma na sobie garnitur i trzyma w ręce maskę do nurkowania. Na widok kamery podskakuje zaskoczony.

TATA

Audrey! Co ty tu robisz?

AUDREY (z offu)

Kręcę film. No wiesz, do mojego ćwiczenia.

TATA

Ach, tak. Tak, oczywiście.  
(w kierunku drzwi, ostrzegawczo)

Kochanie, Audrey nagrywa film...

Mama staje w drzwiach, ma na sobie spódnicę i stanik. Widząc kamerę, zasłania dłońmi górną część ciała i wydaje stłumiony krzyk.

TATA

Właśnie to miałem na myśli.

MAMA

(speszona)

Aha, rozumiem.

Zdejmuje szlafrok z haczyka na drzwiach i szczelnie się nim otula.

MAMA

Brawo, kochanie. Powodzenia z tym filmem. Może jednak zechciałabyś nas uprzedzić następnym razem, kiedy będziesz nas nagrywać?

(zerka na tatę i odkasłuje)

Właśnie rozmawialiśmy o... uhm... kryzysie... na Bliskim Wschodzie.

TATA

(kiwa głową)

Na Bliskim Wschodzie.

Oboje rodzice patrzą niepewnie w obiektyw kamery.

W porządku, a teraz trochę historii. Pewnie chcesz się dowiedzieć, jak do tego doszło. „W poprzednim odcinku życia Audrey Turner...”.

Tyle że, Jezu... Nie chce mi się do tego wracać. Sorry, po prostu nie mam na to siły. Tyle razy siedziałam w różnych gabinetach z nauczycielami, lekarzami i bezmyślnie powtarzałam tę samą historię, używając wciąż tych samych słów, że zaczęłam się czuć tak, jakbym opowiadała o rzeczach, które przytrafiły się komuś obcemu.

Wszyscy uczestnicy tych zdarzeń stali się odrealnieni. Wszystkie dziewczyny ze szkoły żeńskiej w Stokeland i panna Amerson, nasza wychowawczyni, która twierdziła, że coś sobie uroiłam i jedynie szukam uwagi. (Nieźle, no nie? Boże ironii, słyszysz i nie grzmisz?).

Nikt nie stwierdził na sto procent, skąd się to u mnie wzięło. Właściwie w pewnym sensie znaleźliśmy bezpośrednią przyczynę, ale nie udało się ustalić źródła problemu.

Wybuchł wielki skandal, było dużo kłapania dziobami. Trzy dziewczyny wyleciały ze szkoły, bijąc w ten sposób swego rodzaju rekord. Rodzice od razu zabrali mnie ze Stokeland i od tamtej pory siedzę w domu. No i w szpitalu, o którym już ci opowiedziałam. W zamierzeniu miałam zacząć wszystko od nowa w Heath Academy. Tyle że jeśli chcesz zacząć wszystko od nowa, to przede wszystkim musisz pokonać etap „wyjścia na dwór”, a z tym mam pewien mały kłopot.

Nie chodzi konkretnie o przebywanie na dworze. Drzewa, powietrze ani niebo mi nie przeszkadzają. Przeszkadzają mi ludzie. Ale też nie wszyscy. Pewnie nie ty – ty byłbyś w porządku. Mam grupę ulubionych osób – ludzi, z którymi mogę pogadać, pośmiać się i wyluzować. Szkoda tylko, że to taka mała grupa. Można powiedzieć, że to mikrogrupa w porównaniu na przykład z populacją całego świata. Albo nawet z liczbą pasażerów pierwszego lepszego autobusu.

Jestem w stanie zjeść kolację razem z resztą rodziny. Mogę też jeździć na wizyty do doktor Sarah – pozostając cały czas w mojej małej bańce bezpieczeństwa, na którą składają się: samochód, poczekalnia, gabinet, znowu samochód i dom. Wszyscy członkowie grupy terapeutycznej w szpitalu Świętego Jana też należą do tej grupy ludzi. Bo nie stanowią

zagrożenia. (No dobra, wiem, że naprawdę nie muszę bać się ludzi, ale spróbuj to wytłumaczyć mojemu głupiemu umysłowi).

Problemem są dla mnie wszyscy inni. Przechodnie na ulicy, goście za drzwiami mojego domu, ci, z którymi rozmawiam przez telefon. Nie zdajesz sobie sprawy z tego, ilu ludzi jest na świecie, dopóki nie zaczną cię przerażać. Doktor Sarah mówi, że mogę już nigdy nie czuć się komfortowo w wielkim tłumie, i to jest okej, ale muszę utemperować myśli, które wpędzają mnie w panikę. Kiedy to mówi, jej słowa brzmią absolutnie logicznie, więc myślę: „Tak! Umieję to zrobić! Łatwizna”. Jednak potem listonosz dzwoni do drzwi, a ja uciekam w popłochu.

Widzisz, nigdy nie byłam szczególnie ekstrawertyczna, nawet przed chorobą. Wśród dziewczyn to zawsze ja stałam z boku, ukryta za zasłoną opadających na oczy włosów. To ja próbowałam uczestniczyć w ploteczkach o stanikach, myśląc: „Stanik? Pff, do czegoś takiego trzeba najpierw mieć kobiecą figurę”. To mnie dręczyło paranoiczne przeczucie, że wszyscy na mnie patrzą i nie mogą się nadziwić, jaka ze mnie ofiara losu.

Jednocześnie to właśnie mnie pokazywano wszystkim gościom: „Nasza wzorowa uczennica Audrey. Same piątki w dzienniczku” albo: „Audrey, nasza gwiazda netballu”.

Mam przy okazji ważną radę dla czytających to nauczycieli (czyli zapewne dla nikogo): nie chwalcie się przed wszystkimi uczennicą, która wije się, ledwo ktoś na nią spojrzy. To nie pomaga. Nie pomaga też, kiedy mówicie przy całej klasie: „Ona jest wielką nadzieją tej grupy. Ma wielki talent”.

Kto chciałby być wielką nadzieją? Komu zależy na „wielkim talencie”? Kto by się cieszył, gdyby koleżanki z całego rocznika wbijały w niego oczy niczym sztylety?

Nie dziwię się nauczycielom ani ich nie winię. Musiałam to jednak powiedzieć.

No i jak to bywa, nagle spadło na mnie nieszczęście. Czulałam się tak, jakbym runęła ze stromego klifu. I teraz jestem tu, uwięziona w moim głupim umyśle.

Tata mówi, że to zupełnie naturalne – że przeżyłam traumę i obecnie

jestem jak małe dziecko, które wpada w panikę, kiedy bierze je na ręce ktoś, kogo nie zna. Widziałam nieraz takie dzieciaki – w jednej chwili szczęśliwe gaworzą, aż tu nagle ni stąd, ni zowąd zaczynają wyć. No nie, ja nie wyję. Jeszcze.

Ale czasami chce mi się wyć.

Nadal nie zaspokoiliam twojej ciekawosci, prawda? Nadal sie zastanawiasz. Wiesz, wcale ci sie nie dziwie.

No ale zrozum – czy to wazne, co dokladnie sie stalo i dlaczego tamte dziewczyny zostaly wyrzucone ze szkoly? To zbędne informacje. Stalo sie i juz. Wolałabym nie drążyć tego tematu.

Nie musimy o sobie wszystkiego wiedziec. To jedna z rzeczy, ktorych nauczylam sie na terapii: ze kazdy ma prawo do tajemnicy. Ze masz prawo odmawiac. Ze zawsze mozesz powiedziec: „Nie chce sie z nikim dzielic tymi sekretami, wiec nie obraż sie, ale juz o nich nie rozmawiamy”.

Zebyśmy sie dobrze zrozumieli: doceniam twoje zainteresowanie i to, ze tak sie mną przejmujesz. Naprawde. Ale nie musisz zaśmiecać sobie glowy tymi sprawami. Lepiej posluchaj jakiejś dobrej piosenki czy czegoś w tym rodzaju.

# MOJA RADOSNA, CZUŁA RODZINKA

## SCENARIUSZ FILMOWY

### WNĘTRZE DOMU. ROSEWOOD CLOSE 5. DZIEŃ

Kamera filmuje korytarz, potem kieruje się na płytki podłogowe.

AUDREY (z offu)

To stara wiktoriańska terakota czy coś w tym guście. Mama znalazła te płytki w kontenerze z gruzem i kazała nam przytaszczyć je do domu. Trwało to wieki. Nasza poprzednia podłoga była całkiem w porządku, ale mama piała z zachwytem: „To kawałek historii!”. No wiesz! Przecież ktoś wyrzucił je do śmieci. Nie zauważyła czy co?

MAMA

Frank!

Mama stanowczym krokiem wychodzi na korytarz.

MAMA

Frank!!!

(do Audrey) Gdzie twój brat? Och, filmujesz.

Odgarnia włosy i wciąga brzuch.



MAMA

Świetnie ci idzie, kochanie!

Frank bez pośpiechu wychodzi z pokoju.

MAMA

Frank! Zobacz, co znalazłam w plastikowym domku Feliksa.

Wyciąga rękę, w której trzyma garść zgniecionych papierków po słodyczach.

MAMA

Po pierwsze, nie chcę, żebyś siadał na domku – dach się kiwa, a ponadto dajesz Feliksowi zły przykład. Po drugie, ciekawa jestem, czy wiesz, jak szkodliwy jest cukier dla twojego organizmu. No, wiesz?

Frank milczy i tylko złowrogo na nią łypie.

MAMA

Ile godzin tygodniowo przeznaczasz na ćwiczenia?

FRANK

Dużo.

MAMA

Cóż, to i tak za mało. Jutro idziemy razem biegać.

FRANK

(w szoku)

Biegać? Poważnie? Biegać?

MAMA

Musisz częściej wychodzić na świeże powietrze. Kiedy byłam w twoim wieku, właściwie cały czas spędzałam na dworze. Zawsze uprawiałam jakiś sport, podglądałam przyrodę, chodziłam po lesie, cieszyłam się światem poza domem...

FRANK

W ubiegłym tygodniu mówiłaś, że kiedy byłaś w naszym wieku, cały czas czytałaś książki.

MAMA

Bo to prawda. Robiłam obie te rzeczy.

AUDREY

(zza kamery)

Rok temu twierdziłaś, że w naszym wieku wciąż chodziłaś do muzeów i na imprezy kulturalne.

Mama wygląda jak ktoś przyłapany na kłamstwie.

MAMA

(ostro)

Robiłam to wszystko. W każdym razie jutro idziemy biegać. Koniec dyskusji.

(Frank otwiera usta, żeby coś powiedzieć).

Koniec dyskusji. Bez gadania, Frank.

FRANK

Dobrze. Dobrze.

MAMA

(niby mimochodem)

Och, i jeszcze jedno, Frank. Tak sobie pomyślałam, że w waszym szkolnym przedstawieniu występowały bardzo ładne dziewczyny. Masz kogoś... no wiesz... na oku? Powinieneś którąś zaprosić!

Frank posyła jej miażdżące spojrzenie. Brzęczy dzwonek u drzwi i Frank ostrzegawczo patrzy w obiektyw kamery.

FRANK

Hej, Aud, to Linus. Pewnie chcesz... no wiesz. Sprawdź, czy cię nie ma gdzie indziej.

AUDREY (z offu)

Dzięki.

Mama znika w kuchni. Frank idzie wpuścić gościa. Kamera cofa się, ale jej obiektyw dalej jest skierowany na drzwi.

Frank otwiera drzwi, za którymi stoi LINUS.

FRANK

Cześć.

LINUS

Cześć.

Linus zerka na kamerę, która czym prędzej odwraca się i oddala.

Po chwili z drugiego końca korytarza kamera wolno się unosi i w kadrze znowu pojawia się twarz Linusa. Zbliżenie.

Sfilmowałam go tylko dlatego, że jest kolegą Franka. Chciałam, no wiesz, pokazać rodzinę w szerszym kontekście i takie tam różności.

No dobra, poza tym Linus ma ładną twarz.

Której kilka razy dobrze się przyjrzałam z playbacku.

Następnego dnia po śniadaniu mama schodzi na parter w legginsach, krótkim różowym T-shircie i sportowych butach. Na piersi ma przyczepiony monitor pracy serca, a w ręce trzyma butelkę wody.

– Gotowy?! – woła, patrząc w górę schodów. – Frank! Idziemy! Frank! Frank!!!

Mija wieczność, ale w końcu Frank się pojawia. Ma na sobie czarne dżinsy, czarny T-shirt i te same trampki, co zwykle. Patrzy wilkiem.

– Nie możesz biegać w takim stroju – mówi mama.

– Właśnie, że mogę.

– Nie możesz. Nie masz spodenek gimnastycznych?

– Spodenek gimnastycznych???

Widoczne na twarzy Franka zgorzenie jest tak totalne, że mimowolnie parskam śmiechem.

– Co złego jest w spodenkach gimnastycznych? – pyta obronnym tonem mama. – Wy, młodzi, macie poważny problem. Wasze umysły są za ciasne. Jesteście pełni uprzedzeń.

„Wy, młodzi”. Te dwa słowa zwiastują tyradę. Patrząc na mamę zza drzwi do salonu i widzę wszystkie znaki, które potwierdzają moje przypuszczenia. Po oczach poznaję, że w jej głowie kłębią się myśli... ma wiele do powiedzenia... ciężko oddycha...

A potem: Bingo!

– Wiesz co, Frank? Masz tylko jedno ciało! – Zwraca się w jego kierunku. – Musisz o nie dbać jak o skarb! Powinieneś na nie chuchać i dmuchać! Martwi mnie, że nie masz bladego pojęcia o zdrowiu ani o sprawności fizycznej. Tylko byś jadł puste kalorie...

– Kiedy będziemy w twoim wieku, każdy będzie miał dostęp do elektronicznych implantów, które zastąpią nam części ciała – wtrąca beznamiętnie Frank. – O co tyle krzyku?

– Wiesz, ilu twoich rówieśników cierpi na cukrzycę? – pyta dalej mama. – Wiesz, jaką plagą wśród nastolatków jest otyłość? Nie mówiąc już o kłopotach z sercem.

– Okej, to nie mów o nich – odpowiada Frank niewzruszony, czym jeszcze bardziej podsycą jej złość.

– A wiesz, skąd się to bierze? To wina tych waszych monitorów. Niektóre dzieci w waszym wieku nawet nie są w stanie bez pomocy wstać z kanapy!

– Ilu? – odpiera atak Frank.

– Co: ilu?

Mama patrzy na niego zbита z tropu.

– Ilu nastolatków nie jest w stanie samodzielnie wstać z kanapy? Bo moim zdaniem, to są brednie. Naczytałaś się ich w „Daily Mail”?

Mama wbija w niego gniewny wzrok.

– Bardzo wielu.

– Może ze trzech. Bo złamali nogę.

Nie mogę powstrzymać chichotu, więc i mnie mama mrozi spojrzeniem.

– Możesz się ze mnie naigrawać, ile chcesz – mówi do Franka. – Ale przynajmniej poważnie traktuję swoje obowiązki rodzicielskie. Nie dopuszczę, żebyś całe życie spędził na kanapie. Nie pozwolę, żeby zwapniały ci żyły. Nie będziesz kolejnym numerem w statystyce. Rusz się! Idziemy biegać. Zaczniemy od rozgrzewki. Za mną!

Zaczyna maszerować, energicznie wymachując rękami. Poznaje to ćwiczenie z treningu Daviny McCall na DVD. Po chwili Frank dołącza do niej: macha rękami i stroi komiczne miny. Muszę zasłonić usta dłonią, żeby nie wybuchnął śmiechem.

– Poczuj pracę kręgosłupa – mówi mama do Franka. – Powinieneś trenować pilates. Słyszałeś o ćwiczeniu zwanym „deska”?

– Daj mi spokój – mamrocze Frank.

– Teraz rozciąganie...

Kiedy pochylają się, żeby rozciągnąć ścięgna udowe, Felix wpada jak pocisk do pokoju.

– Joga! – wykrzykuje radośnie, jak to on. – Umiem. Umiem robić jogę bardzo szybko.

Kładzie się na plecach i podrzuca nogi do góry.

– Świetna joga – chwalebę go. – Bardzo szybka.

– I silna joga. – Felix patrzy na mnie poważnie. – Jestem najsilniejszą jogą na świecie.

– Tak, jesteś najsilniejszą jogą – potakuję.

– Wystarczy, Frank. – Mama unosi głowę. – Dzisiaj nie będziemy się przemęczać. Wystarczy nam krótka przebieżka...

– A pompki? – wchodzi jej w słowo Frank. – Nie powinniśmy zrobić kilku pompek, zanim wyjdziemy?

– Pompek?

Na mgnienie oka mamie rzędzie mina.

Widziałam, jak mama ćwiczy pompki przy DVD Daviny. Nie polecam tego widoku. Klnie, poci się i wysiada mniej więcej po piątej.

– No... dobrze. – Odzyskuje pewność siebie. – Dobry pomysł, Frank. Możemy zrobić parę pompek.

– Trzydzieści?

– Trzydzieści? – Mamie odpływa krew z twarzy.

– Ja zacznę – mówi Frank.

Opiera dłonie na podłodze i już po chwili rytmicznie zgina i prostuje ręce, jego głowa to wznosi się nad podłogą, to obniża. Dobry jest. Naprawdę dobry.

Mama przygląda się mu, jakby nagle zmienił się w słonia.

– Nie dołączysz? – pyta Frank, niemal bez zatrzymywania.

– Jasne – zgadza się mama. Opada na czworaki. Robi dwie pompki i przerywa ćwiczenie.

– Nie dajesz rady? – pyta Frank, dysząc. – Dwadzieścia trzy... dwadzieścia cztery...

Mama robi jeszcze kilka pompek, a potem się poddaje. Widać, że to ćwiczenie nie sprawia jej przyjemności.

– Frank, gdzie się tego nauczyłeś? – pyta, kiedy chłopak kończy. W jej głosie słyhać niemal irytację, jakby się czuła oszukana.

– W szkole – odpowiada lakonicznie Frank. – Na wuefie. – Przyklęka i posyła jej złośliwy uśmiezek. – Biegać też umiem. Jestem w drużynie przełajowej.

– Co?! – Mama wygląda tak, jakby miała zemdleć. – Nic mi nie powiedziałeś.

– No to jak? Idziemy? – Frank wstaje. – Nie chcę zostać otyłą nastoletnią ofiarą zawału serca. – Kiedy ruszają w kierunku drzwi, jeszcze



słyszę jego słowa: – Słyszałaś, że większość kobiet w średnim wieku zdecydowanie za rzadko ćwiczy pompki? Pisali o tym w „Daily Mail”.

□ □ □

Czterdzieści minut później wracają zdyszani do domu. Zdyszani to mało powiedziane. Frank ledwo się spocił, za to mama leci z nóg. Ma kompletnie czerwoną twarz i mokre włosy. Przytrzymuje się poręczy schodów, żeby nie upaść, i sapie jak lokomotywa.

– Udało się wspólne bieganie? – pyta tata, wchodząc na korytarz, ale na widok mamy staje jak wryty. – Anne, dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest – wykrztusza mama. – Wszystko w porządku. Muszę przyznać, że Frankowi nieźle poszło.

– Mniejsza o Franka, co z tobą? – Tata wciąż się jej przygląda. – Anne, przesadziłaś? Myślałem, że masz dobrą kondycję.

– Bo mam! – Mama niemal krzyczy. – To on wystrychnął mnie na dudka!

Frank ze smutkiem potrząsa głową.

– Warto by zerknąć na pulsometr mamy, bo chyba się zepsuł – mówi. – Mamo, masz tylko jedno ciało. Musisz o nie dbać jak o skarb.

Potem mruga do mnie i jakby nigdy nic idzie do pokoju zabaw.

No wiesz, Frank ma rację.

Ale mama też ma rację. Wszyscy mają rację.

Po bieganiu z mamą Frank spędził dziesięć kolejnych godzin, grając w gry komputerowe. Biegnąc dziesięć godzin. Mama i tata przez cały dzień jeździli z Feliksem na przyjęcia urodzinowe. Kazali Frankowi odrobić w tym czasie lekcje, a on tylko mruknął: „Dobrze”, a potem zalogował się do sieci i przepadł.

Jest niedziela rano. Mama poszła grać w tenisa, tata robi coś w ogrodzie, a ja oglądam telewizję w mojej kanciapie. Nagle Frank staje w drzwiach.

– Cześć.

– Cześć.

Ciemne okulary już mam na nosie, nie odwracam głowy.

– Słuchaj, Audrey, Linus będzie spędzał u nas dużo czasu. Myślę, że powinnaś go bliżej poznać. Jest w mojej drużynie *Ziemi zdobywców*.

Wystarczył dźwięk imienia Linus i słowa: „bliżej poznać”, żebym całkiem stężała.

– Dlaczego miałabym go poznać? – obruszam się.

– Dziwnie się czuje, kiedy do nas przychodzi. No wiesz, tak jak tamtym razem, kiedy przed nim uciekłaś. Napędziłaś mu strachu.

Patrzę gniewnie na Franka. Nie chcę, żeby mi o tym przypominał.

– Wcale nie musi się dziwnie czuć – mówię, obejmując rękami kolana.

– Ale tak się czuje. Myśli, że czymś cię zdenerwował.

– W takim razie powiedz mu. No wiesz... O...

– Już to zrobiłem.

– W takim razie trudno.

Milczymy. Frank wciąż ma żalowaną minę.

– Jeżeli Linus nie będzie chciał do nas przychodzić, to może dołączyć do innej drużyny *Ziemi zdobywców* – mówi. – A jest naprawdę dobry.

– Kto jeszcze należy do drużyny?

Odwracam się, żeby popatrzeć Frankowi w oczy.

– Dwaj chłopcy ze szkoły. Nick i Rameen. Grają online. Ale my z Linusem jesteśmy kimś w rodzaju strategów. Mamy zamiar wziąć udział

w międzynarodowym turnieju, a kwalifikacje są już osiemnastego lipca, więc musimy intensywnie trenować. Główna wygrana to sześć milionów dolarów.

– Słucham?

Unoszę głowę i gapię się z niedowierzaniem.

– Poważnie.

– Można wygrać sześć milionów dolarów? Za samo granie w *Ziemię zdobywców*?

– Nie powiedziałbym, że za „samo” granie – mówi zniecierpliwiony Frank. – To nowa dyscyplina sportowa. Została już oficjalnie wpisana na listę. – Od lat nie widziałam go tak ożywionego. – W Toronto, gdzie organizują ten turniej, właśnie powstaje ogromny stadion specjalnie na tę okazję, żeby ściągnąć tłumy. W grę wchodzi wielka kasa. Właśnie tego nie kumają rodzice. W dzisiejszych czasach gra na komputerze jest rodzajem kariery zawodowej.

– Uhm – potakuję z powątpiewaniem.

Jeszcze w szkole wzięłam udział w targach pracy. Jakoś nie zauważyłam tam stoiska z plakatem: ZOSTAŃ GRACZEM!

– Musisz się więc postarać, żeby Linus czuł się tu komfortowo – kończy Frank. – Nie mogę sobie pozwolić na jego odejście z drużyny.

– Nie możecie się spotykać u niego?

Frank potrząsa głową.

– Próbowaliśmy. Ale on mieszka z babcią, która cierpi na demencję. Nie daje nam spokoju. Ciągłe krzyczy, płacze, a czasami w ogóle nie poznaje Linusa albo wyjmuje wszystko z zamrażarki. Muszą ją mieć na oku dwadzieścia cztery godziny na dobę. Linus odrabia lekcje w szkole.

– Rozumiem. – Próbuję przetrwać te informacje. – Biedny Linus. Cóż... no wiesz. Powiedz mu, że wszystko w porządku.

– Prosił mnie o twój numer telefonu, ale... – Frank wzrusza ramionami.

– Jasne.

Obecnie nie mam telefonu. Jakby jeszcze wszystkiego było mało, zniechęcałam się do telefonów. Nie mam fobii – po prostu ich nie lubię.

Frank nie zrozumie tego, nawet gdyby próbował przez milion lat.

Wychodzi, a ja przełączam kanał i zaczynam oglądać *Mamy cię!* Felix chce obejrzeć ze mną program, więc siadamy obok siebie na sofie. Jest jak chodzący, gadający pluszowy miś albo miękka przytulanka, a kiedy naciśniesz mu brzuch, wybucha śmiechem – dosłownie za każdym razem. Ma burzę jasnych loczków, więc wygląda jak dmuchawiec, a jego twarz jest zawsze szczera i ufna. Czujesz, że musisz go chronić, żeby nigdy nic złego go nie spotkało.

Domyślam się, że rodzice czuli to samo do mnie.

– Co słyszeć w szkole, Felix? – pytam. – Dalej się przyjaźnisz z Aidanem?

– Aidan ma ospę wieczną – odpowiada.

– Ospę wietrzną?

– Wieczną – poprawia mnie, jakby rozmawiał z półgłówkiem. – Ospę wieczną.

– Niech ci będzie – potakuję. – Mam nadzieję, że się od niego nie zarazisz.

– Pokonam ospę wieczną moim mieczem – deklaruje z pełną powagą. – Jestem bardzo silnym wojownikiem.

Zdejmuję okulary przeciwsłoneczne i patrzę na jego okrągłą, szczerą twarzyczkę. Felix jest jedyną osobą, której jestem w stanie spojrzeć w oczy. Gdybym miała zrobić to samo z rodzicami – zapomnij. Ich oczy są pełne zmartwień i obaw – mają taki wyraz, jakby skrywały zbyt wielką wiedzę. I zbyt wielką miłość, jeśli rozumiesz, o czym mówię. Kiedy w nie patrzę, tamte zdarzenia wracają do mnie gwałtowną falą – wzmocnioną przez złość rodziców, przez ich święte oburzenie. Oczywiście nie złością się na mnie, jednak złość to złość. Toksyczne uczucie.

Kiedy Frank na mnie patrzy, za każdym razem poznaję po wzroku, że trochę pęka. Na pewno myśli: „Ratunku! Mojej siostrze odbiło, nie wiem, co robić!”. Nie chce się bać, ale to silniejsze od niego. Nic dziwnego. Jego siostra chowa się po kątach i nosi w domu okulary przeciwsłoneczne – kto by nie spękał?

Tymczasem błękitne oczy Feliksa są tak transparentne i czyste, działają tak ożywczo jak łyk wody. Maluch wie niewiele ponad to, że ma na imię Felix.

– *Hello*, mały – mówię i zbliżam twarz do jego policzka.

– *Hello*, mała. – Przytula się jeszcze mocniej. – Ulepimy dziś bałwana?

Felix ma fioła na punkcie *Krainy lodu*, czemu zresztą trudno się dziwić. Sama identyfikuję się z królową Elszą. Tylko nie jestem pewna, czy uda mi się stopić lód za pomocą uczuć. Raczej będę musiała go mozolnie kruszyć szpikulcem do lodu.

– Audrey. – Słyszę głos Franka. – Linus tu jest. Kazał ci to dać.

Kiedy unoszę głowę nad policzkiem Feliksa, moje okulary są już z powrotem na swoim miejscu. Frank wyciąga do mnie rękę, w której trzyma złożoną na pół kartkę.

– Och – mówię zaskoczona i biorę liścik. – Okej.

Frank oddala się, a ja rozkładam kartkę i czytam napisaną obcym charakterem pisma wiadomość.

Cześć. Przepraszam za tamto. Nie chciałem Cię przestraszyć.

Linus

O Boże.

I to „o Boże” w każdym sensie. Po pierwsze, Linus myśli, że mnie przestraszył. (To prawda, ale nie dlatego, że powinnam się go bać). Po drugie, sądził, że musi mnie przeprosić, przez co mam wyrzuty sumienia. Po trzecie, co teraz?

Chwilę się zastanawiam, a potem piszę pod spodem:

Nie, to ja przepraszam. Mam taką dziwną przypadłość. Nie chodzi o Ciebie.

Audrey

– Felix. – Idź i daj to Linusowi. Linusowi – powtarzam, widząc jego

zagubiony wzrok. – Kojarzysz Linusa? To kolega Franka. Taki duży chłopak.

Felix bierze kartkę i przez chwilę się jej przygląda. Potem składa ją na pół, chowa do kieszeni i zaczyna bawić się kolejką.

– Felix, no idź – ponaglam. – Daj to Linusowi.

– Ale tak dobrze pasuje do mojej kieszeni – protestuje. – Będzie moim papierem kieszeniowym.

– To nie twoje. To list.

– Chcę papier kieszeniowy!

Felix wykrzywia buzię w podkówkę, zaraz się rozbeczy.

Na litość boską. W filmach przypinają liścik psu do obroży, a ten posłusznie idzie tam, gdzie mu każą – zero problemów.

– Dobrze, Felix, dam ci papier kieszeniowy – mówię poirytowana. – Chociaż nie wiem, co to w ogóle jest. Proszę. – Wyrywam kartkę z gazety, składam ją i wsuwam mu do kieszeni. – A teraz zanieś tę wiadomość Linusowi. Jest w pokoju zabaw.

W końcu Felix wychodzi, ale wcale nie jestem pewna, czy mój liścik dotrze do celu. O wiele bardziej prawdopodobne jest to, że mały wyrzuci go do kosza, włoży do odtwarzacza DVD albo zapomni o jego istnieniu. Pogląsniam dźwięk telewizora i oglądam *Mamy cię!*, żeby już o tym nie myśleć.

Jednak mniej więcej dwie minuty później Felix podaje mi kartkę i mówi podniecony:

– Przeczytaj! Przeczytaj, co jest na papierze kieszeniowym!

Rozkładałam kartkę – Linus dopisał kolejną wiadomość. Nasza korespondencja zaczyna przypominać zabawę w dopisywanie zdań, żeby ułożyć historyjkę.

Frank mi wytłumaczył, o co chodzi. Musi Ci być ciężko.

Wyglądam kartkę na kolanie i dopisuję:

Nie jest źle. Prawdę mówiąc, jest źle, ale nic na to nie poradzę. Mam

nadzieję, że wygrywasz. A przy okazji – byłeś świetny jako Atticus Finch.

Wysłałam liścik za pośrednictwem niesamowitego psa pocztowego Feliksa i gapię się na ekran – ale nie oglądam *Mamy cię!* Czekam. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz coś takiego robiłam. Sama nie wiem, jak długo broniłam się przed kontaktem z ludźmi spoza mojego bezpiecznego kręgu. To wciąż tygodnie czy już miesiące? Zanim sobie odpowiadam na to pytanie, Felix wraca, więc biorę od niego kartkę.

Dzięki. Właściwie mamy przerąbane. Frank na mnie krzyczy, bo piszę do Ciebie, zamiast grać. Masz na mnie zły wpływ, Audrey.

Uderza mnie sposób, w jaki napisał moje imię. Brzmi intymnie. Jakby przywłaszczył sobie część mnie. Próbuję sobie wyobrazić jego głos, kiedy mówi: „Audrey”.

– Narysuj słowa – instruuje mnie Felix. Totalnie wczuł się w rolę pośrednika. – Narysuj słowa. – Stuka palcem w papier. – Słowa!

Nie chcę już więcej powierzać tej kartki Feliksowi. Mam ochotę starannie ją złożyć i przechowywać w miejscu, gdzie będę mogła w spokoju ją analizować. Badać charakter pisma Linusa. Myśleć o tym, jak spod jego długopisu wyszło moje imię. Audrey.

Biorę czystą kartkę A4 ze stolika, na którym trzymam przybory szkolne, i szybko piszę:

Miło było z Tobą pogadać, czy jak to nazwać.

Do zobaczenia.

Wysłałam Feliksa z tą wiadomością i w pół minuty nadchodzi odpowiedź:

Do zobaczenia.

Nadal trzymam w ręce pierwszą kartkę – tę z moim imieniem. Unoszę ją do twarzy i wdycham zapach. Zdaje mi się, że czuję jego mydło albo szampon czy coś w tym rodzaju.

Felix wbija nos w drugą kartkę i patrzy nad nią na mnie oczami wielkimi jak spodki.

– Twój papier kieszonkowy pachnie kupką – mówi i wybucha śmiechem.

Nie ma to jak czterolatek. Zawsze gotowy zepsuć ci nastrój.

– Dzięki, Felix. – Targam mu włosy. – Jesteś wspaniałym posłańcem.

– Narysuj więcej słów – mówi, poklepując kartkę. – Więcej słów.

– Skończyliśmy naszą rozmowę – tłumaczę, ale Felix sięga po kredkę i podaje mi ją.

– Zrób czerwone słowa – domaga się. – Zrób napis: „Felix”.

Piszę więc „Felix”, a on patrzy z zachwytem. Potem obejmuję go i przytulam.

Czuję się w pewnym sensie wyczerpana. I tak, jakbym wyrzuciła z siebie wielki ładunek emocji. Może ci się zdawać, że jestem przewrażliwiona, ale jeśli jeszcze tego nie zauważyłeś, to na wszelki wypadek przypominam, że masz przed sobą mistrzynię nadwrażliwości.

Prawda jest taka, że jeśli nie utrzymujesz z nikim nowym żadnych kontaktów, to wychodzisz z wprawy. A kiedy zdarzy się okazja powrotu do dawnych zwyczajów, jest to dość wyczerpujące doświadczenie. Doktor Sarah uprzedziła mnie, że tak będzie. Mówi, że muszę się przygotować na fakt, że będą mnie męczyć nawet najdrobniejsze ćwiczenia i nowe kroki. I wierz mi albo nie, ale ta nic nie znacząca wymiana liścików potwierdziła jej słowa.

Była jednak całkiem miła.



# MOJA RADOSNA, CZUŁA RODZINKA

## SCENARIUSZ FILMOWY

### WNĘTRZE DOMU. ROSEWOOD CLOSE 5. DZIEŃ

Kamera zbliża się do zamkniętych drzwi.

AUDREY (z offu)

Tu znajduje się gabinet taty. Kiedy tata nie siedzi w biurze, pracuje tutaj.

Dłoń w kadrze popycha drzwi i otwiera je. Widzimy tatę pochylonego nad biurkiem i pochrapującego. Na ekranie monitora widać sportową alfę romeo.

AUDREY (z offu)

Tato, śpisz?

Tata podrywa głowę znad blatu i nerwowo zasłania ekran.

TATA

Nie, nie śpię. Myślę. Zapakowałaś już prezent dla mamy?

AUDREY (z offu)

Właśnie dlatego przyszedłam. Masz papier ozdobny?

TATA

Tak.

Znajduje rolkę papieru i podaje ją Audrey.

TATA

Zobacz, co jeszcze mam!

Wyjmuje zza biurka białe pudełko z cukierni i otwiera je, żeby pokazać duży tort urodzinowy, ozdobiony wielką liczbą 39 z lukru.

Przez chwilę panuje milczenie.

AUDREY (z offu)

Tato, dlaczego kazałeś napisać na torcie mamy trzydzieści dziewięć?

TATA

Nikt nie jest za stary na tort urodzinowy ze specjalną dedykacją.  
(Mruga do obiektywu)

W każdym razie ja nie jestem za stary.

AUDREY (z offu)

Ale mama nie kończy trzydziestu dziewięciu lat.

TATA

(skonsternowany)

Ależ oczywiście.

AUDREY (z offu)

Właśnie że nie.

TATA

Właśnie, że tak...

Milknie i głęboko nabiera powietrza. Zerka na tort z przerażeniem, a potem z powrotem na kamerę.

TATA

O Boże! Myślisz, że będzie jej przykro? Nie. Oczywiście że nie. Przecież to tylko różnica jednego roku. Nie ma się czym przejmować...

AUDREY (z offu)

Tato, mogę cię zapewnić, że będzie jej bardzo przykro.

Tata wpada w panikę.

TATA

Potrzebny nam nowy tort. Ile mamy czasu?

Z dołu dobiega trzask drzwi wejściowych.

MAMA (z offu)

Cześć! Już wróciłam!

Tata się miota.

TATA

Audrey, co robić?

AUDREY (z offu)

Możemy to naprawić. Przerobimy dziewiątkę na ósemkę.

TATA

Tylko czym?

Sięga po buteleczkę korektora Tipp-Ex.

AUDREY (z offu)

Nie!

Słychać pukanie do drzwi i do pokoju wchodzi Frank.

FRANK

Mama wróciła. Kiedy złożymy jej życzenia?

Tata zdejmuje zatyczkę z markera Sharpie.

TATA

Tym powinno się udać.

AUDREY (z offu)

Nie! Frank, leć do kuchni. Potrzebny nam lukier w tubce czy coś w tym rodzaju. Coś jadalnego, czym da się pisać. Ale nie mów mamie, co robisz.

FRANK

(zdumiony)

Coś jadalnego, czym da się pisać?

TATA

Szybko!

Frank znika z kadru. Kamera filmuje tort.

AUDREY (z offu)

Dlaczego pomyliłeś jej wiek? To znaczy, jak to się stało?

TATA

(obejmując dłońmi głowę)

Nie mam pojęcia. Przez cały miesiąc przygotowywałem prognozy finansowe na przyszły rok. Cały czas o tym myślę. Chyba dlatego jeden rok mi umknął.

Frank wpada do pokoju z plastikową butelką ketchupu Heinza.

AUDREY (z offu)

Ketchup? Poważnie?

FRANK

(obronnym tonem)

Przecież nie wiedziałem, do czego go potrzebujecie!

Tata chwyta butelkę.

TATA

Damy radę przerobić dziewiątkę na ósemkę za pomocą ketchupu?

FRANK

Mama i tak się skapnie.

AUDREY (z offu)

Obrysuj ketchupem całą liczbę. W ogóle zrób z tego tort ketchupowy.

FRANK

Kto lukruje ciasto ketchupem?

TATA

Mama uwielbia ketchup. Może być. Będzie świetne.

Okej, a teraz lekcja życia. Nie próbuj ratować tortu urodzinowego ketchupem. Tipp-Ex sprawdziłby się lepiej.

Kiedy tata wszedł z tortem, mama zaniemówiła. I to nie z zachwytu. Bo wiesz, jeśli weźmiesz tort z białym lukrem i zbryzgasz go ketchupem, to efekt będzie wyglądał jak teksańska masakra piłą mechaniczną.

Zaczęliśmy śpiewać *Sto lat* dwa razy głośniej niż zwykle, a kiedy skończyliśmy i mama zdmuchnęła świeczkę (jedną), tata powiedział:

– Wspaniale! Zaniosę go teraz do kuchni i pokroję...

– Poczekaj. – Mama złapała go za rękę. – Co to właściwie jest? Chyba nie ketchup?

– Specjalny przepis Hestona Blumenthala – odparł bez mrugnięcia okiem tata. – Eksperymentalny.

– Aha... – Mama nadal nie wyglądała na przekonaną. – A czy to nie...? – Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, zaczęła ścierać ketchup chusteczką. – Tak myślałam! Pod spodem jest napis.

– Och, to nic – rzucił szybko tata.

– Ale został specjalnie umieszczony! – Starła resztki sosu pomidorowego i po chwili wszyscy w milczeniu przyglądaliśmy się pomazanemu biało-czerwonymi plamami tortowi.

– Chris – powiedziała dziwnym głosem mama. – Dlaczego tu jest liczba trzydzieści dziewięć?

– Nieprawda! Trzydzieści osiem. Zobacz. – Tata przesunął palcem wzdłuż pomidorowych smug po ketchupie. – To jest ósemka.

– Dziewięć – z pełnym przekonaniem Felix, wskazując na tort. – Liczba dziewięć.

– To przecież osiem, Felix! – odparł ostro tata. – Osiem!

Kiedy popatrzyłam na Feliksa, który z konsternacją wpatrywał się w tort, ogarnęło mnie współczucie. Jak on ma się czegoś nauczyć, mając za rodziców takich świrów?

– To dziewięć, Felix – szepnęłam mu do ucha. – Tatuś żartuje.

– Sądziłeś, że kończę trzydzieści dziewięć lat? – Mama uniosła wzrok na tatę. – Czy ja wyglądam na trzydzieści dziewięć? Tak myślisz? – Przyłożyła dłonie do policzków i gniewnie patrzyła na tatę. – To twarz



trzydziestodzieściuioletniej kobiety? Chciałeś mi dać coś do zrozumienia?  
Moim zdaniem trzeba było po prostu wyrzucić ten tort.

□ □ □

Tak więc dzisiaj wieczorem tata zabiera mamę na urodzinową randkę – łatwo się tego domyślić po oparach perfum, które ni stąd, ni zowąd rozpływają się po całym piętrze. Mama nie jest szczególnie subtelna, kiedy wychodzi na imprezę. Zawsze nam powtarza, że jej życie towarzyskie właściwie nie istnieje, odkąd urodziła troje dzieci, więc jeśli już wychodzi, to nadrabia perfumami, makijażem, lakierem do włosów i obcasami. Kiedy idzie niepewnym krokiem po schodach, widzę plamkę niedokładnie rozprowadzonego kremu samoopalającego z tyłu na jej ręce, ale nie zwrócę jej na to uwagi. Nie w urodziny.

– Poradzisz sobie, kochanie? – Opiera dłonie na moich ramionach i patrzy na mnie zatroskana. – Pamiętasz nasze numery telefonów? W razie problemów każ Frankowi od razu dzwonić.

Mama wie, że jeśli chodzi o telefony, to nie jestem szczególnie błyskotliwa. Dlatego właśnie Frank oficjalnie pełni rolę niańki, a nie ja.

– Dam sobie radę, mamó.

– Oczywiście – mówi, ale nie zdejmuje dłoni z moich ramion.

– Kochanie, nie przemęczaj się. Idźcie wcześniej spać.

– Dobrze – obiecuję.

– A Frank... – Zerka w jego kierunku, kiedy ten wchodzi na korytarz.

– Ty dzisiaj zajmiesz się tylko odrabianiem lekcji. Bo biorę ze sobą to.

Triumfalnie pokazuje mu kabel zasilania, na co Frank rozdziawia usta.

– Odłączyłaś...?

– Komputer? Tak, młody człowieku, odłączyłam. Chciałam się upewnić, że ten komputer nie będzie działał choćby przez nanosekundę. Kiedy odrobisz zadanie domowe, możesz pooglądać telewizję albo poczytać książkę. Przeczytaj sobie Dickensa!

– Dickensa! – Frank powtarza jak echo pogardliwym tonem.

– Tak, Dickensa! Czemu nie? Kiedy byłam w twoim wieku...

– Wiem. – Frank wchodzi jej w słowo. – Byłaś na występie Dickensa na żywo. I było zarąbiście.

Mama robi zbolałą minę.

– Ale śmieszne.

– No to gdzie jest jubilatka? – Tata zbiega po schodach, ciągnąc za sobą opary wody kolońskiej. Dlaczego rodzice tak lubią przesadzać z perfumami? – Wszystko w porządku, dzieciaki? – Patrzy na mnie i Franka. – Będziemy tuż za rogiem.

Rodzice nie są w stanie po prostu wyjść z domu. Mama jeszcze ostatni raz zagląda do Feliksa, a tata przypomina sobie, że zostawił włączony zraszacz w ogrodzie, a potem mama postanawia się upewnić, czy jej Sky+ jest nastawiona na nagrywanie *EastEnders*.

W końcu wyganiają ich z domu i patrzymy na siebie.

– Pewnie za godzinę będą z powrotem – prorokuje Frank i idzie do pokoju zabaw.

Idę tam z nim, bo nie mam nic innego do roboty, a ponadto może uda mi się przeczytać kolejny tom Scotta Pilgrima. Frank podchodzi do biurka, buszuje w swojej szkolnej torbie i wyciąga z niej kabel zasilania. Potem włącza komputer, loguje się i na monitorze pojawia się *Ziemia zdobywców*.

– Wiedziałeś, że mama zabierze ci kabel? – pytam. Jestem pod wrażeniem.

– To jej stary numer. Mam ich z pięć.

Kiedy zaczyna grać, jego oczy robią się szkliste i wiem, że nie ma sensu dalej go zagadywać. Rozglądam się, szukając komiksu o Scotcie Pilgrimie, i znajduję go pod pustą wielką paką po chipsach Hula Hoops. Siadam z podwiniętymi nogami na sofie, żeby poczytać.

Zdaje mi się, że minęła tylko chwila, gdy unoszę głowę i widzę w drzwiach mamę na tych jej wysokich obcasach. Jak to się stało?

– Mamo? – Mrugam dezorientowana. – Myślałam, że wyszłaś.

– Wróciłam po telefon. – Jej słodki głos zwiastuje nieszczęście. – Frank? Co robisz?

O Boże. Frank. Frank! Przerażona szybko odwracam głowę. Frank wciąż porusza myszą po podkładce, na uszach ma słuchawki.

– Frank! – krzyczy mama, a on dopiero wtedy odrywa wzrok od

monitora.

– Tak?

– Co robisz? – pyta mama tym samym słodkim, złowieszczym tonem.

– Laborki językowe – odpowiada bez zająknięcia Frank.

– Językowe... co?

Mama wygląda na zbitą z tropu.

– Zadanie domowe z francuskiego. To taki program testujący znajomość słownictwa. Musiałem znaleźć stary kabel, żeby włączyć komputer. Pomyślałem, że nie będziesz się gniewać.

Wskazuje na monitor, po którym płynnie porusza się słowo *armoire* napisane wielką czerwoną czcionką i niebieskie: „garderoba”.

Niesamowite. Musiał się wykazać niezwykłą szybkością, żeby wywołać ten wygaszacz.

Prawdę mówiąc, granie w *Ziemię zdobywców* dobrze wpływa na refleks. To fakt.

– I cały czas rozwiązywałeś zadania językowe? – Mama zerka na mnie, podejrzliwie mrużąc oczy, więc odwracam głowę. Nie mam zamiaru się w to mieszać.

– Ja nic nie wiem. Czytałam Scotta Pilgrima – mówię zgodnie z prawdą.

Mama znowu skupia się na Franku.

– Na pewno nie kłamiesz?

– Ja kłamię?

Frank robi urażoną minę.

– Nie wciskaj mi kitu! Chcesz mi powiedzieć z ręką na sercu, że odrabiałeś lekcje i nie robiłeś nic więcej?

Frank przez chwilę tylko się jej przygląda. Potem ze smutną miną potrząsa głową.

– Ech, wy dorośli. Myślicie, że nastolatki potrafią tylko kłamać. Zakładacie, że kłamią. I z takim nastawieniem startujecie do rozmowy. Można się totalnie załamać.

– Niczego nie zakładam... – zaczyna mama, ale Frank wchodzi jej w słowo:

– Właśnie, że tak! Wszyscy idziecie na łatwiznę i stawiacie hipotezę,

że każdy poniżej osiemnastego roku życia jest patologicznym, nieszczerym podczłowiekiem bez charakteru. Ale jesteśmy ludźmi, tak samo jak wy, tyle że nie chcecie tego przyjąć do wiadomości! – mówi z niespodziewaną pasją. – Mamo, dlaczego chociaż raz nie uwierzysz, że twój syn robi coś wartościowego? Czy nie potrafisz obdarzyć mnie choć odrobiną zaufania? Ale zgoda, jeżeli chcesz, żebym wyłączył komputer i nie odrabiał lekcji z francuskiego, to w porządku. Wy tłumaczę to jutro nauczycielce.

Zdaje się, że ta przemowa kompletnie zaskoczyła mamę. Prawdę mówiąc, wygląda na zawstydzoną.

– Nie powiedziałam, że kłamiesz! Po prostu... Posłuchaj, jeśli odrabiasz zadanie z francuskiego, to wszystko w porządku. Nie wyłączaj. Do zobaczenia wkrótce.

Stukając obcasami, idzie korytarzem i po chwili słyszymy trzask drzwi.

– Jesteś chory – mówię, nie odrywając wzroku od komiksu.

Frank nie odpowiada. Już wrócił do gry i odciął się od rzeczywistości. Przerzucam stronę komiksu, wsłuchuję się w mamrotanie Franka i zastanawiam się, czy nie przyrządzić sobie gorącej czekolady. Nagle ktoś za oknem bardzo głośno łomocze w szybę.

– FRAAAAAANK!!!

Podsakuję niemal pod sufit i oddycham tak szybko, że chyba zaraz się zapowietrzę. Mama stoi za oknem i zagląda do środka, a jej twarz przypomina maskę jakiegoś przerażającego demona. Nigdy nie widziałam, żeby była aż tak wściekła.

– Chris! – wrzeszczy. – CHODŹ TUTAJ! PRZYŁAPAŁAM GO NA GORĄCYM UCZYNKU!

Skąd ona się tam w ogóle wzięła? Okna pokoju zabaw znajdują się prawie dwa metry nad ziemią.

Zerkam na Franka, który tym razem zdaje się naprawdę wystraszony. Wyłączył *Ziemię*, ale mama i tak zdążyła go nakryć. Nie mogła nie zauważyć, że gra.

– Dostanie ci się – mówię.

– Kurde. – Frank jest wkurzony. – Nie spodziewałem się, że będzie mnie szpiegować.

– Chris! – krzyczy mama. – Ratunku! Nie... Aaaach!

Jej twarz znika z okna i z zewnątrz dobiega głośny trzask.

O mój Boże. Co się stało? Zrywam się na równe nogi i biegnę do drzwi kuchennych. Okno pokoju zabaw wychodzi na ogród, ale kiedy wyglądam na dwór, nie widzę tam mamy – jedynie należący do Feliksa plastikowy domek do zabawy przestawiony pod okno. Wygląda na to, że jego dach jest złamany i...

Nie.

To niemożliwe.

Wystają z niego stopy mamy – wciąż w butach na wysokim obcasie.

Frank staje na schodach przed wejściem kuchennym i widzi to samo, co ja. Zasłania dłonią usta, a ja daję mu kuksańca w bok.

– Ani słowa! Może coś jej się stało! Mamo, wszystko w porządku?! – krzyczę, podbiegając do domku.

– Anne! – Tata w końcu pojawił się na miejscu wypadku. – Co się stało? Co tam robiłaś?

– Zaglądałam przez okno – dobiega z domku stłumiony głos mamy. – Wyciągnij mnie stąd. Kompletnie się zaklinowałam.

– Myślałem, mamo, że wchodząc na ten domek, dajemy zły przykład Feliksowi – mówi beznamiętnie Frank i ze środka dobiega wściekły syk.

– Ty mały...

To chyba dobrze, że w tej chwili głos mamy jest stłumiony.

Dopiero połączonymi siłami udaje nam się razem z tatą i Frankiem wyciągnąć mamę z domku. Nie mogę powiedzieć, że dzięki temu poprawił się jej nastrój. Szczotkuje włosy, trzęsąc się z wściekłości.

– No dobrze, młody człowieku – mówi do Franka, który z nadąsaną miną intensywnie wpatruje się w podłogę. – Miarka się przebrała. Masz zakaz grania na komputerze przez... Jaki okres sugerujesz, Chris?

– Jeden dzień – mówi zdecydowanym głosem tata.

Dokładnie w tej samej chwili mama proponuje dwa miesiące.

– Chris! – oburza się mama. – Tylko jeden dzień?

– Skąd mam wiedzieć?! – broni się tata. – Nie stawiaj mnie w takiej sytuacji.

Rodzice konspiracyjnie obejmują się, odchodzą na bok i zaczynają

szeptać, a my z Frankiem czekamy i nie bardzo wiemy, jak się zachować. Domyślam się, że mogłabym wrócić do domu, ale chcę zobaczyć, co z tego wyniknie.

Muszę przyznać, że głupio jest tak stać bez sensu, kiedy oni szepczą do siebie słowa w rodzaju: „Żeby wreszcie do niego dotarło...” albo „Dajmy mu odczuć...”.

Słowo daję, że kiedy sama będę miała dzieci, rodzaj kary będę zawsze ustalać na początku.

– No dobrze. – Tata w końcu kończy naradę z mamą. – Dziesięć dni bez komputera, telefonu, bez niczego.

– Dziesięć dni? – Frank patrzy na tatę swoim firmowym morderczym wzrokiem, z jego oczu strzelają śmiertelne laserowe promienie. – To nieadekwatna kara.

– Nieprawda. – Mama wyciąga rękę. – Telefon, proszę.

– Ale co powiem chłopakom z drużyny? Nie mogę ich zostawić na lodzie. Cały czas wciskasz mi kit o „duchu współpracy” i „wszystkich rękach na pokład”, a teraz każesz mi ich zawieść?

– Jakim chłopakom z drużyny? – Mama jest skołowana. – Mówisz o drużynie przełajowej?

– O chłopakach z *Ziemi zdobywców*! – stanowczo oponuje Frank. – Mówiłem ci milion razy, że trenujemy do turnieju.

– Do turnieju gier komputerowych? – pyta ze ślełą pogardą mama.

– Do międzynarodowego turnieju *Ziemi zdobywców*! Główna wygrana to sześć milionów dolarów! Właśnie dlatego Linus wciąż u nas przesiaduje. Co mam mu powiedzieć?

– Powiedz, że jesteś zajęty – radzi szorstko mama. – Szczerze mówiąc, wolałabym, żeby Linus już do nas nie przychodził. Moim zdaniem, powinieneś znaleźć kolegów o szerszych zainteresowaniach. Ponadto jego obecność źle działa na Audrey.

– Linus jest moim przyjacielem! – Frank wygląda tak, jakby zaraz miał wybuchnąć. – Do cholery, nie możesz zakazać moim przyjaciołom przychodzić do mnie!

Okej, nie powinien mówić: „do cholery”. Widzę, że mama szykuje się do ataku niczym kobra.

– Proszę, Frank, tylko bez przekleństw – mówi lodowato.  
– Oczywiście, że mogę. To mój dom i ja decyduję, kto może tu przychodzić. Nie wiesz, że Audrey dostała ataku, kiedy go u nas zobaczyła?

– Nie będzie miała więcej ataków – odpowiada szybko Frank. – Przyzwyczajają się do jego obecności. Prawda, Audrey?

– Jest w porządku – odzywam się niepewnie.

– Jeszcze o tym porozmawiamy – mówi mama i mierzy Franka lodowatym spojrzeniem. – A tymczasem mogę zaufać, że zajmiesz się lekcjami i nie skombinujesz kolejnego kabla, czy muszę odwołać kolację urodzinową, na którą od miesiąca czekaliśmy z tatą i którą już udało ci się zepsuć? – Zerka na swoje nogi. – Moje rajstopy już do niczego się nie nadają.

Kiedy stawia sprawę w taki sposób, od razu czujesz się winny. To znaczy, przynajmniej ja czuję wyrzuty sumienia, chociaż nic nie zrobiłam, więc domyślałam się, że Frank czuje się jeszcze gorzej – chociaż z nim nigdy nic nie wiadomo.

– Przepraszam – mamrocze i oboje patrzymy w milczeniu, jak rodzice idą na drugą stronę domu, żeby wziąć samochód. Słyszemy trzask drzwiczek i znowu zostajemy sami.

– Dziesięć dni – mówi w końcu Frank, zamykając oczy.

– Zawsze to lepiej niż dwa miesiące – próbuję go pocieszyć i od razu zdaję sobie sprawę, jak dennie i lamersko zabrzmiały moje słowa. – To znaczy... przepraszam. Totalna kicha.

– No.

Wracamy do domu i wchodzimy do kuchni. Wstawiam wodę na gaz, żeby zrobić gorącą czekoladę. Nagle słyszę głos Franka stojącego przy drzwiach:

– Audrey, będziesz musiała przyzwycząić się do Linusa.

– Och.

Czuję dziwne poruszenie w piersi. To przez dźwięk jego imienia. Linus. Wywołuje u mnie taką reakcję.

– Musi tu przychodzić. Potrzebuje trochę swobody do trenowania.

– Ale mama nie pozwoli wam grać.

– Tylko przez dziesięć dni. – Niecierpliwie macha ręką. – Potem

będziemy musieli poważnie się przyłożyć. Zbliża się termin kwalifikacji.

– Jasne.

Sypię do kubka czekoladowy proszek.

– Dlatego nie wolno ci świrować na jego widok. Mówię poważnie: nie świruj – powtarza, widząc moją minę. – Żadnych ataków ani nic w tym rodzaju. Wiem, to poważna sprawa. Wiem, że to choroba i tak dalej. Naprawdę wiem.

Parę razy zaciągnęliśmy Franka na rodzinną terapię grupową. Szczerze mówiąc, spisywał się wzorowo podczas tych spotkań. Mówił mi miłe rzeczy. O mnie, o tym, co się stało, i...

Mniejsza z tym.

– Chodzi o to, żeby Linus mógł do mnie przychodzić, a mama nie suszyła mi głowy – tłumaczy Frank. – Dlatego nie możesz uciekać, kiedy go widzisz, ani nic z tych rzeczy. Okej?

Następuje chwila milczenia. Zalewam czekoladę wrzątkiem i patrzę na wirujące drobiny w kubku, które w ciągu kilku sekund zmieniają się z pyłu w doskonały napój. Wystarczy tylko jeden składnik, żeby dokonała się ta transformacja. Zawsze o tym myślę, przyrządzając czekoladę.

Zresztą to wcale nie jest dobra cecha. Za dużo myślę. O wiele za dużo. Wszyscy się co do tego zgadzają.

– Przynajmniej spróbuj – mówi Frank. – Proszę.

– W porządku.

Wzruszam ramionami i popijam łyk czekolady.



# MOJA RADOSNA, CZUŁA RODZINKA

## SCENARIUSZ FILMOWY

### WNĘTRZE DOMU. ROSEWOOD CLOSE 5. DZIEŃ

Mama, tata i Frank siedzą przy stole i jedzą śniadanie. Mama czyta „Daily Mail”. Tata coś sprawdza w swoim BlackBerry.

Najazd kamery na Franka, który zdaje się najeżony i nadąsany.

MAMA

Frank, co robisz dzisiaj po szkole?

Frank nie odpowiada.

MAMA

Frank?

Frank milczy.

MAMA

Frank!

Trąca stopą tatę. Ten unosi głowę, nie wie, o co chodzi.

MAMA

Chris!

Znacząco wskazuje głową na Franka. Tata w końcu orientuje się w sytuacji.

TATA

Frank, zachowuj się. Jesteśmy rodziną i mieszkamy pod jednym dachem. Współżycie wymaga komunikacji. Odpowiedz matce.

FRANK

(przewraca oczami)

Nie wiem, co będę robił po szkole. Na pewno nie będę grać na komputerze.

MAMA

Bo wiesz, chciałabym przejrzeć twoje koszule. Nie wiem, co ty z nimi robisz. Chris, twoje też możemy sprawdzić przy okazji.

Tata nie odrywa wzroku od smartfona.

MAMA

Chris? Chris!

Tata jest tak zajęty, że nic nie słyszy.

FRANK

Tato? Halo! Rodzina. Komunikacja. Rodzina.

Macha dłonią przed twarzą taty, a ten w końcu unosi głowę. Mrugając, patrzy na Franka.

TATA

Nie, nie możesz nigdzie iść. Masz szlaban, młody człowieku.

Widzi miny domowników i dociera do niego, że się pomylił.

TATA

To znaczy... załaduj zmywarke.  
(podejmuje jeszcze jedną próbę)

To znaczy, wkładaj swoje brudy do właściwego kosza.  
(poddaje się)

Zrób to, co mama ci każe.

Wieczorem następnego dnia Frank staje przed drzwiami mojej kanciapy i mówi bez żadnego wstępu:

– Przyprawdzą Linusa, żebyście się przywitali.

– Dobrze. – Staram się, żeby moja odpowiedź brzmiała naturalnie i spokojnie. – Okej.

Naturalnie i spokojnie? Dobrze sobie. Moje ciało już tężeje. Oddech już staje się coraz szybszy. Panika gwałtownie narasta. Tracę kontrolę. Słyszę głos doktor Sarah i próbuję sobie przypomnieć jej kojącą nerwy postać.

*Nie broń się przed emocjami.*

*Odkryj swój „gadzi mózg”.*

*Uspokój swój „gadzi mózg”.*

*Mój cholerny „gadzi mózg”.*

Może nie wiesz, że problem z mózgiem polega na tym, że nie jest jednolitą grudą galaretowatej masy. Mózg jest podzielony na części – moim skromnym zdaniem, niektóre z nich są bardzo fajne, a inne jedynie zajmują miejsce.

Część, bez której śmiało mogłabym się obejść, to „gadzi mózg”. W literaturze fachowej nazywa się amygdalą, ciałem migdałowatym. Kiedy paraliżuje cię strach, to właśnie „gadzi mózg” przejmuje kontrolę. Nazywa się „gadzim mózgiem”, bo podobno wszyscy go mieliśmy w czasach, gdy byliśmy gadami. Czyli w prehistorii. I trudno go kontrolować. To znaczy, wiesz, wszystkie części trudno kontrolować, ale „gadzi mózg” jest najgorszy. Krótko mówiąc, za pomocą związków chemicznych i bodźców elektrycznych dyktuje reakcje twojemu ciału. Nie szuka potwierdzenia empirycznego ani nie myśli – to czysty instynkt. Twój „gadzi mózg” nie działa racjonalnie ani logicznie. Jest nastawiony jedynie na obronę. Uciekać, uciekać, nie ruszać się.

Mogę więc racjonalnie tłumaczyć sobie, że jestem w stanie pogadać z Linusem, będąc z nim w jednym pomieszczeniu, i wszystko będzie dobrze. Nie ma problemu. Co może się stać? To tylko rozmowa. Jakie niebezpieczeństwo może się wiązać z rozmową?

Tymczasem mój „gadzi mózg” wrzeszczy: „Alarm! Alarm! Niebezpieczeństwo! Uciekaj! Panika! Panika!”. Jest przy tym głośny

i przekonujący. Mój organizm zaś woli słuchać raczej jego niż mnie. No i tu jest pies pogrzebany.

Wszystkie mięśnie mojego ciała są napięte jak struny. Oczy rozglądają się ze strachem. Gdybyś mnie teraz zobaczył, pomyślałbyś, że w pokoju czai się smok. Mój głupi „gadzi mózg” działa na najwyższych obrotach. I chociaż próbuję sobie wmówić, że powinnam go zignorować, naprawdę trudno to zrobić, kiedy w mojej głowie tłucze się prehistoryczny jaszczur wrzeszczący: „W nogi!”.

Nagle w mój umysł wdziera się głos Franka:

– To Linus. Zostawię was samych.

Nie mam czasu na ucieczkę, bo Linus już stoi w drzwiach. Brązowe włosy, ten sam co zawsze, niewymuszony uśmiech. Czuję się tak, jakby to się nie działo naprawdę. Słyszę jedynie głos w mojej głowie, powtarzający: „Nie uciekaj, nie uciekaj, nie uciekaj”.

– Cześć – mówi Linus.

– Cześć – udaje mi się wykrztusić.

Myśl o tym, żeby stanąć przed Linusem albo na niego popatrzeć, jest nie do zniesienia, więc się odwracam. Stoję tyłem do niego i gapię się w kąt.

– Jak się czujesz?

Linus robi kilka kroków w głąb pokoju i zatrzymuje się.

– Świetnie.

– Na pewno? Można odnieść inne wrażenie.

– Masz rację. No cóż... – Próbuję wymyślić wyjaśnienia, w których nie będzie słów: „szurnięta” ani „wariatka”. – Czasami w moim organizmie gromadzi się za dużo adrenaliny – mówię w końcu. – To taka, no wiesz, wada. Oddycham wtedy za szybko i takie tam cuda.

– Och, aha.

Wydaje mi się, że kiwa głową, ale oczywiście nie mogę na niego popatrzeć, więc nie jestem pewna.

Wystarczy, że siedzę i nie uciekam, a i tak czuję się jak na rodeo. Wkładam w to dużo wysiłku. Moje dłonie same splatają się i zaciskają niczym węzły. Ogarnia mnie nieodparta ochota, żeby złapać swój T-shirt i rozszarpać go na strzępy, tyle że obiecałam doktor Sarah, że już więcej nie

będę tego robić. Tak więc nie rozszarpię swojego ubrania, chociaż wiem, że poczułabym się po tym tysiąc razy lepiej; chociaż moje palce gorączkowo chcą znaleźć bezpieczny punkt zaczepienia.

– Powinni nas uczyć o tych sprawach na biologii – mówi Linus. – To o wiele ciekawsze niż cykl życiowy ameby. Mogę usiąść? – pyta niepewnie.

– Jasne.

Przysiada na brzegu sofy, a ja odsuwam się od niego – nie mogę się powstrzymać.

– Czy to ma związek z... tamtymi wydarzeniami?

– Częściowo – potakuję. – A więc wiesz?

– Słyszałem to i owo. No wiesz, wszyscy o tym mówili.

Robi mi się słabo. Ile razy doktor Sarah powtarzała: „Audrey, to nieprawda, że wszyscy o tobie plotkują”? No i co? Myliła się.

– Freyę Hill przeniesiono do szkoły, gdzie uczy się mój kuzyn – mówi dalej Linus. – Nie wiem, co się stało z Izzy Lawton ani Tashą Collins.

Wzdrygam się na dźwięk tych nazwisk.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Och. Okej. Rozumiem. – Waha się, a potem mówi: – Często nosisz okulary przeciwsłoneczne.

– Tak.

Następuje chwila ciszy. Czuję, że Linus czeka, żebym czymś ją wypełniła.

Właściwie, dlaczego nie? Mogę mu powiedzieć, w przeciwnym razie Frank i tak to zrobi.

– Kontakt wzrokowy sprawia mi trudność – przyznaję się. – Nawet z członkami mojej rodziny. To dla mnie... sama nie wiem. Za dużo.

– Okej... – Chwilę oswaja się z tą wiadomością. – Utrzymujesz z ludźmi jakąś inną formę kontaktu? Pisziesz e-maile?

– Nie. – Tłumię lekceważący grymas. – Ostatnio nie używam poczty.

– Ale piszesz liściki.

– To prawda.

Linus znowu milczy, a potem na sofie tuż koło mnie ląduje karteczka. Jest na niej napisane tylko jedno słowo:

Cześć.

Uśmiecham się i sięgam po długopis.

Cześć.

Przesuwam kartkę na drugi koniec sofy. Po minucie znowu ją trzymam i dalej prowadzimy rozmowę w ten sposób – na papierze.

Czy to dla Ciebie łatwiejsze niż zwykła rozmowa?

Trochę.

Przepraszam za tę uwagę o Twoich okularach. Głupia sprawa.

Nic się nie stało.

Pamiętam Twoje oczy z dawnych czasów.

Z dawnych czasów?

Kiedyś wpadłem do Franka.

Zwróciłem uwagę na Twoje oczy.

Są niebieskie, prawda?

Nie do wiary, że zauważył kolor moich oczu.

Tak. Dobra pamięć.

Przykro mi, że musisz przez to wszystko przechodzić.

Mnie też.

To nie będzie wiecznie trwać. Posiedzisz w mroku tak długo, jak to konieczne, a potem stamtąd wyjdiesz.

Przyglądam się temu, co napisał, nieco zaskoczona. Z jego słów przebija niezwykła pewność siebie.

Tak sądzisz?

Moja ciotka hoduje w ciemnej szopie specjalną odmianę rabarbaru. Przez całą zimę trzyma go w ciemności, w cieplarnianych warunkach, a potem zbiera go przy świetle świecy. To najlepszy towar. Zresztą sprzedaje go po bająńskich cenach.

Czyli twoim zdaniem jestem rabarbarem?

Czemu nie? Jeżeli rabarbar potrzebuje ciemności, to może ty też?



Jestem dla Ciebie rabarbarem???

Długie milczenie. Potem kartka wraca pod mój nos. Linus narysował łydę rabarbaru w okularach przeciwsłonecznych. Mimowolnie parskam śmiechem.

– Lepiej już pójdę. – Linus wstaje.

– Okej. Miło z tobą... no wiesz... Pogadać.

– Mnie też. No to na razie. Do zobaczenia wkrótce.

Unoszę dłoń, ale twarz wciąż mam zwróconą w przeciwnym kierunku. Rozpaczliwie pragnę odwrócić się do niego, nakazuję sobie na niego spojrzeć – ale to na nic.

Często słyszysz o „mowie ciała”, jakby wszyscy posługiwali się nią w ten sam sposób. Tymczasem każdy używa swojego dialektu. Na przykład w moim przypadku skręt ciała w kierunku przeciwnym do rozmówcy i gapienie się tępo w kąt oznacza: „Lubię cię”. Bo nie uciekłam i nie zamknęłam się w łazience.

Mam nadzieję, że Linus właściwie to odczyta.

Podczas następnej wizyty doktor Sarah ogląda film dokumentalny, który do tej pory nakręciłam, i robi notatki.

Mama też przyszła – od czasu do czasu dotrzymuje mi towarzystwa – i na bieżąco komentuje wszystkie sceny („Nie wiem, jak mogłam włożyć na siebie coś takiego...”, „Proszę, pani doktor, niech pani nie myśli, że w naszej kuchni zawsze panuje taki bałagan” albo „Audrey, na litość boską, dlaczego sfilmowałaś kompostownik?”), dopóki doktor Sarah uprzejmie nie każe się jej zamknąć. Na końcu lekarka opiera się na krześle i uśmiecha się do mnie.

– Podobało mi się. Byłaś niezłą muchą na ścianie, Audrey. Teraz chciałabym, żeby ta mucha polatała trochę po pokoju. Przeprowadź parę wywiadów z członkami rodziny. Może też z kimś z zewnątrz. Spróbuj lekko przesunąć granicę.

Na dźwięk słów „ktoś z zewnątrz” od razu się spinam.

– Kogo z zewnątrz ma pani na myśli?

– Kogokolwiek. Mleczarza. Albo któregoś z twoich dawnych znajomych ze szkoły.

Mówi to tak swobodnie, jakby nie wiedziała, że moi „dawni znajomi ze szkoły” są dla mnie tematem tabu. Przede wszystkim, jacy znajomi? Nigdy nie było ich wielu, a odkąd porzuciłam Stokeland, nie widziałam żadnego z nich.

Natalie była moją najbliższą przyjaciółką. Kiedy odeszłam ze szkoły, napisała do mnie list, jej mama przysłała kwiaty i wiem, że od czasu do czasu telefonują do mojej mamy. Nie jestem w stanie odpowiedzieć na te próby nawiązania kontaktu. Nie mogę się z nią spotkać. Nie mogę spojrzeć jej w twarz. Nie pomaga też fakt, że mama w pewnym sensie wini Natalie o to, co się stało. A w każdym razie uważa, że Natalie jest „współwinna”, bo „mogła zareagować wcześniej”. To niesprawiedliwe. Natalie nie miała wpływu na to, co się stało.

To znaczy, oczywiście, Natalie mogła coś powiedzieć. Nauczyciele też mogli mi wcześniej uwierzyć. Ale wiesz co? Natalie była pod wpływem takiego stresu, że czuła się sparaliżowana. Teraz ją rozumiem. Naprawdę.

– I co, Audrey? Podejmiesz to wyzwanie?

Doktor Sarah potrafi umiejętnie nalegać, dopóki się nie zgodzisz, a wtedy robi notatkę w zeszycie niczym zadanie domowe dla ciebie i już nie możesz udawać, że nic o tym nie wiesz.

– Spróbuję.

– Dobrze! Musisz zacząć poszerzać swoje horyzonty. Kiedy cierpimy na chroniczne stany lękowe, mamy tendencję do obsesyjnego koncentrowania się na sobie. Nie chcę jednak, żeby to brzmiało pejoratywnie – dodaje. – Po prostu takie są fakty. Wierzysz, że cały świat non stop o tobie myśli. Wierzysz, że wszyscy cię oceniają i mówią o tobie.

– Naprawdę o mnie mówią. – Korzystam z okazji, żeby wytknąć jej błąd. – Linus mi powiedział, że tak jest.

Doktor Sarah unosi głowę znad notatek i patrzy na mnie typowym dla niej przyjemnym, kojącym wzrokiem.

– Kim jest Linus?

– To taki jeden chłopak. Kolega mojego brata.

Doktor Sarah znowu patrzy w zeszyt.

– To właśnie on odwiedził was poprzednim razem? Wtedy, gdy konfrontacja okazała się dla ciebie za trudna?

– Tak. Ale on właściwie jest w porządku. Rozmawialiśmy.

Czuję, że moją twarz oblewa rumieniec. Doktor Sarah nic nie mówi, nawet jeżeli to widzi.

– Linus jest maniakiem gier komputerowych, tak samo jak Frank – wtrąca mama. – Doktor Sarah, co mam począć z synem? Powinnam go przyprowadzić do pani? Czy jego zachowanie jest normalne?

– Proponuję, żebyśmy dzisiaj skupiły się na Audrey – mówi doktor Sarah. – Proszę skonsultować się ze mną w sprawie Franka w innym terminie, jeśli sądzi pani, że to konieczne. Teraz wróćmy do twojego problemu, Audrey.

Uśmiecha się do mnie, niemal ignorując mamę.

Widzę, że mama się jeży, i wiem, że w drodze powrotnej do domu wygłosi w samochodzie gniewną tyradę pod adresem pani doktor. Łączą je dziwne relacje. Mama podziwia doktor Sarah tak samo jak reszta naszej rodziny, ale mam wrażenie, że jednocześnie jej nie znosi. Myślę, że potajemnie szykuje się na moment, w którym doktor Sarah powie: „No cóż,

Audrey, wyraźnie widać, że to wina twoich rodziców”.

Oczywiście doktor Sarah nigdy nie dała jej tego do zrozumienia. I nie da.

– To prawda, Audrey – mówi doktor Sarah. – Zapewne jesteś przez jakiś czas obiektem wielu rozmów. Domyślam się, że tak samo pacjenci rozmawiają o mnie, i na sto procent nie zawsze wygłaszają pochlebne opinie. Jednak w końcu się znudzą i zmienią temat. Wierzysz, że tak będzie?

– Nie – odpowiadam szczerze, a doktor Sarah kiwa głową.

– Im bardziej się zaangażujesz w sprawy swojego otoczenia, tym lepiej uda ci się stłumić te zmartwienia. Przekonasz się, że są bezpodstawne. Zobaczysz, że świat jest miejscem, w którym dzieje się dużo rozmaitych rzeczy, a większość ludzi cechuje zdolność koncentracji nie większa niż u muchy. Już zapomnieli o tym, co się stało. Od twojego wypadku zdarzyło się pięć innych sensacji. Zgodzisz się ze mną?

Bez przekonania wzruszam ramionami.

– Trudno ci w to uwierzyć, kiedy jesteś uwięziona w swoim własnym małym świecie. Właśnie z tego powodu chciałabym, żebyś zaczęła wychodzić z domu.

– Słucham? – Przerazona unoszę głowę. – Dokąd?

– Na przykład na główną ulicę twojej dzielnicy.

– Nie. To niemożliwe.

Na samą myśl o tym gwałtownie łapię oddech, zaczyna mi szybciej pulsować krew, ale doktor Sarah nie zwraca uwagi na te objawy.

– Już rozmawialiśmy o terapii przez bezpośrednie doświadczenie. Możesz zacząć od małego kroku. Wyjdź na minutę, dwie. Musisz powoli wracać do świata. W przeciwnym razie grozi ci, że naprawdę zostaniesz uwięziona.

– Ale... – Z trudem przetykam ślinę, nie mogę się wysłowić. – Ale...

Przed oczami latają mi czarne plamy. Gabinet doktor Sarah zawsze był bezpieczną przystanią, lecz teraz czuję się tak, jakby mnie pchała w ziejącą ogień czeluść.

– Tamte dziewczyny mogą się kręcić po okolicy – mówi mama i opiekuńczym gestem chwyta mnie za rękę. – A jeśli Audrey wpadnie na

którąś z nich? Dwie nadal się uczą w szkołach w naszej dzielnicy. To skandal. Powinni je przenieść gdzieś dalej. I kiedy mówię „dalej”, mam na myśli bardzo daleko.

– Wiem, że nie jest ci łatwo. – Doktor Sarah skupia uwagę tylko na mnie. – Nie chodzi mi o to, żebyś szła sama. Ale jestem zdania, że już czas, Audrey. Myślę, że jesteś gotowa. Niech to będzie „Projekt Starbucks”.

Starbucks? Chyba żartuje.

Łzy napłynęły mi do oczu. Krew tętni mi w żyłach. Nie mogę iść do Starbucksa. Po prostu nie dam rady.

– Jesteś dzielną, silną dziewczyną, Audrey – mówi doktor Sarah, jakby czytała w moich myślach, a potem podaje mi chusteczkę. – Musisz zacząć brać się w garść. Oczywiście, że dasz sobie radę.

Nie dam.

□ □ □

Następnego dnia leżę bite dwanaście godzin w łóżku. Już na samą myśl o Starbucksie ześliznęłam się tunelem strachu do najczarniejszego, najciemniejszego zakamarka mojej świadomości. Nawet powietrze zdaje się szorstkie i niewygodne. Każdy dźwięk sprawia, że kulę się ze strachu. Nie mogę otworzyć oczu.

Mama przynosi mi zupe, siada na łóżku i głaszcze mnie po głowie.

– Jeszcze za wcześnie – mówi. – Za wcześnie. Co ci lekarze sobie myślą? Wyjdiesz w swoim czasie.

„W swoim czasie?” – zastanawiam się, kiedy znowu zostaję sama. Co to znaczy? Jaki jest czas Audrey? Obecnie te słowa przywodzą na myśl ruch wahadła w spowolnionym tempie. Ociężałe kołysze się raz w jednym, raz w drugim kierunku, ale zegar nie tyka. W ten sposób nigdzie nie dotrę.

Niepostrzeżenie minęły trzy dni i w końcu uniosła się zasłona mroku, a ja mogłam wstać z łóżka i pokłócić się z Frankiem.

– To były moje płatki. Przecież wiesz, że zawsze jem płatki na śniadanie.

– Nieprawda – upieram się tylko po to, żeby go podrażnić. – Czasami jesz naleśniki.

Frank wygląda tak, jakby w każdej chwili mogły wystrzelić z niego płomienie.

– Jem naleśniki tylko wtedy, kiedy mama je zrobi. Kiedy ich nie smaży, jem płatki. Każdego dnia od pięciu lat. Od dziesięciu. A ty jakby nigdy nic przychodzisz i mi je wyżerasz.

– Zjedz musli.

– Musli??? – Jest tak zde gustowany, że chce mi się śmiać. – Masz na myśli rodzynki i resztę tego gówna?

– Musli jest zdrowe.

– Ty nawet nie lubisz płatków – mówi oskarżycielsko. – Prawda? Zjadłaś je tylko po to, żeby mnie wkurzyć.

– Nie mam nic przeciwko płatkom. – Wzruszam ramionami. – Ale nie są tak dobre jak musli.

– Poddaję się. – Frank opiera głowę na dłoniach. – Próbujesz mi zrujnować życie. – Zerka na mnie ponuro. – Wolałem, kiedy nie wstawałaś z łóżka.

– A ja wolałam cię, kiedy byłeś przykuty do komputera – odgryzam się. – Przynajmniej nie marudziłeś, kiedy prawie cię nie widzieliśmy.

– Frank! – Mama wpada jak burza do kuchni, niosąc na ręce Feliksa. Na widok Franka rozwalonego w pozycji półleżącej na stole staje jak wryta. – Kochanie, dobrze się czujesz?

– Płatki! – krzyczy Felix, kiedy zauważy mój talerz. – Chcę płatki! Proszę – dodaje przymilnie i wyślizguje się z objęć mamy. – Proszę, mogę?

– Proszę bardzo. – Podsuwam mu talerz. – Wystarczyło ładnie poprosić – informuję Franka. – Spróbuj się czegoś nauczyć od brata.

Frank ani drgnie. Mama podchodzi i lekko go szturcha.

– Frank... Kochanie. Słyszysz mnie?

– Nic mi nie jest. – Przynajmniej unosi głowę. Jest blady i przygaszony. – Czuję się zmęczony.

Kiedy mu się przyglądam, rzeczywiście dostrzegam cienie pod oczami.

– Chyba trochę przesadziłem – mówi słabym głosem. – No wiesz, z lekcjami i w ogóle.

– Nie masz problemów z zasypianiem? – Mama patrzy na niego zaniepokojona. – Nastolatki potrzebują dużo snu. Powinieneś przesypiać w nocy czternaście godzin.

– Czternaście godzin???

Oboje patrzymy na nią z niedowierzaniem.

– Mamo, nawet chorzy na śpiączkę nie śpią po czternaście godzin – mówi Frank.

– W takim razie dziesięć – poprawia się mama. – Chyba. Muszę to sprawdzić. Łykasz witaminy?

Zaczyna na oślep wyciągać z szafki buteleczki z różnymi witaminami: TeenVit, KidVit, Well Woman, Osteocare... No mówię ci, kupa śmiechu. Nikt z nas nigdy ich nie brał.

– Proszę. – Kładzie przed Frankiem mniej więcej dziesięć tabletek, a drugie tyle przede mną. – Felix, kochanie, chodź po magnez.

– Nie chcę magnezu! – Felix wchodzi pod stół i zasłania dłonią usta. – Nie chcę magnezu!

– Ech, do licha. – Mama sama łyka tabletkę z magnezem i spryskuje się środkiem ujędrniającym skórę, który leżał w szafce już od trzech lat. Wiem to na sto procent.

– Potrzebujesz żelaza – mówi mama do Franka. – I idź dzisiaj wcześniej spać. Myślę, że wieczorem wszyscy możemy obejrzeć film na DVD, ale potem masz iść prosto do łóżka.

– To brzmi fascynująco – mamrocze Frank, ponuro patrząc w przestrzeń.

– Wypożyczyłam klasykę – dodaje mama. – Dickensa.

– Dickensa. Super.

Frank wzrusza ramionami, dając do zrozumienia, że mało go to obchodzi.

– Przynajmniej udało nam się oderwać cię od tych okropnych gier!  
– mówi mama bardziej optymistycznym głosem niż to konieczne. – To pokazuje, że wcale nie musisz w nie grać, zgodzisz się ze mną? Prawie ci nie doskwiera ich brak, prawda?

– Nie doskwiera? – Frank unosi głowę, żeby na nią popatrzeć. – Nie doskwiera? Żartujesz? Naprawdę myślisz, że nie doskwiera mi ich brak?

– No, nie zauważyłam, żebyś odliczał dni do...

Nagle milknie w pół słowa, bo Frank podciąga rękaw i pokazuje jej zegarek elektroniczny, który nosi na ręce.

– Jeszcze sześćdziesiąt jeden godzin, trzydzieści cztery minuty i dwadzieścia siedem sekund do odwołania zakazu – recytuje monotannie.  
– Nie tylko ja odliczam ten czas. Wszyscy moi znajomi robią to ze mną. Tak, mam, bardzo mi doskwiera ich brak.

Frank potrafi być zjadliwie sarkastyczny, kiedy się postara. Widzę, że na policzkach mamy pojawiają się czerwone plamy.

– Trudno, mam to gdzieś! – mówi ostro. – Dzisiaj wieczorem siadamy wszyscy jak normalna rodzina i oglądamy *Wielkie nadzieje*. I możesz mi wierzyć albo nie, Frank, ale będziesz zachwycony. Wy, dzieciaki, myślicie, że zjedliście wszystkie rozumy, ale Dickens był mistrzem opowiadania dobrych historii, więc ten film wbije cię w fotel.

Kiedy wychodzi, Frank osuwa się jeszcze bardziej na blat stołu.

– Ty to masz szczęście – mówi niewyraźnie. – Nikt ci nie suszy głowy. Możesz robić wszystko, na co masz ochotę.

– Mogę robić wszystko, na co mam ochotę! – bronię się. – Cały czas muszę kręcić ten głupi film. A teraz jeszcze mam iść do Starbucksa.

– Dlaczego właśnie do Starbucksa?

– Nie wiem. To ma być taka starbucksowa terapia. Nie mam pojęcia.

– Aha. – Frank wykazuje kompletny brak zainteresowania. Jednak po chwili nagle siada. – Hej. Możesz powiedzieć swojej terapeutce, że wyzdrowiejesz, jeśli pojedziesz na europejskie targi gier w Monachium, i że musisz wziąć na nie brata?

– Nie.

– Pfff.

Frank opada z powrotem na blat. Mama ma rację, że ostatnio coś źle



wygląda.

– Możesz się poczęstować.

Daję mu resztę płatków, których Felix nie dokończył.

– Uhm, jasna sprawa. Rozmięklą breję z trzeciej ręki z dodatkiem glutów Feliksa. Dzięki, Audrey.

Patrzy na mnie morderczym wzrokiem.

Po chwili sięga po łyżkę i zaczyna wcinać płatki.

# MOJA RADOSNA, CZUŁA RODZINKA

## SCENARIUSZ FILMOWY

### WNĘTRZE DOMU. ROSEWOOD CLOSE 5. DZIEŃ

Kamera filmuje pogrążony w półmroku salon. Mama wpatruje się z zachwytem w ekran telewizora. Tata ukradkiem czyta coś w smartfonie. Frank gapi się w sufit.

Z telewizora dobiega głośna muzyka. Zbliżenie na ekran, na którym widać czarno-białą planszę z napisem KONIEC.

MAMA

No proszę! Czyż to nie cudowny film? Co za wciągająca historia!

FRANK

Był okej.

MAMA

„Okej”? Kochanie, to Dickens.

FRANK

(cierpliwie)

Rzeczywiście. To Dickens i był okej.

MAMA

W każdym razie lepszy niż twoje dziecinne gry komputerowe. Na pewno sam to przyznasz.

FRANK

Nie był lepszy.

MAMA

Ależ oczywiście że tak.

FRANK

Nie.

MAMA

(traci cierpliwość)

Chcesz mi wmówić, że twoje żałosne gierki mogą się równać z klasyczną powieścią Dickensa? Porównajcie sobie postaci! Weźcie Magwitcha. Magwitch jest jedyny w swoim rodzaju!

FRANK

(bez zachwyty)

Tak, w *Ziemi zdobywców* też jest postać, która nazywa się Magwitch. Tyle że jego historia jest jakby ciekawsza niż u Dickensa. On też jest skazańcem, ale może wesprzeć dowolnego gracza.

AUDREY (z offu)

Ma zdolność przekazywania mocy specjalnych.

FRANK

Pod warunkiem, że gracz weźmie też jedno z jego przestępstw i poniesie karę...

AUDREY (z offu)

No właśnie. Musisz się więc dobrze zastanowić, zanim wybierzesz ścieżkę rozwoju mocy. I...

FRANK

Zamknij się, Aud! Ja to wytłumaczę. Nie wiesz, jaka to kara, dopóki nie podejmiesz decyzji. Jesteś więc zdana na łut szczęścia, ale im więcej grasz, tym lepiej potrafisz ocenić ryzyko. To naprawdę fascynujące.

Mama patrzy kompletnie zdezorientowana na Franka, na Audrey i znowu na Franka.

MAMA

Przestańcie, nic z tego nie rozumiem. Nic. Jaką ścieżkę rozwoju mocy? Co to jest?

FRANK

Wiedziałybyś, gdybyś zagrała.

AUDREY (z offu)

Magwitch jest niesamowitym bohaterem.

MAMA

No właśnie! Dziękuję.

Pauza.

MAMA

Magwitch z Dickensa czy z *Ziemi zdobywców*?

AUDREY (z offu)

No jasne, że z *Ziemi zdobywców*.

FRANK

Ten z Dickensa jest trochę...

MAMA

(ostro)

Jaki? Co jest nie tak z Magwitchem Dickensa? Co może być nie tak z jednym z najwspanialszych bohaterów literackich naszych czasów?

FRANK

Jest mniej interesujący.

AUDREY (z offu)

Właśnie.

FRANK

Dwuwymiarowy.

AUDREY (z offu)

Właściwie nic nie robi.

FRANK

(pojednawczo)

Nie bierz tego do siebie. Jestem pewien, że Dickens był fajnym gościem.

MAMA

(do taty)

Czy ty słyszysz, co oni mówią?

Mama wciąż jest na nas wkurzona po aferze Dickensgate. Dzisiaj kazała nam posprzątać w naszych pokojach, co zdarza się jedynie od wielkiego święta, i w pokoju Franka znalazła cheeseburgera – od tego wszystko się zaczęło.

Nie mam na myśli kartonowego pudełka po cheeseburgerze, tylko kanapkę. Przed kilkoma tygodniami odgryzł może ze dwa kęsy i odłożył ją do pudełka na podłodze. Leżała pod śmierdzącą stertą sportowych spodenek i T-shirtów. Zastanawiające, że burger nie spleśniał, tylko zmienił się w skamienielinę. Ohydztwo.

Mama zaczęła wygłaszać nam gniewną tyradę na temat szczurów, robactwa i higieny, ale Frank tylko machnął ręką i powiedział:

– Muszę już iść, mam. Linus tu będzie za jakąś minutę. Zawsze nas uczyłaś, że powinniśmy być mili dla gości i witać ich przy drzwiach.

Dudniąc stopami, zbiegł po schodach, a mnie nagle żołądek podszedł do gardła.

Znowu ten Linus. Nie sądziłam, że będziemy go często widywać, dopóki Frank musi przestrzegać zakazu używania komputera.

Widocznie mama pomyślała to samo, bo nieco zbity z tropu krzyknęła z piętra do Franka:

– Czy Linus wie, że nie wolno ci korzystać z komputera?!

– Oczywiście – odparł niecierpliwie Frank. Po chwili wyjrzał z salonu. – Ale Linus może grać w *Ziemię zdobywców* na moim komputerze, kiedy tu przychodzi, prawda?

Mamie zabrakło słów. Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Potem ruszyła w kierunku sypialni, zwracając się do męża:

– Chris? Chris, co ty na to?

To się działo przed mniej więcej dziesięcioma minutami. Wiem, że Linus już tu jest, bo kilka minut temu go słyszałam. Poszedł prosto do pokoju Franka i domyślałam się, że od razu włączyli *Ziemię zdobywców*. Tymczasem z sypialni rodziców dobiegały mnie głosy.

– Chodzi o zasady! – powtarzała mama. – Lekcja życia!

Domyślałam się, że tata przyjął taktykę: „To jeszcze dzieciaki, są niegroźne”, a tymczasem mama preferowała teorię, że „monitory są

źródłem wszelkiego zła i wypaczają psychikę mojego syna”. Nie mogli zatem osiągnąć porozumienia, więc wkrótce znudziło mi się podsłuchiwanie ich dyskusji i zeszłam do kanciapy. Teraz tu siedzę i czekam.

Nie, nie czekam.

No, może w pewnym sensie.

Włączam stary odcinek *Jak poznałem waszą matkę* i próbuję nie myśleć o tym, jak długo może trwać rozgrywka *Ziemi zdobywców* ani czy Linus później wpadnie się przywitać. Na myśl o nim przechodzą mnie dreszcze. Dobre dreszcze. Tak mi się wydaje.

Właściwie wcale nie musi przyjść się przywitać. To zapewne ostatnia rzecz, na którą ma ochotę. Niby dlaczego miałoby mu na tym zależeć?

Z drugiej strony, powiedział: „Do zobaczenia wkrótce”. Czy mówiłby: „Do zobaczenia wkrótce”, gdyby zamierzał już do końca życia mnie ignorować?

Próbuję rozłączyć ciasno splecione ze sobą palce. Nie przyjdzie. Wpadł w odwiedziny do Franka, a nie do mnie. Muszę przestać o nim myśleć. Oglądam *Jak poznałem waszą matkę* i jednocześnie przerzucam strony tygodnika „Closer”, żeby wyłączyć umysł. Nagle Felix wbiega do pokoju i wskakuje na sofę.

– To papier kieszeniowy dla ciebie! – ogłasza i rzuca mi na kolana kartkę A4.

Cześć, Rabarbaro.

Znowu narysował łodygę rabarbaru w okularach przeciwsłonecznych. Czuję, że mimowolnie uśmiecham się na ten widok.

Cześć, Pomarańczku.

Jestem beznadziejna z rysunków, ale jakoś udaje mi się nagryzmolić twarz z włosami i cząstką pomarańczy w miejscu ust. Wysyłam Feliksa z tą



wiadomością i czekam na odpowiedź.

Po jakimś czasie słyszę, że mama i tata schodzą po schodach, a potem z pokoju zabaw dochodzą głosy kłótni.

– Jesteście niesprawiedliwi! – Głos Franka odbija się echem od ścian domu.

– Proszę, żebyś na mnie nie krzyczał przy twoich kolegach!  
– wrzeszczy mama.

Instynktownie zasłaniam dłońmi uszy i zastanawiam się, czy już uciekać na górę do mojego pokoju, gdy nagle słyszę jakiś hałas przy drzwiach. Unoszę głowę i widzę, że to on – Linus.

Nawet nie wiem, jak to się stało, że wbiłam się jak pocisk w najdalszy kąt sofy.

Głupi, kretyński „gadzi mózg”.

Siedzę wpatrzona w punkt na ścianie i mamroczę pod nosem:

– Cześć.

– Cześć, Rabarbaro. No więc powiedz, o co chodzi z tym „Pomarańczkiem”.

– Och. – Nie mogę powstrzymać uśmiešku, moje zaciśnięte pięści odrobinę się rozluźniają. – Uważam, że twój uśmiech wygląda jak segment pomarańczy.

– Moja mama mówi, że jak półksiężyc.

– No widzisz.

Robi krok w głąb pokoju. Nie patrzę w jego kierunku, ale mój radar odbiera nawet najdrobniejsze ruchy. Jeżeli większość twoich kontaktów z ludźmi odbywa się tyłem do nich, uczysz się bez patrzenia odgadywać, co robią.

– Nie grasz? – Przez ściśnięte gardło mój głos zdaje się trochę zachrypnięty.

– Twoja mama dała mi szlaban. Trochę się wkurzyła. Frank pomagał mi grać, a ona przyszła i zaczęła mówić o tym, że ma zakaz, który obejmuje też siedzenie z przyjaciółmi i doradzanie im, jak mają grać.

– No tak. – Kiwam głową. – Mogę to sobie wyobrazić. Twoi rodzice też mają takie ciśnienie na punkcie gier?

– Właściwie nie – odpowiada Linus. – Bardziej się przejmują babcią.

Mieszka z nami, a jest wariatką z prawdziwego zdarzenia. To znaczy...

Milknie w pół zdania i następuje niezręczna cisza, a mnie wystarczają trzy sekundy, żeby się domyślić dlaczego.

„Ma mnie właśnie za taką osobę” – uderza mnie nagle świadomość tego faktu. A po chwili: „Czego innego się spodziewałaś?”.

Atmosfera coraz bardziej gęstnieje. Wyczuwam, że określenie „wariatka” krąży nad nami jak słówka w programie Franka do nauki francuskiego.

Wariatka.

*Fou.*

Nauczyłam się tego słowa na lekcjach francuskiego, zanim odeszłam ze szkoły. *Folie*. To też oznacza szaleństwo. Tyle że w tej formie brzmi jak jakiś wyszukany rodzaj szaleństwa. Coś tak zwariowanego jak na przykład połączenie bluzki w marynarskie pasy z czerwoną szminką.

– Przepraszam – mówi Linus.

– Nie ma za co – odpowiadam niemal agresywnie. – Przecież nic takiego nie powiedziałeś.

To prawda. Nic nie powiedział. Urwał w pół zdania.

Tyle że nagłe zamknięcie w pół zdania to najgorsze, co można zrobić. To zachowanie pasywno-agresywne w najczystszej postaci, bo nie możesz się odnieść do słów, które ktoś powiedział. Zostaje ci jedynie obrazić się o to, co twoim zdaniem chciał powiedzieć.

A on oczywiście zaprzeczy.

Prawdziwą królową kończenia wypowiedzi w pół zdania jest moja mama. Naprawdę jest w tym mistrzynią. Oto kilka ostatnich przykładów w przypadkowej kolejności:

1.

MAMA: Naprawdę sędzę, że twoja tak zwana przyjaciółka Natalie powinna była...

*Znaczące milczenie, niedokończone zdanie.*

JA: Co powinna była zrobić? Zapobiec wszystkiemu? A więc to jej

wina? Mamy zrzucić całą winę na jej barki?

MAMA: Nie przesadzaj, Audrey. Wcale nie chciałam tego powiedzieć.

2.

MAMA: Kupiłam ci tonik do twarzy. Popatrz, to specjalna receptura dla nastolatek.

JA (czytając naklejkę): Do skóry trądzikowej. Uważasz, że mam problem z cerą?

MAMA: Ależ skąd, kochanie! Sama jednak przyznasz, że czasami wygląda trochę...

*Znaczące milczenie, niedokończone zdanie.*

JA: Jak? Odrażająco? Ohydnie? Tak, że powinnam włożyć na głowę papierową torbę?

MAMA: Nie przesadzaj, Audrey. Wcale nie chciałam tego powiedzieć.

W każdym razie chodzi mi o to, że jestem wyczulona na niedokończone zdania w wykonaniu mamy. A Linus właśnie zamilkł dokładnie tak, jak ona. Wiem, co chciał powiedzieć. Chciał powiedzieć: „Jest wariatką tak samo jak ty”.

Jestem dla niego odpychającym dziwadłem. Wiedziałam. Przychodzi do kanciapy tylko po to, żeby się ze mnie pośmiać – jak do gabinetu osobliwości. Ludzie, ludzie, chodźcie zobaczyć Dziewczynę w Okularach Przeciwsłonecznych! Patrzcie, jak się kuli w kącie!

Milczenie się przedłuża i ktoś musi je przerwać, więc mówię szorstko:

– To prawda, jestem wariatką. I co z tego?

– Nie! – Linus brzmi jak człowiek w ciężkim szoku. W szoku, zawstydzony i zmieszany. A nawet trochę przerażony. Jakby nie wierzył, że jestem w stanie coś takiego powiedzieć.

(Zauważyłeś, że wywnioskowałam to wszystko z jednej sylaby?).

– W niczym nie jesteś podobna do mojej babci – dodaje i chichocze pod nosem, jakby się śmiał z żartu, który był przeznaczony tylko dla niego.  
– Zrozumiałabyś to, gdybyś ją poznała.

Linus mówi spokojnie i ze swobodą. Zupełnie inaczej niż Frank, którego głos prawie cały czas przypomina łoskot tarana. Znowu się śmieje i ogarnia mnie uczucie ulgi. Jeżeli jest w stanie śmiać się przy mnie, to chyba nie budzę w nim odrazy, prawda?

– Wygląda na to, że nie będę mógł do was przychodzić, dopóki Frankowi nie skończy się szlaban.

– No tak.

– Twoja mama sądzi, że mam zły wpływ na Franka.

– Moja mama myśli, że wszystko ma zły wpływ na Franka.

Przewracam oczami, chociaż Linus tego nie widzi.

– Wychodzisz czasami z domu?

Tym razem nie milknie w pół zdania, ale powietrze wciąż zdaje się naelektryzowane. W każdym razie wokół mnie. „Wychodzisz z domu”. Czuję, że najchętniej zwinęłabym się w kłębek i zamknęła oczy.

– Nie. Właściwie nie.

– Aha.

– To znaczy, mam iść do Starbucksa.

– Fantastycznie. Kiedy idziesz?

– Nigdy – odpowiadam ostro, chociaż wcale nie miałam takiego zamiaru. – To... Po prostu nie mogę.

Kolejny raz zapada milczenie. Jeszcze bardziej wbijam się w oparcie sofy. Wyczuwam jego pytania krążące w tej ciszy niczym słowa z interaktywnego słownika Franka: „Dlaczego?”, „Co się stało?”, „O co chodzi?”.

– Zalecono mi coś w rodzaju terapii przez styczność z bodźcami – mówię z godnym politowania pośpiechem. – Mam powoli, drobnymi

krokami wystawiać się na kontakt ze światem zewnętrznym. Ale Starbucks to nie taki drobny krok. Raczej wielki skok. Nie potrafię go zrobić. Sam widzisz, jak jest.

Po każdej z tych rewelacji spodziewam się, że Linus wyjdzie. Ale wciąż tu stoi.

– Coś jak alergia – mówi zafascynowany. – Jakbyś miała alergię na Starbucksa.

– Chyba tak.

Nasza rozmowa już zaczyna mnie męczyć. Dla komfortu psychicznego mocno tulę poduszkę. Na dłoniach wychodzą mi żyły.

– A więc masz alergię na kontakt wzrokowy.

– Mam alergię na każdy rodzaj kontaktu.

– Nieprawda – mówi bez zastanowienia. – Nie jesteś alergikiem, jeśli chodzi o kontakt intelektualny. No wiesz, jesteś w stanie pisać liściki. Rozmawiasz i chcesz rozmawiać z ludźmi, tyle że nie możesz się do tego zmusić. Twoje ciało nie nadąża za umysłem.

Milczę przez chwilę. Nikt przedtem nie przedstawił mojego problemu w taki sposób.

– Może masz rację – odpowiadam w końcu.

– A jak się ma u ciebie sprawa z kontaktem butowym?

– Z czym???

– Z kontaktem butowym!

– Co masz na myśli?

Wybuchnęłabym śmiechem, ale mój głupi „gadzi mózg” zablokował mi tę opcję. Siedzę zbyt sparaliżowana napięciem.

Będzie mi się należało dużo śmiechu. Czasami mam nadzieję, że gromadzę zapas niewykorzystanych śmiechów, a kiedy wyzdrowieję, dostanę gigantycznego napadu śmiechu i nie uspokoję się przez co najmniej dwadzieścia cztery godziny.

Tymczasem Linus usiadł na drugim końcu sofy. Kątem oka widzę, że wysuwa w moim kierunku stopę – zbliża się do mnie niezbyt czysty trampek.

– Spróbuj – zachęca. – Nawiążmy kontakt butowy. No dalej.

Nie mogę się ruszyć. Jestem jeżem zwiniętym w kulkę. Nie chcę nic

wiedzieć.

– Możesz ruszyć stopą – mówi Linus. – Nie musisz na nią patrzeć. Po prostu ją przesun.

Uparł się. Nie wierzę, że to się dzieje. Mój „gadzi mózg” zdecydowanie nie czuje się komfortowo. Podpowiada mi, żebym ukryła się pod kocem. Czmychnęła do kryjówki. Uciekła. Cokolwiek.

Wmawiam sobie, że jeśli nic nie zrobię, to może się znudzi i zapomnimy o całej sprawie.

Jednak mijają sekundy, a on nie odchodzi.

– Śmiało – mówi zachęcająco. – Założę się, że jesteś w stanie to zrobić.

Nagle słyszę w głowie głos doktor Sarah: „Musisz się trochę wysilić”.

Powoli przesuwam stopę po dywanie, dopóki gumowa obwódka podeszwy mojego buta nie dotyka gumowej obwódki jego trampka. Reszta mojego ciała wciąż jest zwrócona w przeciwnym kierunku. Nieruchomo przyglądam się obiciu sofy, a mój umysł jest całkowicie skupiony na małym fragmencie buta, którym dotykam buta Linusa.

Okej, rozumiem, że dzielą nas dwie warstwy grubej gumy, więc trudno sobie wyobrazić mniej erotyczny czy romantyczny dotyk – a ponadto uparcie siedzę odwrócona tyłem do Linusa, jakbym nie mogła znieść jego widoku. Mimo to ogarnia mnie...

No wiesz...

Widzisz, jak przerwałam w pół zdania? Ja też tak potrafię. Kiedy niekoniecznie chcę ujawnić, co naprawdę myślę.

Brakuje mi tchu – do tego mogę się przyznać.

– Już po strachu. – Linus zdaje się usatysfakcjonowany. – Widzisz?

Jemu nie brakuje tchu. Przejawia jedynie ciekawość – jakby coś sobie udowodnił, a teraz podzieli się tym z kumplami albo opisze na blogu. Szybko wstaje i mówi:

– No to do zobaczenia.

Czar pryska.

– Tak. Do zobaczenia.

– Za chwilę twoja mama wygoni mnie z domu. Lepiej już pójść.

– Uhm. Tak.

Garbię się w kącie sofy i z całej siły staram się nie okazywać, jak bardzo chciałabym, żeby został.

– Aha, mmm... – mówię, kiedy Linus podchodzi do drzwi. – Może przeprowadzę z tobą wywiad do mojego filmu dokumentalnego.

– Ach tak? – Przez chwilę się namyśla. – Co to takiego?

– Dostałam zadanie, żeby nakręcić film dokumentalny, i w ramach tego projektu mam porozmawiać z ludźmi, którzy przychodzą do naszego domu, więc...

– Okej. W porządku. Zgadamy się, kiedy będzie ci pasować. Wrócę, kiedy... no wiesz. Kiedy Frank znowu będzie mógł grać.

– Fajnie.

Znika za drzwiami, a ja przez jakiś czas siedzę kompletnie nieruchoma i zastanawiam się, czy jeszcze wróci, a może przyśle więcej liścików albo poprosi Franka o przekazanie wiadomości czy coś w tym rodzaju.

Oczywiście nic takiego się nie dzieje.

# MOJA RADOSNA, CZUŁA RODZINKA

## SCENARIUSZ FILMOWY

### WNĘTRZE DOMU. ROSEWOOD CLOSE 5. DZIEŃ

Kamera zbliża się do drzwi gabinetu. Ostrożnie wsuwa się do środka. Tata siedzi za biurkiem. Ma zamknięte oczy. Na monitorze widać inny model alfy romeo niż poprzednim razem.

AUDREY (z offu)

Tato? Śpisz?

Tata podrywa się i otwiera oczy.

TATA

Oczywiście że nie śpię. Pracuję. Mam dużo roboty.

Porusza myszką i zamyka okno ze zdjęciem samochodu.

AUDREY (z offu)

Mam przeprowadzić z tobą wywiad.

TATA



Świetnie! Strzelaj.

Obraca się na krześle przodem do kamery i nieszczercze się uśmiecha.

TATA

Życie i czasy Chrisa Turnera, księgowego gwiazd.

AUDREY (z offu)

To nieprawda.

Tata przybiera postawę obronną.

TATA

Okej, księgowego kilku firm średniej wielkości, między innymi jednej działającej w mediach. Dostaję darmowe bilety na koncerty.

AUDREY (z offu)

Wiem.

TATA

I udało wam się spotkać ekipę z *TOWIE*, pamiętasz? Podczas gali „Dzieci w potrzebie”.

AUDREY (z offu)

Tak, tato. Ja też uważam, że twoja praca jest *cool*.

TATA

Mogłabyś mnie zapytać o wioślarstwo, które uprawiałem w college'u.

Niby od niechcienia pręży biceps.

TATA

Nadal to widać. Albo mogłabyś zapytać mnie o zespół.

AUDREY (z offu)

Jasne. Tak. Nazywał się The... Turtles?

TATA

The Moonlit Turtles. Moonlit. Dałem ci naszą płytę, pamiętasz?

AUDREY (z offu)

Tak! Jest świetna, tato.

Tata wpada na genialny pomysł. Wskazuje na kamerę i z ekscytacji niemal nie jest w stanie wykrztusić słowa.

TATA

Już wiem! Chcesz ścieżkę dźwiękową do twojego filmu? Mogę ci ją dać za friko. Oryginalne nagrania w wykonaniu The Moonlit Turtles, największego studenckiego objawienia muzycznego lat dziewięćdziesiątych!

AUDREY (z offu)

Jasne.  
(pauza)

Albo mogłabym sama dobrać muzykę...

TATA

Nie! Kochanie, chcę ci pomóc. W ten sposób moglibyśmy pracować razem. To będzie rodzinny projekt. Będziemy się świetnie bawić! Kupię specjalny program, razem zajmiemy się edycją, będziesz mogła wybrać swoje ulubione piosenki...

Wywołuje playlistę w komputerze.

TATA

Posłuchajmy. Podaj mi tytuł twojej ulubionej piosenki – włączymy ją i damy czadu.

AUDREY (z offu)

Mojej ulubionej piosenki wszech czasów?

TATA

Nie! Twojej ulubionej piosenki The Moonlit Turtles. Ulubionej piosenki, w której występuje twój staruszek. Na pewno któraś podoba ci się najbardziej. Masz faworytkę?

Długa pauza. Tata wyczekująco patrzy w obiektyw kamery.

TATA

Powiedziałaś mi, że cały czas słuchasz tego CD z iPoda.

AUDREY (z offu)

(szybko)

Tak było! Cały czas. Hm, ulubiona piosenka? Jest ich tak dużo.

(pauza)

Myślę, że chyba... ta głośna.

TATA

Głośna?

AUDREY (z offu)

Ta z... eee... perkusją. Jest naprawdę dobra.

Kamera zaczyna się oddalać, a w pokoju rozbrzmiewa ciężki rockowy utwór. Tata kiwa głową w rytm muzyki.

TATA

Ta?

AUDREY (z offu)

Tak! Dokładnie ta! Niesamowita. Ależ dobra. Tato, muszę już iść...

Kamera wycofuje się z pokoju.

AUDREY (z offu)

Bože.

Idąc do łóżka, myślę o Linusie. Próbuję sobie wyobrazić, że witam go przy drzwiach następnym razem, kiedy przyjdzie. Jak inni ludzie. To znaczy, jak normalni ludzie. Wiem, że powinno się to odbyć według następującego scenariusza:

- Cześć, Linus.
- Cześć, Audrey.
- Jak leci?
- Dzięki, dobrze.

Może przybicie piątki. Może koleżeńskie objęcie. Na pewno uśmiechy na obu twarzach.

Przychodzi mi do głowy co najmniej sześćdziesiąt pięć powodów, dla których w najbliższej przyszłości to się nie zdarzy. Ale mogłoby, prawda? Mogłoby się zdarzyć.

Doktor Sarah mówi, że pozytywna wizualizacja jest niezwykle skuteczną bronią w naszym arsenale, więc powinnam układać w myślach realistyczne i dodające sił scenariusze, jak osiągnąć sukces.

Kłopot w tym, że nie wiem, jak realistyczny jest mój idealny scenariusz.

Okej, wiem – zupełnie nierealistyczny.

W idealnym scenariuszu nie mam „gadziego mózgu”. Wszystko jest łatwe. Mogę się porozumiewać jak normalny człowiek. Noszę dłuższe włosy, moje ubrania są fajniejsze, a w ostatnim marzeniu Linus nawet nie stał przy drzwiach, tylko zaprosił mnie do lasu na piknik. Nie mam pojęcia, skąd coś takiego mi się uroiło.

W każdym razie jutro kończy się zakaz używania komputera. Linus znowu przyjdzie. Zobaczymy, jak będzie.

Tyle że nie mogłam przewidzieć apokalipsy, która nawiedziła nasz dom o trzeciej czterdzieści trzy nad ranem. Wiem, że to było dokładnie wtedy, bo właśnie o tej godzinie zerwałam się ze snu i przez jakiś czas tępo gapiłam się na budzik, zastanawiając się, czy zbudził mnie pożar. Słyszałam dobiegający z oddali przenikliwy pisk, który mógł być alarmem albo syreną, więc podniosłam z podłogi szlafrok i wsunęłam stopy w moje puszyste kapcie. Cały czas prześladowała mnie myśl: „Co zabrać?”

Sięgnęłam po wiekowego różowego miśka i fotografię z babcią sprzed jej śmierci i już byłam w połowie schodów, kiedy zdałam sobie sprawę, że źródłem hałasu wcale nie jest syrena. Ani alarm. To była mama. Słyszałam jej głos dobiegający z pokoju zabaw.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyczała na całe gardło.

Smyrgnęłam do drzwi i ujrzałam widok, który sprawił, że opadły mi ręce. Frank siedział przy komputerze i grał w *Ziemię zdobywców*. O trzeciej czterdzieści trzy.

Oczywiście nie grał akurat w tej sekundzie. Przerwał. Ale grafika wciąż wyświetlała się na monitorze, miał na uszach słuchawki i patrzył na mamę niczym lis zapędzony w potrzask.

– Co ty wyprawiasz?! – wrzasnęła znowu mama i odwróciła się do taty, który właśnie też stanął w drzwiach.

– Co wyprawia? Frank, co wyprawiasz?!

Rodzice już tak mają, że często zadają naprawdę głupie, oczywiste pytania.

„Wychodzisz w tej spódnicy?”

Nie, zamierzam ją zdjąć, gdy tylko znajdę się za drzwiami.

„Sądziś, że to dobry pomysł?”

Nie, moim zdaniem to poroniony pomysł, dlatego na niego wpadłam.

„Słyszysz, co do ciebie mówię?”

Nadajesz z mocą stu decybeli. Trudno cię nie słyszeć.

– Co ty wyprawiasz?! – mama dalej krzyczała, a tata objął ją ramieniem.

– Anne – przekonywał. – Anne, o ósmej mam spotkanie.

Niewybaczalny błąd. Mama zaatakowała go, jakby to on zrobił coś

złego.

– Nie obchodzi mnie twoje spotkanie o ósmej! To twój syn, Chris! Okłamuje nas! Całymi nocami gra na komputerze! Ciekawe, co jeszcze robi!

– Nie mogłem zasnąć – tłumaczył się Frank. – Rozumiesz? Nie ma w tym nic dziwnego. Nie mogłem zasnąć, więc pomyślałem, że przeczytam książkę, tyle że nie znalazłem nic do czytania, zatem postanowiłem... no wiesz, przeczekać.

– Od kiedy tu siedzisz? – warknęła mama.

– Mniej więcej od drugiej czy jakoś tak. – Frank popatrzył na nią z taką miną, jakby miał się rozplakać. – Nie mogłem zasnąć. Chyba zaczynam cierpieć na bezsenność.

Tata ziewnął, a mama spiorunowała go wzrokiem.

– Anne – powiedział tata. – Możemy się tym zająć rano? Nie rozwiążemy problemu bezsenności Franka, jeżeli będziemy tu stać i się kłócić. Proszę, wracajmy do łóżka. – Znowu ziewnął, stojąc z włosami nastroszonymi niczym kłaczki pluszowego misia. – Proszę.

□ □ □

A zatem to działo się ubiegłej nocy. Dzisiaj też trudno byłoby nas nazwać szczęśliwą rodziną. Przy śniadaniu mama dokładnie przemağlowała Franka: ile razy wstawał w nocy, żeby zagrać w *Ziemię*? Od jak dawna cierpi na bezsenność? I czy zdaje sobie sprawę z tego, że przyczyną bezsenności są gry komputerowe?

Frank unikał odpowiedzi. Był blady, wychudzony i wyglądał na oderwanego od rzeczywistości. Im dłużej mama nadawała o rytmie dobowym i zanieczyszczeniu świetlnym, im więcej padało pytań w rodzaju: „Dlaczego nie pijesz ovaltine przed snem?”, tym bardziej Frank zamykał się w swojej skorupie.

Nawet nie wiem, czym jest ovaltine. Mama wspomina o tym zawsze, kiedy rozmowa dotyczy snu. Mówi tak, jakby to był jakiś magiczny eliksir, i dodaje: „Będziecie go pić?”, ale nie kupiła go ani razu, więc jak możemy



pić?

Potem Frank poszedł do szkoły, a ja cały czas do południa czytałam *Grę o tron*, dopóki nie przysnęłam. Po południu nagrywałam kamerą ptaki w ogrodzie – domyślałam się, że nie tego oczekuje doktor Sarah, ale działa to na mnie kojąco. Ptaki są urocze. Przylatują, wyjadają ziarna z karmnika i przepychają się między sobą. Może w przyszłości zostanę fotografem przyrody, dokumentalistką albo kimś w tym rodzaju? Jediną wadą tego zawodu jest fakt, że po jakimś czasie od kucania zaczynają cię boleć kolana. Ponadto nie jestem pewna, kto będzie chciał oglądać przez godzinę, jak ptaki dziobią ziarenka.

Jestem kompletnie pochłonięta swoimi sprawami i podskakuję zaskoczona, słysząc samochód na podjeździe. Jeszcze za wcześnie na powrót taty, więc kto to może być? Może ktoś podwiózł Franka ze szkoły. To czasami się zdarza.

A może Linus.

Ostrożnie skradam się wzdłuż domu i wyglądam na podjazd. Zaskoczona widzę, że to tata. Kiedy w służbowym garniturze wysiada z samochodu, wygląda na niezbyt zadowolonego. Po kilku sekundach drzwi domu otwierają się i mama wychodzi na dwór, jakby go oczekiwała.

– Chris! Nareszcie.

– Dopiero mogłem się wyrwać. Wiesz, że ostatnio mam huk roboty... Czy to naprawdę konieczne?

– Oczywiście, Chris! Przechodzimy kryzys. Nasz syn przeżywa kryzys. Potrzebuję twojego wsparcia!

Ja cię kręcę. Co się stało?

Pochylona wycofuję się do ogrodu i cicho wślizguję się od tyłu do kuchni, gdzie lepiej słyszę ich rozmowę. Ostrożnie robię parę kroków naprzód i widzę, że wchodzi do salonu.

– Wzięłam komputer Franka na zajęcia pilates – mówi ponuro mama.

– Co zrobiłaś??? – Tata zdaje się wytrącony z równowagi. – Anne, wiem, że chcesz ograniczyć Frankowi dostęp do komputera, ale czy nie sięgasz po nieco ekstremalne środki?

Już widzę, jak mama wchodzi do przykościelnej salki z komputerem Franka pod ręką, i muszę zasłonić sobie usta, żeby powstrzymać chichot.

Czy teraz wszędzie będzie go brać ze sobą? Jak ulubione zwierzątko?

– Nic nie rozumiesz! – prychna gniewnie mama. – Wzięłam go, żeby Arjun mógł na niego zerknąć.

– Arjun?

Nigdy dotąd nie widziałam taty tak zdezorientowanego.

– Arjun chodzi ze mną na pilates. Pisze programy komputerowe i pracuje w domu. Zapytałam go: „Arjun, da się jakoś sprawdzić, jak często mój syn grał na tym komputerze w ubiegłym tygodniu?”

– Aha. – Tata niepewnie się jej przygląda. – I Arjunowi udało się to sprawdzić?

– A jakże! – mówi mama złowieszczym tonem. – Wszystko sprawdził.

Zapada milczenie. Widzę, że tata instynktownie robi krok w tył, ale nie udaje mu się uciec – przyjmuje cały impet akustycznego tsunami.

– Co noc! Co noc!!! Zaczynał o drugiej, a wyłączał komputer o szóstej. Uwierzyłybyś?

– Żarty sobie stroisz. – Tata wygląda na szczerze wstrząśniętego. – Jesteś pewna?

– Zapytaj Arjuna. – Mama podaje mu komórkę. – Zapytaj! To facet, który wykonuje zlecenia dla Google’a. Wie, o czym mówi.

– Uhm. Nie, nie trzeba. Nie ma potrzeby dzwonić do Arjuna. – Tata ociężale siada na stopniu schodów. – Jezu. Co noc?

– Zakrada się chyłkiem do pokoju zabaw. Okłamuje nas. Jest uzależniony! Wiedziałam. Wiedziałam!

– No dobrze. W takim razie przebrała się miarka. Dostanie szlaban na zawsze.

– Na zawsze.

Mama kiwa głową.

– Dopóki nie będzie pełnoletni.

– Co najmniej – potakuje mama. – Co najmniej. Wiesz, że Alison z klubu czytelniczego nie ma nawet telewizora? Mówi, że w dzisiejszych czasach ekrany telewizyjne zatruwają nas niczym papierosy. Emitują toksyny i poznamy ich szkodliwe działanie dopiero, gdy już będzie za późno.

– Aha... – Tata zdaje się zaniepokojony. – Nie jestem pewien, czy musimy się posuwać aż tak daleko.

– Może powinniśmy! – Mama, wyraźnie pod wpływem stresu, unosi głos. – Wiesz co, Chris? Może gdzieś popełniliśmy błąd! Może powinniśmy wrócić do podstaw. Do grania razem w karty. Do spacerów całą rodziną. Do rozmów.

– Hmm... no...

– I do książek! Co się stało z kulturą czytania? Musimy znowu zacząć czytać! Będziemy wybierać książki z listy rekomendacji do Nagrody Bookera! Koniec z oglądaniem toksycznej, bezrefleksyjnej telewizji i grania w ogłupiające gry wideo. Zastanów się, Chris, co się stało z naszym życiem? Co się stało?

– W pełni się z tobą zgadzam. – Tata gorliwie kiwa głową. – Naprawdę, masz absolutną rację. – Po chwili wahania dodaje: – A co z *Downton*?

– Ojej, *Downton*. – Mama traci rezon. – To zupełnie coś innego. To... No wiesz. Historia.

– A *Dochodzenie*?

Moi rodzice są uzależnieni od tego serialu. Dogadzają sobie, nurzają się w nim, oglądają cztery odcinki pod rząd, a potem pytają: „Jeszcze jeden? Tylko jeden więcej”.

– Mam na myśli dzieci – mówi w końcu mama. – Myślę o przyszłych pokoleniach. Powinny czytać książki.

– Uff, to dobrze – odpowiada z wyraźną ulgą tata. – Bo bez względu na to, co się wydarzy w moim życiu, mam zamiar obejrzeć *Dochodzenie* do końca.

– Żartujesz? Musimy obejrzeć je razem – zgadza się z nim mama. – Właściwie możemy obejrzeć jeden odcinek już dzisiaj.

– Albo dwa.

– Po rozmowie z Frankiem.

– O Boże. – Tata pociera czoło. – Muszę się napić.

□ □ □

Po tym niespodziewanym najściu przez jakiś czas w domu jest cicho. To jednak cisza przed burzą. Felix wraca z zajęć, na których dzieciaki piekły pizzę, pokazuje wszystkim odrażającą papkę pomidorowo-serową i każe mamie odgrzać ją w piekarniku, po czym nie chce jej nawet spróbować.

Potem nie chce jeść nic innego, bo ma ochotę na pizzę, którą sam zrobił, ale tej nie zje. Wiem, wiem. Powiedzieć, że logika czterolatka jest pokrętna, to nie powiedzieć nic.

– Ja chcę moją pizzę! – zawodzi, na co mama odpowiada:

– No to jedz! Proszę bardzo.

– Nieee! – Felix patrzy na nią przez łzy. – Nieee! Nie tę! Tylko nie tę!

W końcu strąca pizzę ze stołu, a widok rozpaćkanej na podłodze brei jest dla niego nie do zniesienia. Wpada w histeryczny szloch, a mama mówi gderliwie:

– Pewnie dali im do picia Fruit Shoot.

Potem prowadzi go do łazienki. (Pół godziny później jest czyściutki, mięciuteńki i z uśmiechem zajada kanapki. Kąpiel działa na czteroletnie maluchy jak relanium).

Dostaję misję specjalną – mam dopilnować, żeby Felix zjadł cały chleb razem ze skórkami – więc nie mogę odejść od stołu. Przyszło mi na myśl, żeby ostrzec Franka, ale to zapewne na nic by się zdało, bo mama jest jak hiperaktywny strażnik. Co pięć minut wygląda na korytarz i otwiera wszystkie drzwi, a raz nawet wychodzi na ulicę i przeczesuje wzrokiem horyzont, jakby się bała, że Frank wyprowadzi ją w pole, skradając się chyłkiem z innego kierunku. Jest naprawdę nakręcona na rozmowę z nim. Co chwila staje przed lustrem na korytarzu i wypowiada kwestie w rodzaju: „To fałsz w najczystszej postaci” i „Tak, to trudna miłość. To trudna miłość, młody człowieku”.

Znowu ten zwrot: „młody człowieku”.

Tymczasem wołałam się nie wychylać, chociaż mam wielką ochotę zapytać Franka, czy rzeczywiście wstawał o drugiej w nocy do komputera i czy Linus z nim grał. Ukradkiem pomagam Feliksowi zjeść dwie skórki chleba, żeby trochę przyspieszyć bieg rzeczy. Nagle słyszę głośny krzyk

mamy, która stoi na podjeździe i mrużąc oczy, patrzy na drogę.

– Chris! Chris! Idzie! – Wchodzi zamasyście do kuchni, rozglądając się uważnie na wszystkie strony. – Gdzie ojciec? Dokąd go poniosło?

– Nie wiem. Nie widziałam go.

Okej, mama jest totalnie naelektryzowana. Zastanawiam się, czy powiedzieć jej o technice odliczania do czterech przy wdechu i do siedmiu przy wydechu, ale obawiam się, że rozszarpałaby mnie na strzępy.

– Chris!

Wychodzi z kuchni niczym drapieżnik śledzący ofiarę.

Skradam się tak, żeby widzieć korytarz. Powinnam pójść po kamerę, ale zostawiłam ją na górze, a nie chcę się pchać prosto na pole walki. Tata staje w drzwiach gabinetu i ze smartfonem przy uchu zerka udreńczonym wzrokiem na mamę.

– To prawda, nie spodziewaliśmy się takich kwot – mówi. – Ale jeżeli spojrzą państwo na stronę szóstą... Przepraszam – szepcze do mamy. – Dwie minuty.

– Wyśmienicie! – mówi ostro mama, podczas gdy tata znowu znika. – Tyle w temacie połączonych sił. – Wygląda przez okno na korytarzu. – Okej. Idzie. Wkraczamy.

Zajmuje strategiczną pozycję na korytarzu, opiera dłoń na biodrze i gniewnie wpatruje się w drzwi. Te po pełnych napięcia dziesięciu sekundach otwierają się, a ja wstrzymuję oddech. Frank wchodzi jakby nigdy nic i przelotnie, bez wielkiego zainteresowania patrzy na mamę. Widzę, że mama szykuje się do ataku i bierze głęboki wdech.

– Witaj, Frank – mówi lodowatym tonem, od którego cierpnie mi skóra, chociaż to nie ja jestem w opałach.

Frank jednak ma na uszach słuchawki, więc domyślam się, że nie usłyszał chłodu w jej głosie.

– Cześć – rzuca i próbuje przejść obok, ale mama stuka go w ramię.

– Frank! – mówi i wskazuje na jego uszy. – Wyjmij to!

Frank znudzony przewraca oczami, wyjmuje słuchawki i patrzy na nią.

– Co?

– No i? – pyta mama jeszcze bardziej lodowato.

– Co?

– No i?

Domyślam się, że celem mamy jest sprawienie za pomocą tych dwóch sylab, aby Frank zadrżał ze strachu, ale widocznie ta taktyka się nie sprawdza. Mój brat wygląda jedynie na zniecierpliwionego.

– „No i”? Co masz na myśli? „No i” co?

– Czekaliśmy z tatą na ciebie. – Mama robi krok naprzód ze wzrokiem przenikliwym jak laser. – Długo czekaliśmy.

O, do licha. Zdaję sobie sprawę, że odgrywa czarny charakter z Bonda. Na pewno żałuje, że nie ma pod ręką białego kota, którego mogłaby głaskać.

– Co tu robi mój komputer?

Frank dopiero teraz go zauważył na stoliku w korytarzu, na którym stał owinięty kablem.

– Dobre pytanie – mówi słodko mama. – Może zechciałbyś opowiedzieć, w jaki sposób mniej więcej od tygodnia był wykorzystywany twój komputer?

Frank zwiesza ramiona, jakby całym ciałem dawał do zrozumienia: „O nie, znowu to samo”.

– Grałem w *Ziemię* – tłumaczy monotonnym głosem. – Przyłapałaś mnie na tym.

– Tylko raz?

Frank upuszcza torbę na podłogę.

– Nie wiem. Boli mnie głowa. Muszę wziąć paracetamol.

– A to dlaczego? – Mama nagle traci cierpliwość. – Czyżby dlatego, że od tygodnia nie spałeś?

– Co?

Frank patrzy typowym dla niego pustym wzrokiem, który ma znaczyć: „Nie wiem, o czym do mnie mówisz” i jest doprawdy irytujący.

– Nie zgrywaj głupka! Nawet nie próbuj udawać, że nie masz o niczym pojęcia! – Mama ciężko dyszy. – Dzisiaj mój znajomy Arjun przejrzał zawartość twojego komputera. Miał mi do powiedzenia parę niezwykle interesujących rzeczy.

– Jaki Arjun? Kto to?

Frank podejrzliwie mruży oczy.

– Specjalista od komputerów! – wykrzykuje triumfalnie mama.  
– Powiedział mi wszystko o tobie. Zostawiłeś wyraźne ślady. Wszystko wiemy.

Widzę, że przez twarz Franka przemknął cień zaniepokojenia.

– Czytał moją pocztę?

– Nie, nie czytał poczty. – Mama przez chwilę zdaje się rozkojarzona.

– A co mógłby w niej znaleźć?

– Nic – odpowiada szybko Frank i przygląda się jej ze złością. – Jezu! Nie mogę uwierzyć, że włamałaś się do mojego komputera.

– A ja nie mogę uwierzyć, że nas okłamujesz! Przez cały tydzień wstawiałeś o drugiej w nocy! Zaprzeczysz temu?

Frank z nadąsaną miną wzrusza ramionami.

– Frank?

– Jeśli Arjun tak mówi, to musi być prawda.

– A więc to prawda! Frank, czy rozumiesz powagę tej sytuacji? Rozumiesz? Rozumiesz?! – Nagle zaczyna na niego krzyczeć.

– A czy ty rozumiesz, jak poważnie traktuję *Ziemię zdobywców*?!  
– Frank też wrzeszczy. – A jeśli zostanę zawodowym graczem? Co wtedy powiesz?

– Tylko nie wracajmy znowu do tego tematu. – Mama zamyka oczy i pociera czoło. – Z kim grałeś? Znam tych ludzi? Powinam zatelefonować do ich rodziców?

– Wątpię – odpowiada sarkastycznie Frank. – Wszyscy mieszkają w Korei.

– W Korei??? – To ostatnia kropla, która przelewa czarę goryczy.  
– Aha. Koniec tego, Frank. Zakazuję ci. Zakazuję, zakazuję. Na zawsze. Nie będzie już komputerów. Nie będzie monitorów. Niczego nie będzie.

– Okej – zgadza się półgłosem Frank.

– Nie rozumiesz? – Mama intensywnie wpatruje się w jego twarz. – Zabraniam ci.

– Rozumiem. Zabraniasz.

Zapada milczenie. Mama nie wygląda na usatysfakcjonowaną. Przygląda się Frankowi, jakby spodziewała się innego zachowania.

– Zakazuję ci używania komputera. – Podejmuje jeszcze jedną próbę.  
– Na zawsze.

– Wiem – potakuje Frank z wystudiowaną cierpliwością. – Już mi to powiedziałaś.

– Ale to nie budzi twojej reakcji. Dlaczego nie reagujesz?

– Reaguje, mamó. Zabraniasz mi używać komputera. Niech ci będzie.

– Od tej pory będę go trzymać pod kluczem.

– Rozumiem.

Następuje kolejna dziwna i pełna napięcia chwila milczenia. Mama przygląda się Frankowi, jakby szukała rozwiązania tajemnicy. W pewnym momencie bierze głęboki wdech, a jej twarz nagle ożywa.

– O mój Boże. Ty nie traktujesz moich słów poważnie, prawda? Sądzisz, że uda ci się mnie wykiwać. Już planujesz, jak się zakraść w nocy i odzyskać swój komputer?

– Nie.

Po naburmuszonym głosie poznaję, że Frank naprawdę ma na myśli: „Tak”.

– Już się zastanawiasz, jak sforsować zamek?

– Nie.

– Myślisz, że uda ci się z nami wygrać! – Jej głos się załamuje. – Myślisz, że uda ci się wygrać? Tak? Spróbuj wygrać z tym!

Bierze ze stołu komputer – nieporęczną, ciężką skrzynię – i idzie po schodach na piętro. Kabel ciągnie się za nią po stopniach.

– To musi stąd zniknąć. Zniknąć! Nie chcę tego więcej widzieć w moim domu! Roztrzaskam go w drobny mak.

– W drobny mak?

Frank nagle się ożywia.

– I tak masz zakaz używania komputera, więc co za różnica? – rzuca mama przez ramię.

– Mamó, nie. – Franka ogarnia panika. – Mamó, co robisz?

– Ani kroku dalej, młody człowieku!

Głos mamy osiągnął zupełnie nowy, nieznan wcześniej tembr. Brzmi naprawdę groźnie, jak w czasach naszego dzieciństwa, więc Frank staje jak wryty z jedną nogą na stopniu. Nigdy przedtem nie widziałam, żeby tak się



bał.

– Co ona chce zrobić? – pyta szeptem.

– Nie wiem. Ale na twoim miejscu nie wchodziłabym na górę.

– Ale co ona robi?

Nagle z ogrodu za domem wbiega na korytarz Felix w szlafroku.

– Widzieliście? – ćwierka radośnie. – Mamusia wyrzuca przez okno komputer!

Nie mogę uwierzyć, że naprawdę to zrobiła. Nie wierzę, że wyrzuciła za okno komputer Franka.

Nie wyglądało to tak dramatycznie, jak się zapowiadało, bo nagle mama przypomniała sobie o przepisach bezpieczeństwa i krzyknęła do sąsiadów, żeby się odsunęli, a potem poradziła tacie, żeby przestawił samochód, jeżeli tak się o niego martwi.

Tymczasem Frank szalał – na zmianę bełkotał w totalnej panice lub próbował zgrywać filmowego bohatera, który rzeczowym głosem odwodzi zamachowca od zdetonowania ładunku wybuchowego.

– Mamo, posłuchaj – mówił. – Spokojnie, odłóż komputer. Nie chcesz tego zrobić, mamo.

Tyle że ta technika okazała się nieskuteczna, przede wszystkim dlatego, że mama naprawdę była zdeterminowana.

Kiedy komputer spadł na ziemię, nie rozpadł się w drobny mak. Odbił się dwa razy i upadł na bok. Prawdę mówiąc, nie wyglądał na zepsuty, kiedy tak leżał na trawniku. Rozbił się tylko monitor, a tata od razu pozbierał odłamki szkła, pewnie dlatego, że Felix lubi biegać boso po trawie.

Domyślałam się jednak, że szkody w środku są na tyle poważne, że Frank już nie będzie mógł z niego korzystać. Sprzęt wyglądał dosyć żałośnie, gdy tak leżał w trawie oklejony pochodzącymi z zamierzchłych czasów nalepkami z logo *Minecrafta*.

Gapie przez jakiś czas przyglądali się, parę osób zrobiło zdjęcia, a potem wszyscy rozeszli się do domów. Słowo daję, że wszyscy czuli się trochę rozczarowani. Wszyscy oprócz Franka, bo jego to zdarzenie kompletnie zdruzgotało. Próbowałam go jakoś pocieszyć, kiedy poszliśmy do domu, ale nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

Sądzę, że jest w szoku. Nie odzywał się przez cały wieczór. Mama z ponurą miną milcząco triumfuje, a tata po prostu się cieszy, że samochodowi nic się nie stało.

I chociaż wcale tego nie chcę, zastanawia mnie jedna rzecz: czy to znaczy, że Linus już do nas nie przyjdzie?

# MOJA RADOSNA, CZUŁA RODZINKA

## SCENARIUSZ FILMOWY

### WNĘTRZE DOMU. ROSEWOOD CLOSE 5. DZIEŃ

Mama siedzi w kuchni przy filiżance kawy i patrzy prosto w obiektyw.

MAMA

Zrobiłam to, co było konieczne. Zgadzam się, że środki były dość ekstremalne. Jednak czasami musisz użyć zdecydowanych metod. W pierwszej chwili wszyscy są zszokowani, ale potem mówią: „Ojej! Postąpiłaś doprawdy odważnie i dalekowzrocznie”.

Milczenie.

MAMA

Jestem absolutnie pewna, że to było konieczne. Oczywiście, atmosfera trochę się zagęściła, ale wszystko wróci do normy. Jasne, że Frank bardzo to przeżył, jasne, że się złości – ale czego innego się spodziewałam?

Milczenie.

MAMA

No cóż, nie spodziewałam się, że zniesie to aż tak źle. Muszę to szczerze przyznać. Ale jakoś przetrwamy tę burzę.

Mama unosi filiżankę, ale odstawia ją, nie pijąc nawet łyka kawy.

MAMA

Bycie rodzicem, Audrey, to nie spacer w parku. Często musisz dokonywać trudnych wyborów i przewidywać ich konsekwencje. A zatem owszem, obecnie Frank stanowi dla mnie szczególne wyzwanie. Ale wiesz co? Pewnego dnia podziękuje mi za to.

Milczenie.

MAMA

W każdym razie możliwe, że mi podziękuje.

Milczenie.

MAMA

No dobrze, raczej nie powinnam liczyć na wdzięczność. Chcę ci jednak przypomnieć, że jestem matką. Matki nie kładą uszu po sobie w obliczu trudności.

Zbliżenie na smartfon BlackBerry, który mama trzyma w ręce. Na wyświetlaczu widoczna wyszukiwarka Google i hasło:

„Wyjazdy do spa dla singli bez dzieci”.

Mama pospiesznie zasłania wyświetlacz.

MAMA

Nie ma na co patrzeć.

Frank zupełnie przestał się odzywać. Do wszystkich.

W gruncie rzeczy nawet lubię, kiedy tak milczy. W domu od razu jest spokojniej. Ale takie zachowanie niepokoi mamę. Poszła nawet do szkoły, żeby porozmawiać z jego nauczycielem, który, tak jak mówiła, okazał się: „Do niczego! A nawet gorzej niż do niczego! Powiedział, że jego zdaniem wszystko jest «w porządku» z Frankiem i że powinniśmy «zostawić go w spokoju». «Zostawić go w spokoju» – tak się wyraził. Wyobrażasz to sobie?”. (Wiem to stąd, że stałam za drzwiami sypialni rodziców, kiedy mama wywnętrzała się przed tatą).

Dzisiaj Frank siedzi z nami przy kolacji, je *enchiladas*, nie zwracając uwagi na nikogo, wpatrzony niczym zombie w jakiś punkt w przestrzeni. Kiedy mama albo tata o coś go pytają, na przykład: „Zadali wam dzisiaj dużo lekcji?”, wydaje z siebie jedynie charczący dźwięk „chrnf”, przewraca oczami albo kompletnie ich ignoruje.

Ja też nie jestem dzisiaj w rozmownym nastroju, więc przy stole panuje grobowa cisza. Prawdę mówiąc, wszyscy z uczuciem ulgi unosimy głowy znad talerzy, kiedy Felix wchodzi z pokoju zabaw w swojej piżamie w traktorki.

– Nie odrobiłem zadania domowego – mówi zmartwiony. – Mojego zadania domowego, mamusiu.

Trzyma w ręce przezroczystą teczkę z kartką w środku.

– Och, Boże... – mówi mama.

– Zadania domowego? – dziwi się tata. – Czterolatkom dają zadania do odrobienia?

– No wiem – wzdycha mama. – Powariowali.

Wyjmuje z teczki kartkę – to duży skserowany arkusz zatytułowany: „Za co się kochamy?”. Pod nagłówkiem Felix narysował nasz rodzinny portret – a przynajmniej domyślałam się, że to my. Jest na nim pięć postaci. Mama wygląda, jakby była w ciąży, a tata jak krasnal. Moja głowa jest wielkości główki od szpilki i mam dwadzieścia wielkich, obłych palców. Ale, wiesz, poza tym to całkiem wierny portret.

– Odpowiedz na pytanie z pomocą członków twojej rodziny – czyta mama. – Na przykład: „Kochamy się, bo lubimy się przytulać”. – Sięga po długopis. – No dobrze. Co mam napisać? Felix, co najbardziej lubisz

w naszej rodzinie?

– Pizzę – odpowiada bez namysłu Felix.

– Nie możemy tego napisać.

– Pizzę! – płacząco jęczy Felix. – Uwielbiam pizzę!

– Nie możemy napisać, że kochamy się z powodu pizzy.

– Moim zdaniem to bardzo dobry powód – wtrąca tata, wzruszając ramionami.

– Ja ci pomogę – mówi Frank i sięga po kartkę, a my patrzymy zszokowani. Frank się odezwał! Wyjmuje z kieszeni flamaster Sharpie i pisze, czytając na głos: – Kochamy się, bo szanujemy swoje wybory i rozumiemy, że każdy z nas ma jakieś hobby, więc nigdy nie zniszczylibyśmy świadomie jego własności... Och, coś mi się pomyliło.

– Frank, nie możesz tego napisać! – strofuje go mama.

Trochę na to za późno, bo słowa już widnieją na kartce. Napisane trwałym tuszem.

– No ładnie! – Mama groźnie patrzy na Franka. – Zniszczyłeś zadanie domowe brata.

– Napisałem prawdę. – Frank nie pozostaje dłużny i też mrozi ją wzrokiem. – Nie potrafisz spojrzeć prawdzie w oczy.

– *Ludzie honoru* – wtrąca tata. – Nie wiedziałem, że oglądałeś ten film.

– Jest na YouTube.

Frank wstaje i idzie do zmywarki.

– Cudownie. – Mama już jest porządnie wkurzona. – Przez ciebie nie możemy tego oddać. Będę musiała napisać list do przedszkolanki: „Droga pani Lacy, z przykrością informuję, że praca domowa Feliksa...” i co dalej?

– Została zjedzona przez szczury – proponuję.

– Nie dotyczy rodziny Turnerów, ponieważ ich pojęcie miłości ogranicza się jedynie do miłości własnej – dobiega z okolicy zlewu tubalny głos.

Po tych słowach Frank wychodzi z kuchni, a mama i tata znacząco patrzą na siebie.

– Ten chłopak potrzebuje jakiegoś hobby – mówi półgłosem mama. –

Niepotrzebnie pozwoliliśmy mu zrezygnować z gry na wiolonczeli.

– Proszę, tylko nie wiolonczela. – W głosie taty daje się wyczuć zaniepokojenie. – Myślę, że już z tego wyrósł.

– To niekoniecznie musi być wiolonczela – odpowiada szorstko mama. – Ale cokolwiek. Czym się w dzisiejszych czasach zajmują nastolatki?

– Różnymi rzeczami. – Tata wzrusza ramionami. – Zdobywają medale olimpijskie, zdają na Harvard, zakładają spółki internetowe, grają w kasowych filmach...

Milknie jakby nieco zasmucony.

– Frank nie musi zdobywać medali – mówi zdecydowanie mama. – Wystarczy, że będzie miał jakieś zainteresowania. Może gitara? – Nagle się rozpromienia. – Ciekawe, czy wciąż umie na niej grać. Może umówisz się z nim na wspólną sesję w garażu?

– Już kiedyś próbowaliśmy – odpowiada tata z niechętnym wyrazem twarzy. – Pamiętasz? Nic z tego nie wyszło... Ale możemy spróbować jeszcze raz! – dodaje szybko, widząc minę mamy. – Doskonały pomysł! Urządzimy sobie *jam session*. Ojciec i syn. Zagramy kilka kawałków, wypijemy parę piw... To znaczy, bez piwa – poprawia się czym prędzej, bo mama już otwiera usta, żeby zaprotestować. – Tak jest, żadnego piwa.

– I powinien się zapisać do wolontariatu – dodaje z nagłą determinacją mama. – Tak! To dobra rola dla Franka. Będzie wolontariuszem.

□ □ □

Wieczorem, kiedy siedzę w kuchni i bawię się funkcją odtwarzania nagrań w kamerze, wpada na mnie Frank.

– Och, cześć. – Unoszę głowę, bo przypomniałam sobie ważną rzecz. – Słuchaj, jeszcze nie przeprowadziłam z tobą wywiadu. Możemy to zrobić?

– Nie chcę żadnych wywiadów.

Frank sprawia wrażenie, jakby nienawidził wszystkiego i wszystkich.



Jest blady. Ma przekrwione oczy. Wygląda na bardziej chorego niż wtedy, gdy cały czas spędzał na graniu.

– Okej. – Wzruszam ramionami. Sięgam do półmiska na stole po Dorito. Dzisiaj na kolację jedliśmy danie teksańsko-meksykańskie, a to jedyna okazja, kiedy mama kupuje chipsy. Tak jakby nazwa Dorito i fakt, że podaje się je z sosem *guacamole*, wystarczały jako gwarancja, że to nie jest śmieciowe jedzenie. – Aha... – Staram się, żeby mój głos brzmiał naturalnie. – Zastanawiałam się, czy...

Niestety głos mnie zawodzi. Wcale nie brzmi naturalnie ani swobodnie, tylko natarczywie. Z drugiej strony, nie sędzę, żeby Frank był w odpowiednim nastroju, aby dostrzec takie niuanse.

– Czy Linus przyjdzie do ciebie?

Wypowiadam te słowa pospiesznie, przez co moje zachowanie jest kompletnym zaprzeczeniem naturalności, ale ważne, że w ogóle to wykrztusiłam.

Frank zwraca głowę w moim kierunku i posyła mi mordercze spojrzenie.

– Po co miałby przyjść?

– No... bo... – Nie wiem, co powiedzieć. – Pokłóciliście się?

– Nie, nie pokłóciliśmy. – W jego oczach widzę tyle frustracji i złości, że aż przechodzi mnie dreszcz. – Wyrzucili mnie z drużyny.

– Wyrzucili cię? – Wstrząśnięta gapię się na niego. – Ale to ty ją stworzyłeś.

– Teraz raczej nie pogram, no nie? – mówi cichym, głuchym głosem.

Odnoszę przygnębiające wrażenie, że zaraz się rozplacze. Nie widziałam, żeby płakał, od kiedy skończył mniej więcej dziesięć lat.

– Frank. – Zalewa mnie potężna fala współczucia. Prawdę mówiąc, mogłabym się rozplakać zamiast niego. – Powiedziałeś o tym mamie?

– Czy powiedziałem mamie? – naskakuje na mnie. – Po co? Żeby jej sprawić radochę?

– Nie cieszyłaby się z tego! – mówię, chociaż wcale nie jestem pewna.

Problem z mamą polega na tym, że nie wie, o czym mówi. Nie chcę jednak, żeby te słowa zabrzmiały złośliwie. Po prostu żaden z dorosłych nie wie. Są kompletnymi ignorantami, a jednocześnie to właśnie oni mają

kontrolę. Chora sytuacja. Rodzice posiadają pełnię władzy nad takimi sprawami, jak obecność nowinek technicznych w domu czy czas spędzany przed komputerem albo liczba godzin poświęcanych mediom społecznościowym, ale wystarczy, że coś się stanie z ich komputerem, by stali się bezradni jak dzieci: „Gdzie się podział mój dokument?”, „Nie mogę się zalogować do Facebooka”, „Jak wysłać zdjęcie? Gdzie mam kliknąć dwa razy? Co to znaczy?”.

I wtedy to my musimy im pomagać.

Tak więc mama zapewne cieszyłaby się, gdyby usłyszała, że Frank już nie jest w drużynie. A w następnej sekundzie powiedziałaby: „Kochanie, znajdź sobie hobby albo dołącz do jakiejś drużyny”.

– Naprawdę mi przykro, Frank – mówię, ale on nie reaguje. Po chwili wychodzi z kuchni, a ja zostaję sama z moimi chipsami.

Azatem wygląda na to, że ostatnio sprawy nie układają się najlepiej.

Doktor Sarah zdaje się być opanowana i niewzruszona jak zwykle.

– Nie jest tak źle. Ale wszyscy mają stres. Często w ogóle nie wstaję z łóżka. Cały czas czuję się totalnie zmęczona.

– Jeśli jesteś zmęczona, po prostu odpoczywaj. Nie walcz z tym. Twój organizm się regeneruje.

– Wiem. – Wzdycham, siedząc na krześle z kolanami podciągniętymi pod brodę. – Ale nie chcę być taka zmęczona. Nie chcę, żeby to mnie przytłaczało. Chcę się wreszcie otrząsnąć.

Te słowa padają, zanim zdążyłam się nad nimi zastanowić, i nagle czuję lekki przyływ adrenaliny.

Kiedy zwierzam się doktor Sarah, jest tak, jakbym sama słyszała te rzeczy po raz pierwszy w życiu, i nagle stają się realne. Sądzę, że ma w sobie trochę magii. Jest niczym wróżka – tyle że przepowiada teraźniejszość, a nie przyszłość. W jej gabinecie dokonują się metamorfozy. Nie wiem, jak to się dzieje, ale tak już jest.

– Dobrze! – cieszy się. – To dobrze. Zdaje się jednak, Audrey, że z pewnego faktu nie zdajesz sobie sprawy. Z tego, że już się otrząsas.

– Nieprawda.

Zerkam na nią urażona. Jak może tak mówić?

– Ależ prawda.

– Nie wstawałam z łóżka od jakichś trzech dni.

– Nikt nie obiecywał, że powrót do zdrowia będzie łatwą wycieczką. Pamiętasz nasz wykres?

Wstaje i podchodzi do tablicy. Rysuje na niej układ współrzędnych i nierówną czerwoną linię, która pnie się do góry.



– Zdarzą ci się dobre i złe chwile. Ale ogólnie będziesz zmierzać

w dobrym kierunku. A raczej już zmierzasz w dobrym kierunku. Przeszłaś długą drogę, Audrey. Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie?

Wzruszam ramionami. Szczerze mówiąc, moje wspomnienia z niektórych sesji są niewyraźne i zamazane.

– Bo ja pamiętam. I możesz mi wierzyć, że jestem zadowolona z tego, co teraz widzę.

– Och.

Czuję w piersi pełgające światło dumy, co jest żalną reakcją, bo przecież nie ma w tym mojej zasługi.

– Jak wyglądają twoje postępy z filmem?

– W porządku – potakuję.

– Rozmawiałaś z kimś spoza domu?

– No cóż... – Waham się. – Jeszcze nie. Niezupełnie.

Doktor Sarah czeka. To u niej typowe – jest jak gliniarz zaczajony na przestępcę. I za każdym razem, kiedy sobie obiecuję, że nie wymięknę pierwsza, oczywiście wymiękam i zaczynam mówić.

– Okej, jest pewien chłopak. Ma na imię Linus. – Niespodziewanie słyszę swój głos.

– Pamiętam. Już kiedyś o nim wspomniałaś. – Doktor Sarah kiwa głową.

– Zamierzałam z nim przeprowadzić wywiad, kiedy przychodził odwiedzić Franka. Tyle że już nie przychodzi. Pomyślałam więc... To znaczy... – Milknę, bo właściwie nie wiem, co chciałam powiedzieć.

– Może powinnaś go o to poprosić – mówi doktor Sarah, jakby chodziło o błahostkę.

– Nie mogę – odpowiadam bez zastanowienia.

– Dlaczego?

– Bo... – Nie kończę i milknę. Ona wie, dlaczego. Nie muszę jej tego tłumaczyć.

– Wyobraźmy sobie najgorszy scenariusz – mówi bez troski doktor Sarah. – Zapraszasz Linusa, a on odmawia. Jak się wtedy czujesz?

Mam wrażenie, jakby po plecach spływały mi strumyki strachu. Przestała mi się podobać ta rozmowa. Nie powinnam w ogóle wspominać o Linusie.

– Jak się wtedy czujesz? – Doktor Sarah nie odpuszcza. – Audrey, współpracuj ze mną. Linus mówi: „Nie, nie przyjdę”. Co czujesz?

– Totalny wstyd – mówię żałośnie. – Mogłabym od razu paść trupem. O Boże, jestem taka głupia...

Moją twarz wykrzywia męczyński grymas.

– Dlaczego głupia?

– Bo... No bo tak!

Patrzę na nią niemal ze złością. Czasami moja terapeutka specjalnie struga wariata.

– A zatem Linus nie przyjdzie.

Doktor Sarah wstaje i pisze na tablicy:

Linus nie przyjdzie.

Potem dorysowuje strzałkę, a obok kółko, w którym wpisuje: *Myśli Linusa*.

– Dlaczego te myśli sprawiają, że czujesz się głupia? – stuka palcem w tablicę.

– Bo... – Myślenie sprawia mi trudność, ale próbuję to wytłumaczyć:  
– Bo nie powinnam była go zapraszać.

– Dlaczego? – kontruje. – A zatem odmówił. To znaczy tylko tyle, że nie ma ochoty na wywiad albo że jest zajęty, a może chce się umówić na inny termin. Różne czynniki mogą wchodzić w grę. Wcale nie chodzi o ciebie.

– Oczywiście że chodzi! – mówię. Nie mogę się powstrzymać.

– Oczywiście? – Doktor Sarah od razu łapie mnie za słowo. – To takie oczywiste?

Okej, dałam się przyłapać. „Oczywiście” to jeden ze zwrotów, które działają na doktor Sarah jak zapach krwi na rekina. Tak samo reaguje na „muszę”.

– Audrey, czy znasz myśli Linusa?

– Nie – odpowiadam niechętnie.

– Nie wyglądasz na pewną na sto procent. Audrey, umiesz zaglądać ludziom do głów?

– Nie.

– Zostałaś obdarzona jakimiś nadludzkimi mocami? Czy jest coś specjalnego, co powinnam wiedzieć o tobie?

– Nie. – Unoszę dłonie. – Wystarczy. Zrozumiałam. Wróżyłam z fusów.

– Wróżyłaś z fusów. – Doktor Sarah potakuje. – Nie masz pojęcia o tym, co myśli Linus. Może to coś dobrego, a może złego. Najprawdopodobniej w ogóle nie myśli. Jest facetem. Lepiej zacznij się do tego przyzwyczajać.

Rozbawiona marszczy nos.

– No dobrze. – Wiem, że próbuje wywołać uśmiech na mojej twarzy, ale jestem za bardzo zdezorientowana. – A więc... Powinnam go poprosić?

– Moim zdaniem tak.

Sięga po ściereczkę i zmazuje z tablicy słowa: „Linus nie przyjdzie”. W ich miejscu pisze:

Linus nie przyjdzie, a może nie.

Oba scenariusze są w porządku.

Tak czy owak ta decyzja dotyczy jego samego, a nie ciebie.

Ty nie jesteś odpowiedzialna za jego emocje.

– Może być? – pyta doktor Sarah, kiedy czytam to, co napisała.

– Tak.

– Dobrze. W takim razie namów go na ten wywiad. Niech to będzie twoje zadanie domowe – poprosić Linusa o rozmowę.

Pierwszy krok to złapać mamę w dobrym nastroju, żeby nie wpadła w panikę, nie przesadziła z reakcją ani nic z tych rzeczy. Czekam, aż skończy oglądać odcinek *Master Chefa*, a potem jakby nigdy nic siadam na oparciu sofy i mówię:

– Mamo, chciałabym dostać telefon.

– Telefon? – Mama siada prosto i patrzy na mnie z otwartymi ustami. Jej oczy robią się okrągłe jak spodki. – Telefon???

Jeżeli mnie można nazwać królową przesadnych reakcji, to mama jest w tej dziedzinie cesarzową.

– Uhm, tak. Telefon. Jeśli się zgodzisz.

– Do kogo chcesz dzwonić? – wypytuje.

– Po prostu... Nie wiem. Do ludzi.

Zdaję sobie sprawę, jak szorstko to brzmi, ale sama jest sobie winna.

– Do jakich ludzi?

– No do ludzi! Mam ci dać kompletną listę nazwisk?

Zapada milczenie. Wiem, co mama myśli, bo mnie też to chodzi po głowie. Mój ostatni telefon to niekoniecznie była historia sukcesu. Nie chodzi o sam telefon, on był w porządku – Samsung. Jednak stał się czymś w rodzaju portalu. Toksycznego portalu do... no, tego wszystkiego, co się stało. Trzęsłam się ze strachu na sam dźwięk przychodzącej wiadomości i na myśl o przeczytaniu jej. Nie wiem, co się z nim stało. Tata się go pozbył.

Ale to było wtedy.

To było wtedy.

– Audrey...

Mama patrzy na mnie z napięciem, a mnie jest przykro, że zepsułam jej miły wieczór przy *Master Chefie*, *Wielkich projektach* czy co tam oglądała.

– Nic mi się nie stanie – zapewniam.

– Chcesz zadzwonić do Natalie? O to chodzi?

Imię Natalie sprawia, że trochę się kurczę wewnątrz siebie. Nie jestem pewna, czy już byłabym w stanie z nią porozmawiać. Ale nie chcę zdradzać mamie wszystkiego.

– Może.

Wzruszam ramionami.

– No nie wiem, Audrey...

Rozumiem, skąd u mamy ta nadwrażliwość. Chodzi mi o to, że ja też jestem szczególnie wyczulona na takie rzeczy. (A raczej przeczulona, o czym cały świat już raczył mnie poinformować). Ale się nie poddaję. Podjęłam silne postanowienie. Dostanę ten telefon.

– Audrey, bądź ostrożna. Ja... Nie chciałabym, żebyś...

– Wiem.

Dostrzegam kilka siwych włosów wśród intensywnie brązowych pasemek na głowie mamy. Jej skóra zdaje się cienka. Myślę, że postarzała się przez tę historię. Postarzała się przeze mnie.

– Doktor Sarah radziła mi poprosić o telefon – mówię, żeby ją trochę uspokoić. – Zawsze powtarza, że w każdej chwili mogę jej wysłać SMS-a. Jej zdaniem sama poznam, kiedy będę gotowa. Jestem gotowa.

– Dobrze. – Mama wzdycha. – Kupię ci telefon. To znaczy, wspaniale, że go chcesz, kochanie. Cudownie. – Kładzie dłoń na mojej dłoni i zachowuje się tak, jakby widziała jedynie pozytywne strony. – To postęp!

– Jeszcze nie zaczęłam go używać – przypominam. – Nie ciesz się zawczasu. – Siadam wygodniej na sofie i nieco mniej się garbię. – Co oglądasz?

Przekładając poduszki, zauważam książkę, którą mama trzyma na kolanach. Jest zatytułowana: *Jak rozmawiać z twoim nastolatkiem* doktora Terence'a Kirshenbergera.

– O Boże. – Sięgam po nią. – Mamo, co to?

Mama czerwieni się ze wstydu i próbuje mi ją odebrać.

– Nic. Lektura.

– Nie potrzebujesz podręcznika, żeby z nami porozmawiać!  
– Przerzucam kilka kartek upstrzonych badziewnymi rysunkami, a potem zerkam na okładkę. – Dwanaście dziewięćdziesiąt pięć? Wydałaś na tę rzecz dwanaście funtów i dziewięćdziesiąt pięć pensów? Co tu jest napisane? Założę się, że coś w rodzaju: „Twój nastolatek to też człowiek”.

– Nie, jest napisane: „Oddaj mi moją książkę”. – Mama wyrywa mi ją z rąk i wsuwa pod siedzenie. Robi to tak szybko, że nie jestem w stanie



zareagować. – No, a teraz możemy obejrzeć telewizję?

Nadal jednak ma zaróżowione policzki i wygląda na zawstydzoną. Biedna mama. Nie do wiary, że wydała tyle kasy na książkę pełną jakichś głupich gryzmołów.

□ □ □

Przeczytała ją! Przeczytała tę książkę za 12,95 funtów!

Wiem, bo w sobotę przy śniadaniu nagle zaczyna rozmawiać z Frankiem w taki sposób, jakby mówiła w jakimś obcym języku.

– Frank, zwróciłam uwagę, że wczoraj rzuciłeś na podłogę twojej sypialni dwa mokre ręczniki – zaczyna karykaturalnie opanowanym tonem.

– Ten fakt wywołał moje zdziwienie. A jakie emocje wywołał u ciebie?

– Hę?

Frank uważnie się jej przygląda.

– Sądzę, że powinniśmy razem poszukać rozwiązania tej kwestii – mówi dalej mama. – To może być dla nas ciekawe wyzwanie.

Skonsternowany Frank patrzy na mnie, ale wzruszam ramionami.

– Chcę poznać twoją opinię, Frank – napiera mama. – Gdybyś to ty prowadził dom, jakiej rady udzielilibyś domownikom w sprawie ręczników?

– Nie wiem. – Frank zdaje się nieco wytrącony z równowagi. – Żeby korzystali z ręczników papierowych i wyrzucali je po użyciu.

Widzę, że mama z trudem przyjmuje tę odpowiedź, ale sztuczny sekciarski uśmiech nie znika z jej twarzy.

– Przyjmuję twój punkt widzenia – mówi. – Ciekawy pomysł.

– Nieprawda.

Frank jest coraz bardziej podejrzliwy.

– Ależ tak.

– Mamo, to głupi pomysł. Chciałem cię wkurzyć. Nie możesz mówić, że jest „ciekawy”.

– Przyjmuję twój punkt widzenia. – Mama potakuje. – Akceptuję to, Frank. Rozumiem, dlaczego tak twierdzisz. Masz do tego pełne prawo.

– Nie mam żadnego punktu widzenia! – warczy Frank. – I przestań wciąż powtarzać: „Przyjmuję twój punkt widzenia”.

– Mama przeczytała podręcznik – wyjaśniam. – Pod tytułem: *Jak rozmawiać z twoim nastolatkiem*.

– O kurwa... – Frank robi zdegustowaną minę.

– Nie przeklinaj, młody człowieku!

Mama w mgnieniu oka wychodzi z roli „mamy ze Stepford”.

– O kulwa! – powtarza rozradowany Felix, a mama gniewnie bierze głęboki oddech.

– Widzisz? Widzisz, co narobiłeś?

– No to przestań do mnie mówić jak pieprzony robot! – krzyczy Frank.

– Totalnie ci to nie wychodzi.

– Pieprzony robot! – powtarza jak echo Felix.

– Ta książka kosztowała dwanaście dziewięćdziesiąt pięć – mówię do Franka, który słysząc to, śmieje się z niedowierzaniem.

– Dwanaście dziewięćdziesiąt pięć! Sam mógłbym napisać tę książkę, używając jedynie sześciu słów: „Nie traktuj swojego nastolatka jak głupka”.

Cisza. Widzę, że mama próbuje utrzymać nerwy na wodzy. Po tym, jak zgniata serwetkę w ciasną kulkę, poznaję, że ma z tym duży problem. W końcu unosi głowę i znowu się uśmiecha.

– Frank, rozumiem, że chwilowo życie może ci się wydawać frustrujące – mówi łagodnym, przyjaznym głosem. – Znalazłam więc dla ciebie zajęcie. Dzisiaj pograsz z tatą na gitarze, a w przyszłym tygodniu zostaniesz wolontariuszem.

– Wolontariuszem? – Frank jest kompletnie zaskoczony. – Takim, który buduje chaty w Afryce?

– Który robi kanapki na kiermasz w Avonlea.

Avonlea to nazwa domu spokojnej starości przy sąsiedniej ulicy, gdzie co roku odbywa się całkiem fajny kiermasz. Fajny jak na imprezę organizowaną w ogrodzie przez dziadków.

– Kanapki? – Frank osłupiał z niedowierzania. – Chyba żartujesz.

– Zgłosiłam naszą rodzinę na ochotników do przygotowania poczęstunku. Wszyscy się tym zajmiemy.

– Nie będę szykował żadnych cholernych kanapek.  
– Przyjmuję twoją opinię – odpowiada mama. – Ale będziesz. I nie przeklinaj.  
– Nie ma mowy.  
– Przyjmuję twoje stanowisko, Frank. – Mama nie ustępuje. – Ale pomożesz nam w tym.  
– Mamo, przestań już, okej?  
– Przyjmuję to.  
– Dostyc.  
– Przyjmuję.  
– Dostyc! Jezu! – Frank przyciska pięści do skroni. – Już dobrze, zrobię te cholerne kanapki! Skończyłaś wreszcie niszczyć mi życie?  
Odpycha się i odchodzi od stołu, a mama uśmiecha się przez zaciśnięte usta.

# MOJA RADOSNA, CZUŁA RODZINKA

## SCENARIUSZ FILMOWY

### WNĘTRZE DOMU. ROSEWOOD CLOSE 5. DZIEŃ

Najazd kamery na drzwi garażu. W środku tata w skórzanym stroju, z gitarą podpiętą do wielkiego wzmacniacza. Obok stoi Frank z gitarą basową. Jest w posępnym humorze.

TATA

(entuzjastycznie)

Improwizujmy. Pobzdąkamy, będzie super czad.

Popisuje się riffem gitarowym.

TATA

Znasz *For Her, For Me*?

FRANK

Co?

TATA

*For Her, For Me*. To nasz najbardziej znany kawałek.

Zdaje się trochę urażony.

TATA

Wysłałem ci link do tej piosenki, nie? Gram w niej solówkę.

Wykonuje jeszcze jeden popisowy riff.

FRANK

Aha. Hm... Nie znam go.

TATA

A co znasz?

FRANK

Motyw przewodni z *Ziemi zdobywców*.

Zaczyna grać, ale zniecierpliwiony tata potrząsa głową.

TATA

Przecież chcemy grać prawdziwą muzykę. Okej, zaimprovizujemy, opierając się na akordach. Zacznijmy od podstaw. Intro – C, E, F, G, w refrenie podwojenie tempa – D-moll, F, C przez dwa takty, refren zaczynasz od G z nałożonym efektem.

Frank patrzy na niego spanikowany.

FRANK

Co?

TATA

Po prostu popuść wodze fantazji. Dasz sobie radę. Raz, dwa, raz, dwa, trzy, cztery.

Obaj zaczynają grać i rozlega się kakofonia dźwięków. Tata śpiewa skrzekliwym głosem.

TATA

(śpiewa)

*For her... for meeeeeee... Comin' round again...*  
(przekrzykuje muzykę)

Frank, rób chórki!  
(śpiewa)

*For her... for meeeeeee...*

Zaczyna grać solo. Frank rozpaczliwie zerka w obiektyw kamery i stłumionym głosem błaga: „Ratunku!”.

# MOJA RADOSNA, CZUŁA RODZINKA

## SCENARIUSZ FILMOWY

### WNĘTRZE DOMU. ROSEWOOD CLOSE 5. DZIEŃ

Mama gotuje obiad w kuchni. Unosi głowę, gdy do pomieszczenia wchodzi podekscytowany tata.

MAMA

No i co? Jak poszło?

TATA

Fantastycznie! Improwizowaliśmy, świetnie się rozumieliśmy... Myślę, że Frankowi bardzo się podobało.

MAMA

Doskonale! Dobra robota!

Obejmuje go.

# MOJA RADOSNA, CZUŁA RODZINKA

## SCENARIUSZ FILMOWY

### WNĘTRZE DOMU. ROSEWOOD CLOSE 5. DZIEŃ

Frank siedzi u szczytu schodów. Mówi wprost do kamery.

FRANK

O. Mój. Boże. To była najgorsza rzecz, jaka mnie spotkała w życiu.

AUDREY (z offu)

Przesadzasz.

FRANK

(mruży oczy)

Skąd możesz wiedzieć? Może była.

Bezwładnie opiera się o balustradę.

FRANK

Dlaczego tacie zachciało się grać ze mną rocka dla starców?  
Dlaczego?



AUDREY (z offu)

Żeby zniechęcić cię do grania na komputerze.

Frank mrozi ją wzrokiem.

FRANK

Dzięki, Einsteinie.

AUDREY (z offu)

Tak tylko mówię. Chcą, żebyś miał inne zainteresowania.

FRANK

(wybuchą)

Ale ja nie chcę mieć innych zainteresowań! Co jest złego w graniu?

AUDREY (z offu)

Nie powiedziałam, że w graniu jest coś złego.

FRANK

Granie dobrze wpływa na refleks, wspomaga rozwój umiejętności pracy w zespole i strategicznego myślenia. Może cię dużo nauczyć...

AUDREY (z offu)

(sceptycznie)

Może cię dużo nauczyć? Czego?

FRANK

Okej, naprawdę chcesz wiedzieć? To proszę bardzo. (odlicza na palcach) *Minecraft* – architektury. *Sim City* – zarządzania populacją, budżetem i takimi tam różnościami. *Assassin's Creed* – wielu rzeczy o starożytnym Rzymie, o Borgiach i o tym, no... Leonardzie da Vinci. Wszystkiego. Wszystkie fakty historyczne, jakie pamiętam, pochodzą z *Assassin's Creed*. Ze szkoły – ani jednego. Wszystkiego dowiaduję się z gier.

AUDREY (z offu)

Czego się nauczyłeś dzięki *Ziemi zdobywców*?

FRANK

(chytrze się uśmiecha)

Przede wszystkim koreańskich przekleństw.  
(nagle wykrzykuje)

Sheebskee!!!

AUDREY (z offu)

Co to znaczy?

FRANK

Użyj wyobraźni.

Z parteru dobiega wołanie mamy.

MAMA

Frank! Audrey! Obiad!

Zdaje się, że Frank jej nie dosłyszał.

FRANK

Wiesz, że w wielu państwach *Ziemia* jest pełnoprawnym sportem? Takim z kibicami i całą otoczką. Wiedziałaś, że zbudowano dla niej specjalne areny?

AUDREY (z offu)

Wiem. Słyszałam to od ciebie już z milion razy.

FRANK

A wiesz, że niektóre uniwersytety w Stanach dają graczom w *Ziemię* stypendia?

AUDREY (z offu)

O tym też mi mówiłeś.

FRANK

*Ziemia zdobywców* jest wyrafinowana. Ma swój własny język, który kieruje się określonymi zasadami. Jest jak... jest jak cholerna łacina. Właśnie tak. Jak łacina. Mama i tata wciąż powtarzają: „Uhuuu, to samo zło”. Ciekawe, czy mówiliby to samo, gdybym był uzależniony od łaciny.

Długa przerwa.

AUDREY (z offu)

Szczerze mówiąc, nie umiem sobie tego wyobrazić.

No więc mama kupiła mi telefon. To był pierwszy krok. Dostałam od Franka numer telefonu Linusa. To był krok drugi. Teraz muszę do niego zadzwonić.

Wprowadzam na klawiaturze jego numer i przez jakiś czas patrzę na cyfry. Próbuję sobie wyobrazić, jak zacząć rozmowę. Notuję na kartce kilka słów i zwrotów, które mogą mi się przydać. (To pomysł doktor Sarah). Układam w myślach pozytywny scenariusz.

W końcu jednak nie mogę się zdobyć na to, żeby zatelefonować. Wysyłam zatem SMS-a:

Cześć, Linus. Tu Audrey, siostra Franka. Cały czas pracuję nad filmem dokumentalnym, a Ty powiedziałaś, że możemy przeprowadzić do niego wywiad. To wciąż aktualne? Moglibyśmy się spotkać?

Dzięki, Audrey.

Nie spodziewam się odpowiedzi, a w najlepszym razie jestem przygotowana na długie oczekiwanie, ale już po chwili rozlega się brzęczyk i dostaję wiadomość:

Pewnie. Kiedy?

Nie zastanawiałam się nad tym. Kiedy? Jest sobota wieczór, czyli jutro mamy wolny cały dzień.

Jutro? Chcesz do nas wpaść około 11 przed południem?

Przyciskam klawisz WYŚLIJ i tym razem czekam nieco dłużej na odpowiedź.

Nie, spotkajmy się w Starbucksie.

Panika przeszywa mnie i oślepia niczym błyskawica. W Starbucksie? Oszalał? Nagle nadchodzi kolejna wiadomość.

I tak miałaś tam iść, prawda? Czy to przypadkiem nie była część Twojego projektu?

Ale... ale... ale...

W Starbucksie?

Jutro?

Drżą mi palce. Czuję, że moją skórę pali żywy ogień. Robię wdech, licząc do czterech, i wydech, licząc do siedmiu. Próbuję sobie wyobrazić doktor Sarah. Co by mi doradziła? Co by powiedziała?

Ale już wiem, co usłyszałabym od niej. Już kiedyś mi to powiedziała. Teraz znowu słyszę w głowie jej głos:

*Czas na większe kroki.*

*Musisz zacząć więcej od siebie wymagać, Audrey.*

*Nie będziesz wiedziała, dopóki nie spróbujesz.*

*Wierzę, że dasz sobie radę.*

Patrzę na wyświetlacz telefonu tak długo, aż cyfry zaczynają mi się rozmazywać, a potem piszę odpowiedź i wysyłam ją, zanim się rozmyślę.

Dobrze. Do zobaczenia w Starbucksie.

Teraz już wiem, jak to jest być starym człowiekiem.

Okej, nie mam pomarszczonej skóry ani siwych włosów. Ale wiem, co czują ludzie, kiedy idą ulicą wolnym, niepewnym krokiem, ustępują z drogi innym przechodniom, kulą się ze strachu, kiedy zatrąbi klakson, i czują, że wszystko odbywa się zdecydowanie za szybko.

Mama i tata pojechali z Feliksem na cały dzień na jakiś spektakl plenerowy i w ostatniej chwili wzięli też Franka, żeby „poszerzyć jego horyzonty”. Nie mają zatem pojęcia, co zamierzam zrobić. Chciałam uniknąć wysiłku, którego wymagałoby powiedzenie im o moim planie, mamy robiącej z tego wielkie halo i całego zamieszania, które się z tym wiązało. Czekałam więc, aż wyjdą, wzięłam klucz, kamerę i po prostu wyszłam z domu.

Nie robiłam tego od...

Nie pamiętam. Od bardzo dawna.

Mieszkamy mniej więcej dwadzieścia minut od Starbucksa – o ile idziesz zwawym krokiem. Ja nie idę zwawym krokiem. Ale też się nie zatrzymuję. Prę naprzód. Wbrew mojemu „gadziemu mózgowi”, który z przerażenia chciałby się zwinąć w kłębek. Jakoś udaje mi się stawiać stopy jedna przed drugą. Lewa, prawa. Lewa, prawa.

Moje czarne okulary są na swoim miejscu, trzymam dłonie wciśnięte głęboko w kieszenie bluzy, a dla dodatkowej ochrony nałożyłam kaptur na głowę. Ani razu nie oderwałam wzroku od chodnika, ale to nic. Większość przechodniów i tak jest pogrążona w swoim świecie.

Kiedy docieram do centrum miasta, tłum staje się gęstszy, a witryny sklepowe są jaśniejsze i więcej się w nich dzieje. Z każdym krokiem ogarnia mnie coraz silniejsze pragnienie, żeby uciec, ale się nie poddaję. Prę dalej. Wmawiam sobie, że to trochę jak wspinaczka górską. Twoje ciało się wzbrania, ale zwalczasz jego opór.

I nagle okazuje się, że w końcu stoję przed Starbucksem. Podchodząc do znajomej fasady, czuję się wykończona, ale jednocześnie chce mi się śmiać. Jestem tu! Jestem!

Otwieram drzwi i widzę Linusa – siedzi przy stoliku blisko wejścia. Ma na sobie dzinsy i szary T-shirt. Mimowolnie myślę, że niezłe z niego

ciacho. Chociaż to oczywiście nie randka.

No oczywiście, że nie randka. Ale jednak...

Niedopowiedziane zdanie. Proszę bardzo. Wiesz, co mam na myśli.

Linus rozpromienia się na mój widok i zrywa od stolika.

– Udało ci się!

– Tak!

– Nie sądziłem, że to zrobisz.

– Ja też – przyznaję.

– Ale zrobiłaś! Wyleczyłaś się!

Jego entuzjazm jest tak zaraźliwy, że uśmiecham się jak zwariowana i razem wykonujemy coś w rodzaju minitańca, wymachując rękami.

– Zamówimy kawę?

– Jasne! – potakuję z odkrytą od nowa swobodną pewnością siebie. – Doskonały pomysł!

Kiedy stoimy w kolejce, czuję się jak na haju. Muzyka gra za głośno, a prowadzone dokoła rozmowy atakują moje bębni słuchowe z taką siłą, że aż mrużę z bólu oczy, ale nie bronię się, tylko daję się ponieść tym wrażeniom. Jak na koncercie rockowym, kiedy ściana dźwięku przejmuje kontrolę nad twoimi nerwami i po prostu musisz się jej poddać. (Jasna sprawa, zgadzam się z opinią większości osób, które nigdy nie porównałyby gwaru przytłumionych rozmów w Starbucksie z hałasem na koncercie rockowym. Powiem im tylko jedno: spróbujcie przez chwilę żyć w moim umyśle).

Czuję, że serce pompuje mi krew jak maszyna parowa, ale trudno powiedzieć, czy to z powodu dźwięków, ludzi, czy też dlatego, że jestem w towarzystwie przystojnego chłopaka. Składam zamówienie (na karmelową *frappuccino*), a opryskliwa dziewczyna za ladą pyta:

– Imię?

Jeśli miałabym przytoczyć jedną rzecz, której wolałabym dzisiaj uniknąć, byłoby nią wywoływanie na całą kawiarnię mojego imienia.

– Nie znoszę tego zwyczaju – mówię półgłosem do Linusa.

– Ja też. – Kiwa głową. – Podaj jej zmyślane imię. Ja zawsze tak robię.

– Imię? – powtarza niecierpliwie barmanka.

– Och. Ee, Rabarbara – mówię.



– Rabarbara?

Łatwo jest zachować twarz pokerzysty, kiedy nosisz okulary przeciwsłoneczne i kaptur, a do tego patrzysz w nieokreślony punkt w przestrzeni.

– Tak mam na imię. Rabarbara.

– Masz na imię Rabarbara???

– Oczywiście – wtrąca Linus. – Hej, Raba, masz ochotę na coś do jedzenia? Chcesz muffinkę, Raba?

– Nie, dziękuję.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

– Dobrze, Raba. Nie ma sprawy.

– Niech ci będzie. Ra-barbara. – Dziewczyna pisze to imię w notesie.

– A ty?

– Poproszę cappuccino – mówi uprzejmie Linus. – Dziękuję.

– Jak masz na imię?

– Lepiej je przeliteruję. Z-W-P-A-E-N...

– Co?

Barmanka gapi się na niego, niepewnie trzymając nad kartką długopis.

– Jeszcze nie skończyłem. F-F-kreska-T-J-U-S. To nietypowe imię – dodaje ze śmiertelną powagą Linus. – Holenderskie.

Wstrząsają mną spazmy, próbuję nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

Barmanka ze Starbucksa patrzy na nas morderczym wzrokiem.

– Będiesz miał na imię John – mówi i bazgrze na jego kubku.

Proponuję Linusowi, że ja zapłacę, bo to mój film, jestem jego producentką. Zgadza się pod warunkiem, że następnym razem on stawia. Potem bierzemy nasze kubki – podpisane: Rabarbara i John – i wracamy do stolika. Serce wali mi jeszcze mocniej niż przedtem, ale jestem w euforii. Patrzcie, patrzcie! Siedzę w Starbucksie. Znowu jestem normalna.

No wiesz, okej, nadal mam na nosie okulary przeciwsłoneczne. I nie mogę nikomu spojrzeć w oczy. A moje dłonie wyprawiają niestworzone harce pod stołem. Ale jestem tu. I o to chodzi.

– Słyszałam, że wyrzuciliście Franka z drużyny – zagajam, kiedy znowu siedzimy przy stoliku, i od razu żałuję tych słów, bo boję się, że zabrzmiały agresywnie.

Ale Linus się nie obraża. Wygląda raczej na zmartwionego.

– Frank nie ma mi tego za złe – tłumaczy od razu, a ja domyślam się, że na pewno dokładnie omówili tę decyzję. – To znaczy, nie chciałby, żebyśmy wszyscy zrezygnowali z gry tylko dlatego, że sam musiał przestać. Powiedział, że na moim miejscu zrobiłby to samo.

– Kto jest czwartym członkiem drużyny?

– Taki jeden Matt – mówi bez entuzjazmu Linus. – Jest w porządku.

– Wczoraj tata zmusił Franka, żeby poszedł z nim do garażu i zagrał na basie podczas wspólnego jam session – relacjonuję. – Jego zdaniem to lepsze hobby.

– Frank gra na basie?

– Trudno to nazwać graniem. – Parskam śmiechem. – Brzdąka trzy akordy, a w tym czasie tata wycina dziesięciominutową solówkę.

– Myślisz, że to żenada? W takim razie co powiesz na to, że mój tata gra na flecie?

– Na czym? – Śmiech zamiera mi w gardle. – Poważnie?

– Nie wolno ci tego nikomu powtarzać. – Przez chwilę Linus zdaje się bezbronny i słaby.

Zalewa mnie fala... czego? Jakiegoś silnego, ciepłego uczucia. Takiego, które ogarnia cię, kiedy obejmujesz kogoś ramieniem i przytulasz, żeby mu dodać otuchy.

– Nikomu nie powiem. Obiecuję. – Piję łyk *frappuccino*. – To taki flet, na jakim grają dzieci?

– Nie, dla dorosłych. Drewniany. Duży.

Pokazuje rękami jego wielkość.

– Nieźle. Nie wiedziałam, że takie istnieją.

Pijemy kawę i uśmiechamy się do siebie. W głowie mam gonitwę myśli, zwariowanych myśli w rodzaju: „Udało mi się! Jestem w Starbucksie! Dajesz, Audrey!”. Ale pojawiają się też inne myśli, głupie i bezładne: „Wszyscy się na mnie gapią” albo „Nienawidzę się”. A potem ni stąd, ni zowąd: „Wolałabym być teraz w domu”, co kompletnie nie ma sensu, bo wcale nie chciałabym być w domu. Przecież wyszłam do miasta z Linusem! I to do Starbucks! I to do Starbucks!

– O co chciałabyś mnie zapytać do twojego filmu? – przerywa

milczenie Linus.

– Och, jeszcze nie wiem. O różne rzeczy.

– To część twojej terapii?

– Tak. W pewnym sensie.

– Ale wciąż potrzebujesz terapii? Moim zdaniem wyglądasz normalnie.

– Bo jestem normalna. Po prostu mam zadanie do wykonania...

– Gdybyś jeszcze zdjęła okulary, to już zupełnie wróciłabyś do normalności. Tak, powinnaś to zrobić – namawia rozentuzjzmowany Linus. – Wiesz, że powinnaś.

– Zrobię to.

– Nie warto zwlekać. Teraz jest dobre miejsce i czas.

– Tak. Może.

– Mam ci pomóc?

Wyciąga ręce, a ja się cofam przed nim.

Moja odwaga szybko topnieje. Jego głos zaczyna brzmieć natarczywie, jakby Linus prowadził przesłuchanie.

Nie wiem, co się stało w mojej głowie. Nastąpił nagły zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Popijam łyk *frappuccino* i próbuję się rozluźnić, ale najbardziej na świecie chciałabym chwycić jakąś chusteczkę i rozszarpać ją na drobne kawałeczki. Głosy dookoła stają się coraz głośniejsze, wywołują we mnie coraz silniejsze poczucie zagrożenia.

Przy barze ktoś się skarży, że dostał zimną kawę, a ja podświadomie dostrajam się do jedynej strony sporu, której argumenty do mnie docierają.

– Już trzy razy składałem reklamację... Nie chcę waszej darmowej kawy... Nie spełnia oczekiwań! Po prostu nie spełnia moich oczekiwań!

Przepełniony złością głos wbija się niczym dłuto w mój mózg. Chowam się przed nim, zamykam oczy i chcę uciec. Zaczynam panikować. Moja pierś unosi się i opada. Nie mogę tu zostać. Nie potrafię. Doktor Sarah się pomyliła. Mój stan nigdy się nie zmieni. Widzisz? Nawet nie jestem w stanie wysiedzieć kilku minut w Starbucksie. Jestem totalną porażką.

Coraz mroczniejsze myśli krążą po mojej głowie i ściągają mnie w otchłań. Lepiej, żebym po prostu wróciła do kryjówki. Nie powinnam

w ogóle istnieć. Jaki ze mnie pożytek?

– Audrey. – Linus macha dłonią przed moją twarzą, co jeszcze bardziej wytrąca mnie z równowagi. – Audrey.

– Przepraszam.

Z trudem przełykam ślinę i odsuwam krzesło. Muszę stąd wiać.

– Co się stało?

Linus patrzy na mnie skonsternowany.

– Nie mogę zostać.

– Dlaczego?

– Jest... za głośno. Zbyt intensywnie. – Zasłaniam dłońmi uszy. – Przepraszam. Tak mi przykro...

Już jestem przy drzwiach. Otwieram je i w pewnym stopniu odczuwam ulgę, kiedy wychodzę na zewnątrz. Ale jeszcze nie czuję się bezpieczna. Jeszcze nie jestem w domu.

– Przecież już się zdawało, że wszystko w porządku. – Linus wyszedł ze mną na dwór. Jego głos brzmi niemal gniewnie. – Dopiero co dobrze się czułaś! Rozmawialiśmy, śmialiśmy się...

– Wiem.

– A więc co się stało?

– Nic – mówię zrozpaczona. – Nie wiem. To bez sensu.

– Dlaczego się po prostu z tego nie otrząsniesz? No wiesz, użyj siły woli.

– Próbowałam! – Czuję, że ze złości zbiera mi się na płacz. – Myślisz, że nie próbowałam się od tego uwolnić?

W głowie mam kakofonię sygnałów alarmowych. Muszę już iść. Teraz. Nigdy, przenigdy nie jeżdżę taksówkami, ale tym razem nie zastanawiam się ani chwili. Wystawiam rękę i czarna taksówka podjeżdża do krawężnika. Wsiadając, w oczach znowu mam łzy – nikt ich jednak nie widzi.

– Przepraszam – mówię ze ściśniętym gardłem do Linusa. – Naprawdę mi przykro. Zapomnijmy o filmie i o wszystkim. Pewnie już się nie zobaczymy. Żegnaj. Przepraszam. Przepraszam.

W domu kładę się na łóżku i leżę zupełnie bez ruchu, w kompletnej ciszy, z zaciągniętymi zasłonami i z zatyczkami w uszach. Upływają w ten sposób mniej więcej trzy godziny. Nie drga mi ani jeden mięsień. Czasami wyobrażam sobie, że jestem telefonem komórkowym i tylko w taki sposób mogę naładować baterię. Doktor Sarah mówi, że mój organizm znajduje się na huśtawce adrenalinowej, a raczej na rollercoasterze, i dlatego z totalnego nakręcenia przechodzę w stan całkowitego wypompowania – bez żadnego stanu pośredniego.

W końcu wciąż niepewnym krokiem schodzę, żeby coś zjeść. Piszę SMS-a do doktor Sarah – że poszłam do Starbucksa, ale zaliczyłam na całej linii katastrofę. Mroczne, chore myśli już mnie nie dręczą, ale czuję się słaba i roztrzęsiona.

Snuję się do kuchni i z niesmakiem patrzę po drodze na swoje odbicie w lustrze. Jestem blada i jakaś... nie wiem. Skurczona. To jest jak grypa. Atakuje cię i całe ciało dostaje w kość. Nie mogę się zdecydować, czy zrobić sobie kanapkę z nutellą czy z serem, gdy nagle słyszę dobiegający z korytarza trzask, a potem dźwięk jakiegoś przedmiotu upadającego na podłogę, i aż podskakuję ze strachu.

Przez chwilę wsłuchuję się w ciszę. Moje nerwy są napięte jak u zwierzęcia schwytanego w sidła, ale powtarzam sobie zdecydowanym tonem: „Jestem bezpieczna, jestem bezpieczna, jestem bezpieczna”. W końcu serce powoli wraca do normalnego rytmu i mogę iść sprawdzić, co to było.

Na wycieraczkę leży wyrwana z zeszytu w linie kartka podpisana: „Audrey”. Poznaję charakter pisma Linusa. Rozkładam ją i czytam:

Wszystko w porządku? Wysłałem Ci SMS-a, ale nie odpisałaś. Frank też nie odpisuje. Nie chciałem dzwonić do drzwi, żeby Cię nie przestraszyć. Dobrze się czujesz?

Po wysłaniu wiadomości do doktor Sarah nawet nie spojrzałam na telefon. A Frank pojechał na przedstawienie gdzieś za miasto. Pewno nie

ma zasięgu. Wyobrażam sobie, że z bladym uśmiechem błąka się po jakimś polu. Ależ będzie wściekły, kiedy wróci.

Nagle dostrzegam poruszający się za ornamentową szybą cień i zamiera mi serce. O Boże! Czy to Linus? Czeka? Na co?

Sięgam po długopis i chwilę się zastanawiam.

Wszystko w porządku, dziękuję. Przepraszam, że spanikowałam.

Wyrzucam kartkę przez otwór na listy. To dosyć trudne, bo zasłania go klapka na sprężynie, ale udaje się. Po pewnym czasie kartka znowu pojawia się w szczelinie.

Bardzo źle wyglądałaś. Martwiłem się o Ciebie.

Gapię się na to, co napisał, i ogarnia mnie czarna rozpacz. „Bardzo źle”. Wyglądałam „bardzo źle”. Wszystko potrafię spieprzyć.

Przepraszam.

Nic innego nie przychodzi mi na myśl, więc piszę jeszcze raz i jeszcze raz.

Przepraszam. Przepraszam.

Wyrzucam liścik przez szczelinę. Niemal od razu wraca z odpowiedzią.

Nie, nie przepraszaj. To nie Twoja wina. O czym myślałaś wtedy, w Starbucksie?

Tego się nie spodziewałam. Przez jakiś czas stoję jak wryta, przyczajona na wycieraczkę, a myśli wirują mi w głowie jak confetti. Czy powinnam mu powiedzieć? Co mam powiedzieć?

Czy chcę wyjawić, o czym myślałam?

Znowu mam w uszach głos terapeutki ze szpitala Świętego Jana – tej, która prowadziła zajęcia z asertywności. „Nie musimy się odsłaniać przed innymi. Powtarzała to co tydzień. Wszyscy mamy prawo do prywatności. Nie musicie się nikomu zwierzać, choćby usilnie was namawiali. Zdjęcia, fantazje, plany na weekend... To wasze prywatne sprawy”. Z niemal surową miną patrzyła na wszystkich siedzących na sali. „Nikommu nie musicie się zwierzać”.

Nie chcę się zwierzać Linusowi z tego, o czym myślałam. Mogłabym po prostu odejść. Mogłabym też napisać: „O niczym!” albo „Nie chcesz wiedzieć!!! ;)”. Tak jakby to była jedna wielka podpucha.

A z drugiej strony... Jednak chcę mu powiedzieć. Nie wiem dlaczego, ale chcę. Ufam mu. Poza tym stoi za drzwiami. Jestem bezpieczna. Jak w konfesjonale.

Nie czekając, aż zmienię zdanie, szybko piszę:

Myślałam: „Co za porażka! Po co w ogóle istnieję? W jakim celu?”.

Wypycham karteczkę na zewnątrz, kucam i dziwnie usatysfakcjonowana wypuszczam powietrze z płuc. No i już. Koniec udawania. Teraz wie, jakie popaprane myśli siedzą w mojej głowie. Wstrzymuję oddech i próbuję sobie wyobrazić jego reakcję, ale za drzwiami trwa cisza. Na szybie nie porusza się żaden cień. Nie wyczuwam obecności Linusa. Na pewno sobie poszedł. No pewnie, że poszedł. Kto by został?

O Boże, co za świruska! Dlaczego opisałam swoje najbardziej chore myśli i podałam tę kartkę przez otwór na listy jednemu chłopakowi na świecie, którego lubię? Co mnie podkusiło?

Zupełnie zniechęcona wstaję i wracam do kuchni. Nagle słyszę trzask klapki i w mgnieniu oka wracam pod drzwi. Na wycieraczkę leży

odpowieź. Ręce mi drżą, kiedy po nią sięgam, i w pierwszej chwili nie mogę się skoncentrować. To nowa kartka, cała zapisana. Zaczyna się słowami:

Po co istniejesz? Zaczniemy od tego, że...

Pod spodem napisał długą listę. Bardzo długą listę, która zajmuje całą stronę. Zostałam nieoczekiwanie tak podbudowana, że nawet nie jestem w stanie wszystkiego przeczytać, ale wyławiam wzrokiem kilka zwrotów: „piękny uśmiech”, „doskonały gust muzyczny (podejrzałem listę piosenek w Twoim iPodzie)” i „świetną ksywkę w Starbucksie”.

Parskam śmiechem, który niemal zmienia się w płacz, by jednak przerodzić się w uśmiech, a w końcu i tak ocieram oczy. Totalny chaos emocjonalny.

Trzask klapki sygnalizuje kolejną wiadomość, która wpada przez szczelinę, a ja zaskoczona unoszę głowę. Co jeszcze ma mi do powiedzenia? No bo chyba nie przysłał mi jeszcze jednej długiej listy? Na kartce jednak widnieje tylko pytanie:

Otworzysz drzwi?

Zalewa mnie fala niepokoju. Wolałabym, żeby mnie nie widział, kiedy jestem taka pokurczona, blada i rozmemłana. Lepiej nie. Wiem, że doktor Sarah przekonałaby mnie, że wcale nie jestem pokurczona ani rozmemłana – że tylko to sobie wmawiam – ale nie ma jej przy mnie, no nie?

Nie jestem na to gotowa. Innym razem. Przepraszam, przepraszam...

Wstrzymuję oddech po wysłaniu tej wiadomości. Domyślam się, że sprawi Linusowi przykrość. Pójdzie do domu i już. Wszystko się skończy, zanim się w ogóle zaczęło...



Tymczasem znowu słyszę trzask uchylonej klapki i nadchodzi odpowiedź:

Rozumiem. W takim razie idę.

Nastrój znowu mi siada. A więc jednak odchodzi. Naprawdę się obraził. Nienawidzi mnie. Trzeba było otworzyć drzwi, powinnam być silniejsza. Dlaczego jestem taka głupia...? Desperacko próbuję wymyślić odpowiedź, gdy na wycieraczkę spada kolejna kartka. Jest złożona na pół, a na wierzchu widzę słowa:

Musiałem Ci to dać, zanim pójdę.

Przez chwilę nie mam odwagi otworzyć liściku. Ale w końcu rozkładam kartkę i gapię się na to, co napisał. Jest tak niewiarygodne, że aż piecze mnie głowa. Gdy to czytam, trudno mi złapać oddech. Napisał to! Do mnie!

To całus.

W szpitalu Świętego Jana wbijają ci do głowy, żebyś nie rozpamiętywał zdarzeń, nie wchodził dwa razy do tej samej rzeki. Kaza ci żyć terażniejszością, a nie przeszłością. Ale jak to zrobić, jeżeli chłopak, którego lubisz, wirtualnie cię pocałował?

Przed kolejną sesją z doktor Sarah już z milion razy odtworzyłam w myślach tę scenę i zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem Linus nie zabawił się moim kosztem – może zrobił to, żeby mieć o czym opowiadać kumplom i się z nimi pośmiać, a może po prostu chciał być uprzejmy? Czy zrobiło mu się mnie żal? Chciał w ten sposób okazać mi współczucie? (Muszę jednak przyznać, że nie znam się na pocałunkach. Całowałam się dosłownie raz w życiu, na wakacjach w ubiegłym roku, i było to wstrętne).

Doktor Sarah uprzejmie słucha przez pół godziny mojego paplania o Linusie, a potem – tak, jak się spodziewałam – rozmawiamy o czytaniu w myślach i czarnowidztwie. Czasami myślę, że sama mogłabym zostać terapeutką.

– Wiem, co pani powie – mówię w końcu. – Że nie potrafię czytać w myślach, więc nie powinnam tego nawet próbować. Ale jak mam o nim nie myśleć? Pocałował mnie. To znaczy... w pewnym sensie. Na kartce. – Wzruszam ramionami, trochę zażenowana. – Pewnie pani zdaniem to się nie liczy.

– Nieprawda – odpowiada poważnie doktor Sarah. – Fakt, że to „papierowy” pocałunek, wcale nie umniejsza jego znaczenia. Pocałunek to pocałunek.

– Teraz już od jakiegoś czasu się nie odzywa, a ja nie wiem, co sobie myśli, i dlatego jestem cała w nerwach... – Doktor Sarah nie odpowiada od razu, więc wzdycham. – Wiem, wiem. To przez chorobę, ale jest całkowicie uleczalne.

Następuje kolejna długa pauza. Usta doktor Sarah drżą w kącikach.

– Wiesz co, Audrey? – W końcu przerywa milczenie. – Przykro mi to mówić, ale niepokój i wątpliwości dotyczące intencji chłopców, z którymi się całowałaś, mogą nie być całkowicie uleczalne. Nie mogę obiecać, że te objawy zupełnie znikną.

Trzy dni po wyjściu do Starbucksa siedzę sama w kanciapie i spokojnie oglądam telewizję. Nagle Frank wchodzi tym swoim dudniącym krokiem i mówi:

– Linus tu jest.

– Och, aha. – Podrywam się z kanapy i siadam wyprostowana. – Naprawdę? Przyszedł tu? Ale... – Przełykam ślinę. – Nadal nie wolno ci grać w *Ziemię*, więc... To znaczy, po co on...?

– Chce się spotkać z tobą. – Frank nie wygląda na szczególnie zachwyconego tym faktem. – Może? Nie będziesz wariować?

– Nie. Tak. To znaczy... w porządku.

– To dobrze, bo jest tu ze mną. Liii-nus!

Inni bracia na pewno daliby siostrze dosyć czasu, żeby się uczesała. Albo przynajmniej zmieniła wystrzępiony, stary T-shirt, w którym chodziła przez cały dzień. Mój mózg wysyła w kierunku Franka mordercze laserowe promienie, a tymczasem Linus wchodzi do kanciapy i z rezerwą mówi:

– Cześć. Kurczę, ale tu ciemno.

Wszyscy członkowie rodziny już się przyzwyczaili do mojej ciemnej nory, więc zapominam, jak ten pokój musi wyglądać, kiedy wchodzi tu ktoś obcy. Ciężkie kotary są cały czas zaciągnięte, nie włączam światła, a ciemność rozjaśnia jedynie migoczący ekran telewizora. Tylko w takich warunkach czuję się bezpieczna. Na tyle bezpieczna, że mogę zdjąć okulary.

– To prawda. Przepraszam.

– Nie, nic nie szkodzi. Ty naprawdę jesteś rabarbarem.

– Tak się nazywam.

Widzę w półmroku, że się uśmiecha. W poświacie z telewizora błyszczą mu zęby, a jego oczy wyglądają jak dwie błyszczące szparki.

Siedzę tam, gdzie zwykle, na podłodze, a on po chwili podchodzi i siada koło mnie. To znaczy, nie tak zupełnie obok, tylko jakieś trzydzieści centymetrów ode mnie. Moje ciało chyba potrafi odbierać sygnały niczym nietoperz, bo bez patrzenia jestem w stanie dokładnie określić pozycję

Linusa w stosunku do mnie. W głowie wciąż kotłują mi się myśli: „Pocałował mnie. Na kartce. W pewnym sensie. Pocałował”.

– Co oglądasz? – Patrzy na ekran, na którym jakaś kobieta w eleganckiej sukni próbuje powiedzieć coś sensownego o szamponie z wyciągiem z glonów. – Czy to QVC?

– Tak. Rozmowy na tym kanale mnie uspokajają.

QVC jest najbardziej kojącym kanałem telewizyjnym na świecie. W studiu siedzą trzy osoby i wszystkie się zgadzają, że tonik nawilżający, o którym dyskutują, jest fenomenalny. Nikt się nie sprzecza ani nie podnosi głosu. Nikt nie odkrywa nagle, że jest w ciąży, ani nie zostaje zamordowany. Na tym kanale nigdy nie słyhać śmiechu widzów – a słowo daję, że ten dźwięk działa na mnie jak wiertło wwiercające mi się w głowę.

– Nie przejmuj się, wiem, że jestem wariatką – dodaję.

– Myślisz, że jesteś wariatką? – dziwi się Linus. – Powinnaś poznać moją babcię. To dopiero wariatka. Wierzy, że wciąż ma dwadzieścia pięć lat. Kiedy patrzy w lustro, myśli, że ktoś ją wkręca. Nie odróżnia fantazji od rzeczywistości. Nosi mini i chce chodzić na tańce... Nigdy w życiu nie widziałaś starszej pani z tak grubą warstwą makijażu.

– Musi być odlotowa!

– No wiesz... – Wzrusza ramionami. – Czasami to nawet zabawne, a czasami smutne. Jednak chodzi o to, że przecież nie ma już dwudziestu pięciu lat. Tylko jej chory umysł w to wierzy, no nie?

Zdaje się, że oczekuje odpowiedzi, więc mówię:

– No tak.

– Właśnie to chciałem ci przedtem powiedzieć. Po Starbucksie. Rozumiesz, co mam na myśli? – Jego głos brzmi dobitnie. – Babcia nie jest dwudziestopięcioletnią dziewczyną, a ty nie jesteś... taka, jak wmawia ci ten zły chochlik w głowie. Nie jesteś.

Nagle dociera do mnie, co Linus robi – do czego zmierza.

– No tak – powtarzam. – Wiem.

Naprawdę wiem. Chociaż muszę przyznać, że łatwiej to zaakceptować, kiedy przez twoją głowę nie płynie rwący strumień złych myśli.

– Dzięki – mówię. – Dziękuję za... no wiesz. Wyrozumiałość.

I zrozumienie.

– Naprawdę wcale tego nie rozumiem. Ale...

– Rozumiesz to lepiej niż większość ludzi. Słowo.

– Hm... – Brzmi okropnie. – No dobrze. A więc już lepiej się czujesz?

– O wiele lepiej. – Uśmiecham się do niego. – O wiele, wiele lepiej.

Kobiety w QVC zajęły się krajalnicą do warzyw i przez chwilę patrzymy, jak urządzenie rozprawia się z marchewkami i kapustą. Potem Linus pyta:

– Jak tam postępy w kontaktach butowych?

Słowo „kontakt” sprawia, że tężeję w środku. Kontakt. Nie na papierze, tylko rzeczywisty.

Nie sądz, że o tym nie myślałam.

– Nie próbowałam ich nawiązywać.

Staram się, żeby mój głos brzmiał swobodnie.

– A chciałybyś?

– No dobrze.

Przesuwam stopę, aż dotyka jego stopy. But przy bucie, tak jak przedtem. Jestem przygotowana na najgorsze, na atak strachu albo inną totalnie żenującą reakcję. Dzieje się jednak coś dziwnego... bo nic się nie dzieje. Moje ciało się nie wzbrania. Oddech jest miarowy i spokojny. Mój „gadzi mózg” osiągnął zen, pełen relaks. O co chodzi?

– O ciemność – wymyka mi się głośno. – Ciemność.

Czuję taką ulgę, że niemal kręci mi się w głowie.

– Co z nią?

– Potrafię się wyluzować, kiedy jest ciemno. Wtedy świat jest jakby inny. – Rozkładałam w mroku ręce i czuję dotyk ciemności na skórze, jakbym leżała na miękkiej, puszystej poduszce. – Mam wrażenie, że mogłabym przenosić góry, gdyby na świecie cały czas było ciemno. No wiesz. Byłabym w swoim żywiole.

– W takim razie powinnaś zostać grotolazem – sugeruje Linus. – Albo speleologiem.

– Albo nietoperzem.

– Wampirem.

– O, do licha, tak, koniecznie wampirem.

– Gdyby tylko nie ten kanibalizm.

– No właśnie – potakuję.

– Czy to im się nie nudzi? Codziennie chłeptać ludzką krew? Nie mają czasami ochoty na frytki?

– Nie wiem. – Czuję, że zbiera mi się na śmiech. – Następnym razem, kiedy spotkam wampira, zapytam go o to.

Oboje patrzymy, jak krajalnica do warzyw ustępuje miejsca parowarowi, którego w ciągu godziny sprzedano już podobno sto czterdzieści pięć sztuk.

– A więc, w związku z tym, że jest ciemno, i w ogóle... – zaczyna Linus tak po prostu. – Co powiesz na... kontakt kciukowy? Tylko, żeby sprawdzić, czy dasz radę. Taki eksperyment.

– Jasne. – Kiwam głową, chociaż mój żołądek skurczył się ze strachu. – Nooo... Okej. Czemu nie?

Czuję, że wyciąga do mnie rękę. Nasze kciuki spotykają się w ciemności. Jego skóra jest sucha i ciepła, mniej więcej taka, jakiej się spodziewałam. Linus próbuje objąć kciukiem mój kciuk, a kiedy przekornie się wymykam, śmieje się do mnie.

– Czyli umiesz nawiązać kontakt kciukowy.

– Kontakt kciukowy da się zaakceptować – potakuję.

Linus nie mówi nic więcej, ale czuję, że wodzi kciukiem po mojej dłoni. Nawiązujemy zatem kontakt kciukowo-dłoniowy. A potem dłoniowo-dłoniowy. Jednak kiedy ujmuje moją dłoń i próbuje ją zatrzymać, wyrywam się.

Linus przysuwa się i jest chyba bardziej zdeterminowany. Pomimo odległości czuję promieniujące od niego ciepło na mojej ręce, na nodze. Znowu jestem spięta, ale inaczej niż w Starbucksie. Żadne szalone myśli nie kotłują mi się w głowie. Szczerze mówiąc, mam w głowie tylko dwa zdania: „Czy to się dzieje naprawdę?” i „Tak, to prawda”.

– Co powiesz na kontakt dżinsowy? – pyta półgłosem Linus, dotykając mnie nogą.

– Tak, kontakt dżinsowy jest w porządku – udaje mi się wykrztusić.

Osiągnęliśmy etap, na którym Linus obejmuje mnie ramieniem. Potem następuje kontakt włosowo-włosowy. Policzkowo-policzkowy. Skóra na

jego policzku jest lekko szorstka, kiedy delikatnie dotyka mojej twarzy.

Kontakt usta-usta.

Nie mówi o tym ani nie pyta, czy taki rodzaj kontaktu jest dozwolony. Ja też milczę. Ale toleruję ten rodzaj bliskości. A nawet więcej niż toleruję.

Całujemy się przez całą wieczność, a potem Linus zmienia pozycję i sadza mnie sobie na kolanach, a ja wtulam się w niego. Jest ciepły i mocno zbudowany. Trzyma mnie w swoich silnych ramionach. Jego włosy przyjemnie pachną. W tych warunkach trudno się skoncentrować na zaletach robota kuchennego z czterema wyjątkowymi przystawkami, który dzisiaj jest w specjalnej ofercie tylko dla ciebie za jedyne 69,99 funtów.

□ □ □

No to teraz coś żenującego – zasnęłam. Nie wiem, czy byłam na zejściu po skoku adrenaliny, czy to wpływ clonazepamu, który zażyłam w południe – ale stało się. Kiedy się zbudziłam, leżałam plackiem na podłodze, mama wołała mnie z korytarza, a pańcie w QVC zachwycaly się magiczną frytkownicą, która obniża o połowę liczbę kalorii. Koło mnie leżała wiadomość:

Do zobaczenia wkrótce. XXX

Awansowałam na następny poziom. Tylko tak można to opisać.

Gdybym była bohaterką *Ziemi zdobywców*, od teraz miałabym lepsze atrybuty, wypasioną broń albo coś w tym rodzaju. Czuję się silniejsza. Czuję się wyższa. Szybciej wracam do zdrowia. Minął tydzień, odkąd z Linusem oglądaliśmy tamten program w QVC, i nie ma co ukrywać, że w tym czasie zdarzył mi się jeden atak, ale nie był aż tak zły. Nie pogrążyłam się w totalnej ciemności.

Linus przychodzi co jakiś czas i zawsze oglądamy QVC, rozmawiamy i tak dalej, i jest nam z tym... No, jest dobrze. Teraz jest piątek po południu i chociaż nie chodzę do szkoły, to i tak udziela mi się atmosfera oczekiwania na weekend. Jest ciepło, słyszę głosy dzieci bawiących się w ogródkach. Przez okno w kuchni widzę Feliksa, który z konewką w ręczce biega na golasa po trawniku.

Dochodzi mnie brzęcząca melodyjka samochodu z lodami i już chcę krzyknąć do mamy, że powinnyśmy kupić Feliksowi loda, lecz widzę, że właśnie wchodzi do kuchni. A właściwie wtacza się. Jej twarz jest tak blada, że zdaje się sinoróżowa. Przytrzymuje się kuchennej wyspy, jakby zaraz miała się przewrócić.

– Mamo! – Patrzę na nią zaniepokojona. – Dobrze się czujesz? – Od razu zdaję sobie sprawę, jak głupio brzmi to pytanie. Przecież widać, że nie czuje się dobrze. – Chyba powinnaś się położyć.

– Wszystko w porządku. – Uśmiecha się słabo.

– Wcale nie! Przeziębilaś się. Musisz odpocząć i dużo pić. Masz gorączkę? – Próbuję sobie przypomnieć wszystko, o co mama nas pyta, kiedy chorujemy. – Chcesz lemsip?

– O, lemsip – mama powtarza głucho. Wygląda jak duch. – Tak, to by mi pomogło.

– Zajmę się Feliksem – mówię zdecydowanym tonem. – A ty się połóż. Przyniosę ci lemsip.

Kiedy włączam czajnik i szukam w kuchennych szafkach saszetki lemsipu, Frank wraca do domu. Poznaję to po głośnym huku dochodzącym z korytarza. To na pewno jego torba z podręcznikami albo ze zmianą ubrania na wuef, pałką do krykieta, czy co on tam nosi, upuszczona z dużej



wysokości na płytki podłogi. Wchodzi do kuchni, nućąc pod nosem jakąś piosenkę o nieokreślonej melodii, i rozwiązuje krawat.

– Super! – Unosi pięść do góry, śpiewając: – Weeeeekend.... Co na kolację?

– Mama jest chora – uprzedzam go. – Na grypę czy coś. Kazałam jej iść do łóżka. Powinieneś pójść do sklepu i kupić dla niej... – Zastanawiam się przez chwilę. – Winogrona.

– Dopiero co przyszedłem. – Frank niezbyt entuzjastycznie przyjmuje tę wiadomość. – Umieram z głodu.

– To zjedz kanapkę, a potem idź po winogrona.

– A co jej po winogronach?

– Nie wiem – mówię zniecierpliwiona. – Zawsze je jemy, kiedy jesteśmy chorzy.

Zalałam lemsip, znalazłam dwa herbatniki i wszystko razem położyłam na tacy.

– Kup też ribenę – dodaję. – I coś jeszcze. Nurofen. Napisz to sobie na kartce.

Odwracam się do Franka, żeby się upewnić, że słucha, o co go proszę, ale on niczego nie notuje. Stoi tylko i gapi się takim dziwnym wzrokiem – zupełnie jak nie on. Pochylił głowę na bok i wygląda jak zafascynowany, zdziwiony albo coś.

– No co? – mówię obronnym tonem. – Słuchaj, rozumiem, że jest piątek, ale mama się rozchorowała.

– Wiem – odpowiada Frank. – Ale nie chodzi o to, tylko... – Waha się. – Wiesz co, Aud? W pierwszych dniach po szpitalu nie zrobiłabyś tego wszystkiego. Zmieniłaś się.

Jestem tak zaskoczona, że nie wiem, co powiedzieć. Przede wszystkim nie sądziłam, że Frank w ogóle zwraca na mnie uwagę. A po drugie, czy to może być prawda? Próbuję sobie przypomnieć, ale przeszłość zdaje się mglista i niewyraźna. Doktor Sarah wytłumaczyła mi, że to normalne w depresji. Pamięć staje się dziurawa jak sito. Czasami to dobrze, a czasami źle.

– Naprawdę? – pytam w końcu.

– Po prostu zamknęłabyś się w pokoju. Wszystko wywoływało

u ciebie atak lęku, nawet dźwięk dzwonka u drzwi. A teraz? Tylko popatrz. To ty wydajesz polecenia. Masz wszystko pod kontrolą. – Wskazuje ruchem głowy na mnie z tacą w rękach. – To... no wiesz... dobrze. Fajnie.

– Dzięki.

Czuję się niezręcznie.

– Nie ma sprawy.

Wygląda na to, że Frank czuje się podobnie. Potem otwiera lodówkę, wyjmuje karton mleka o smaku czekoladowym i wkłada do uszu słuchawki iPhone'a. Domyślam się, że to koniec naszej rozmowy.

Ale idąc po schodach na piętro, odtwarzam w myślach jego słowa: „To ty wydajesz polecenia. Masz wszystko pod kontrolą”. W środku cała promienieję. Nie czułam, że mam coś pod kontrolą, odkąd... chyba nigdy.

Pukam do drzwi i wchodzę do sypialni rodziców. Mama leży z zamkniętymi oczami na łóżku. Zdaje się, że zasnęła. Musiała być wykończona.

Najciszej jak potrafię, stawiam tacę na szafce nocnej. Na gładkim drewnianym blacie stoi kilka zdjęć w ramkach – zatrzymuję się, żeby na nie popatrzeć. Mama i tata w dniu swojego ślubu... ja i Frank, kiedy byliśmy niemowlętami... mama z kolegami z pracy odbiera jakąś nagrodę. Ma na sobie różową marynarkę, mocno ściska figurkę z pleksi, promiennie się uśmiecha i jest pełna wigoru.

Mama pracuje jako niezależny doradca kreowania marki, co wiąże się z projektami w całym kraju. Czasami jest więc bardzo zajęta, a kiedy indziej całymi tygodniami ma wolne. Zawsze tak było. Kiedyś przyszła do szkoły, żeby opowiedzieć o swojej pracy, i pokazała nam nowy projekt logo jednego z supermarketów, który wymyśliła. Wszyscy uczniowie mojej klasy byli pod wrażeniem. Wiesz, jest fajna. Ma fajny zawód. Tyle że patrząc na to zdjęcie, zaczynam się zastanawiać, ile czasu upłynęło, odkąd ostatni raz widziałam ją przy pracy.

Miała jakiś projekt, kiedy zachorowałam. Jak przez mgłę pamiętam, że słyszałam, jak mówiła do taty: „Wycofuję się. Nie jadę do Manchesteru”. Wtedy czułam jedynie ulgę. Nie chciałam, żeby jechała do Manchesteru. Ani nigdzie indziej.

Ale teraz...

Jeszcze raz patrzę na zdjęcie – na szczęśliwą, promienną twarz mamy z fotografii, a potem na jej zmęczoną, prawdziwą twarz z zamkniętymi oczami, wspartą na poduszce. Nie przyszło mi do głowy, że mama kompletnie przestała pracować. Nagle zdaję sobie sprawę, że od kiedy jestem w domu, mama ani razu nie była w biurze.

Czuję się tak, jakbym powoli wychodziła z mgły i zaczynała dostrzegać rzeczy, których przedtem nie widziałam. Doktor Sarah miała rację – kiedy jesteś chory, obsesyjnie zajmujesz się tylko sobą. Nie widzisz nic dookoła. Ale teraz zauważam coraz więcej.

– Audrey?

Odwracam się i widzę, że mama unosi się na łokciach.

– Cześć! – witam ją. – Myślałam, że śpisz. Przyniosłam ci lemsip.

Mama uśmiecha się tak, jakbym sprawiła jej największą przyjemność w życiu.

– Kochanie – mówi – to bardzo miło z twojej strony.

Podaję jej tacę i obserwuję, jak wolno popija gorący napar. Ma nieobecny wzrok i odnoszę wrażenie, że znowu zaśnie, ale nagle uważnie na mnie patrzy.

– Audrey – mówi. – Ten Linus...

Od razu czuję, że instynktownie otaczam się barierą ochronną. Nie powiedziała: „Linus”, tylko „ten Linus”.

– Tak? – Staram się, żeby w moim głosie nie było słychać napięcia.

– Czy on... – Milknie w pół zdania. – Jesteście... Jest dla ciebie szczególnym rodzajem kolegi?

Czuję, że w środku nerwowo się wiję. Nie chcę rozmawiać z mamą o Linusie.

– Tak jakby. – Nie patrzę jej w oczy. – Zawsze powtarzasz, że powinnam nawiązywać znajomości. No to nawiązałam.

– Wspaniale. – Czuję, że to nie wszystko. – Ale, Audrey, musisz być ostrożna. Jesteś bardzo wrażliwa.

– Doktor Sarah twierdzi, że powinnam więcej od siebie wymagać – odpowiadam. – Muszę znowu zacząć poznawać ludzi spoza najbliższej rodziny.

– Wiem, wiem. – Mama wygląda na zmartwioną. – Jednak chyba

wolałabym, żebyś zaczęła od... Cóż. Od koleżanki.

– Aha, bo to właśnie dziewczyny są miłe, słodkie i kochane – odgryzam się bez zastanowienia, a mama wzdycha.

– Masz rację, nie zawsze. – Mrużąc oczy, popija łyk lekarstwa.  
– Sama nie wiem. Jeżeli ten Linus jest sympatycznym chłopcem...

– Jest bardzo sympatyczny – mówię. – Ponadto ma na imię Linus, a nie „ten Linus”.

– A co z Natalie?

Natalie. Jakaś drobna część mnie odruchowo kurczy się na dźwięk tego imienia. Ale po raz pierwszy od niepamiętnych czasów czuję też coś w rodzaju tęsknoty. Tęsknoty za przyjaźnią, która nas łączyła. Za przyjaźnią, po prostu.

Nic nie maści ciszy w pokoju, kiedy próbuję znaleźć drogę w gęstwinie moich myśli. Mama mnie nie popędza. Wie, że czasami mija dużo czasu, zanim wyłowię z nich jakiś sens. Jest dość cierpliwa.

Czuję się tak, jakbym była w wielkiej, przeraźliwie długiej podróży, i żadna z moich koleżanek, nawet Natalie, nie mogła tego zrozumieć. W pewnym sensie przestałam je za to lubić. Jednak teraz wszystko wydaje się łatwiejsze. Może pewnego dnia znowu udałoby mi się spotkać z Natalie? Może poszłybyśmy dokądś razem? Może to bez znaczenia, że nie rozumiem, przez co przeszłam?

Na szafce nocnej stoi zdjęcie przedstawiające mnie i Natalie wystrojone na ubiegłoroczny bal na koniec roku szkolnego. Mój wzrok pada na tę fotografię. Nat ma na sobie różową koronkową sukienkę, a ja błękitną. Śmiejemy się i strzelamy confetti z tuby. Chyba z sześć razy podchodziłyśmy do tego zdjęcia, żeby w odpowiednim momencie wyciągnąć z tub zawleczkę. To Nat wpadła na pomysł z confetti. Zawsze miała takie zabawne pomysły. Ona umie cię rozśmieszyć, ta moja Nat.

– Może zadzwonię do Natalie – mówię w końcu. – Któregoś dnia.

Patrzę na mamę, żeby sprawdzić jej reakcję, ale zasnęła. Niedopite lekarstwo niebezpiecznie przechyla się na tacy, więc chwytam kubek, zanim się rozleje. Stawiam go na szafce nocnej na wypadek, gdyby się przebudziła, a potem wychodzę na palcach z pokoju i idę na dół kipiąca nowym rodzajem energii.

– Frank! – mówię ostro, wchodząc do kuchni. – Czy mama rzuciła pracę?

– Tak, chyba tak.

– Na zawsze?

– Nie wiem.

– Przecież jest bardzo dobra w tym, co robi.

– No, ale nie bardzo może wyjść z domu, nie?

Nie mówi tego głośno, ale wiem, że ma na myśli: „Przez ciebie”.

Przeze mnie mama całymi dniami siedzi w domu, zamartwia się i czyta „Daily Mail”. Przeze mnie jest spięta i zmęczona, a nie promienna i szczęśliwa.

– Powinna pójść do pracy. Lubi pracować.

Frank wzrusza ramionami.

– Pewnie pójdzie. Wiesz...

Znowu niewypowiedziane słowa wiszą w powietrzu: „Kiedy poczujesz się lepiej”.

– Pójdę po te winogrona – mówi i flegmatycznie wychodzi z kuchni.

A ja siedzę i patrzę na moje rozmazane odbicie w stalowych drzwiach lodówki. Kiedy poczuję się lepiej. Jeśli tak, to muszę sprawić, by stało się to jak najszybciej.

# MOJA RADOSNA, CZUŁA RODZINKA

## SCENARIUSZ FILMOWY

### WNĘTRZE DOMU. ROSEWOOD CLOSE 5. DZIEŃ

Tata telefonuje, siedząc za biurkiem w swoim gabinecie.

TATA

(do słuchawki)

Tak. Dobra. Sprawdź. (Wystukuje parę słów na klawiaturze komputera) Okej, już mam.

Frank wchodzi bez pukania do pokoju.

FRANK

Tato, muszę coś sprawdzić do zadania domowego z geografii.

TATA

Będziesz musiał to zrobić później. Przepraszam, Mark...

FRANK

Ale nie mogę odrobić lekcji, dopóki tego nie sprawdzę.

TATA

Frank, zrób to później.

Frank patrzy na niego rozszerzonymi oczami.

FRANK

Zawsze powtarzasz, że zadania domowe mają pierwszeństwo przed wszystkim innym. Zawsze mówisz: „Frank, nie odkładaj lekcji na później”. A teraz każesz mi odłożyć lekcje? Czy to nie są sprzeczne komunikaty? Myślałem, że rodzice powinni wykazywać się konsekwencją.

TATA

(wzdycha)

Dobrze. Sprawdź tę rzecz. Mark, oddzwonię do ciebie.

Robi Frankowi miejsce przy komputerze. Ten wpisuje kilka słów, czyta informacje na stronie internetowej i coś notuje.

FRANK

Dzięki.

Po wyjściu Franka tata wybiera numer telefonu i znowu otwiera swój dokument w komputerze.

TATA

Przepraszam, Mark. Czyli, jak ci mówiłem, te kwoty się nie zgadzają...

Milknij, bo Frank znowu wchodzi do pokoju.

FRANK

Muszę sprawdzić populację Urugwaju.

Tata zasłania dłonią słuchawkę.

TATA

Co?

FRANK

Urugwaj. Populacja.

Tata patrzy na niego rozdrażniony.

TATA

Czy to w tej chwili niezbędne?

Frank robi urażoną minę.

FRANK

Tato, potrzebuję tej informacji do zadania domowego. Zawsze



mówisz, że wszystko, co robię w szkole, będzie miało wpływ na całe moje życie. Wiesz, mógłbym to samo zrobić na moim komputerze, ale... no, cóż.  
(Patrzy ponuro na podłogę)

To była decyzja mamy. Nigdy się nie dowiemy, dlaczego zrobiła to, co zrobiła.

TATA

Frank...

FRANK

Nie, nie ma sprawy. Jeżeli ta rozmowa telefoniczna jest dla ciebie ważniejsza niż moja edukacja, to twój wybór.

TATA

(poddaje się poirytowany)

W porządku. Sprawdź to. (wstaje) Mark, będziemy musieli przełożyć tę rozmowę na później. Przykro mi.

FRANK

(przy komputerze)

To powinno być w historii przeglądanych stron...

Otwiera stronę www zatytułowaną: „Plan finansowy zakupu twojego alfa romeo”.

FRANK

Nieźle, tato. Kupujesz alfę romeo? Mama o tym wie?

TATA

(ostro)

To prywatna sprawa. To nic...

Milknie, widząc, że Frank coś pisze na klawiaturze.

TATA

Frank, co robisz? Co się stało z moim monitorem?

Nudną tapetę taty z nadmorskim widoczkiem zastąpiła seksowna komiksowa postać z *Ziemi zdobywców*.

FRANK

Potrzebna ci była nowa tapeta. Tamta była do bani. Teraz poprawimy ustawienia dźwięku...

Klika myszą i z głośników komputera dobiegają dudniące rytmy *Boomshakalaka*.

Tata kompletnie traci zimną krew.

TATA

Natychmiast przestań! To mój komputer...  
(Wstaje i idzie sztywnym krokiem do drzwi).

Anne? Anne!

# MOJA RADOSNA, CZUŁA RODZINKA

## SCENARIUSZ FILMOWY

### WNĘTRZE DOMU. ROSEWOOD CLOSE 5. DZIEŃ

Ujęcie sprzed drzwi kuchni. W kadrze rodzice sprzeczą się półgłosem.

TATA

On musi mieć swój komputer. Nie może więcej korzystać z mojego. Skończy się tym, że go zamorduję.

MAMA

On nie potrzebuje komputera!

TATA

Potrzebuje, żeby odrabiać lekcje. Tak jak wszystkie inne dzieciaki.

MAMA

Bzdura.

TATA

Wcale nie! Wiesz, że w dzisiejszych czasach uczniowie wszystko notują w laptopach? Nawet nie wiedzą, do czego służy długopis. Myślą, że

to rysik elektroniczny, z którego z jakiegoś powodu wypływa dziwna substancja. Już nikt nie pamięta, jak się pisze odręcznie. Zapomnieli.

MAMA

Co chcesz przez to powiedzieć? Że dzieci nie mogą żyć bez komputera? Że jest fizycznie niemożliwe, żeby nauczyć się czegokolwiek bez pomocy komputera? A co z książkami? Po co są biblioteki?

TATA

Kiedy ostatni raz byłaś w bibliotece? Są pełne komputerów. W dzisiejszych czasach ludzie w ten sposób zdobywają wiedzę.

MAMA

(oburzona)

Chcesz mi powiedzieć, że dzieci w afrykańskim buszu nie uczą się czytać, jeżeli nie dostaną komputera? Naprawdę tak myślisz?

TATA

(zdumiony)

W afrykańskim buszu? Nie wiedziałem, że rozmawiamy o afrykańskim buszu.

MAMA

Potrzebujesz komputera do czytania wielkich dzieł literackich?

TATA

Prawdę mówiąc, zaczynam się przekonywać do mojego Kindle'a...

Widzi minę mamy.

TATA

To znaczy, nie. Na pewno nie.

# MOJA RADOSNA, CZUŁA RODZINKA

## SCENARIUSZ FILMOWY

### WNĘTRZE DOMU. ROSEWOOD CLOSE 5. DZIEŃ

W kadrze widać dłoń pukającą do drzwi pokoju Franka.

FRANK

Kto tam?

AUDREY (z offu)

Ja!

FRANK

Okej.

Drzwi się uchylają i kamera, nierówno podrygując, przemieszcza się do środka. W pokoju panuje bałagan – pełno tam typowych dla nastolatka przedmiotów. Frank siedzi przy oknie i gra na konsoli Atari z lat osiemdziesiątych. Pokój wypełniają brzęczące, metaliczne dźwięki.

AUDREY (z offu)

Mogłeś sprawdzić ten Urugwaj na swoim telefonie.

FRANK

Tak.

AUDREY (z offu)

Więc po prostu drażniłeś się z tatą.

FRANK

Potrzebny mi komputer.

Kadr wypełnia konsola Atari.

AUDREY (z offu)

Skąd to wytrzasnąłeś?

FRANK

Znalazłem na poddaszu.

Rozlega się pukanie do drzwi. Frank jednym płynnym ruchem rzuca dres na konsolę, obraca się na krześle i bierze do ręki książkę.

Mama wchodzi i rozgląda się po pokoju.

MAMA

Frank, masz tu prawdziwą stajnię Augiasza. Posprzątaj ten bałagan.



Frank wzrusza ramionami.

MAMA

Co robisz?

FRANK

No... wiesz.

Zerka w obiektyw kamery.

FRANK

To, co zwykle.

Naprawdę mi się udaje. Robię postępy. I to nie małymi kroczkami, jak dziecko, tylko wielkimi susami. Minęły trzy tygodnie, a ja czuję, że mam większą kontrolę nad swoim życiem niż kiedykolwiek przedtem. Trzy razy poszłam do Starbucksa, raz do Costy i raz na milkshake'a do The Ginger Biscuit. No wiem! Doktor Sarah powiedziała: „Audrey, robisz ogromne postępy!”. Potem ostrzegła mnie, żebym nie przeholowała i bla-bla-bla, ale było widać, że jest pod wrażeniem.

Wybrałam się nawet na lunch do pizzerii! Musiałam stamtąd wyjść przed deserem, bo nagle dopadło mnie uczucie zagrożenia spowodowanego zgiełkiem – jednak wytrzymałam przez cały czas potrzebny na zjedzenie Quattro Stagioni. Mama i tata też tam ze mną poszli, a także Linus, Frank i Felix – i wszystko wyglądało jak... no wiesz. Normalnie. Może z wyjątkiem faktu, że jedna z nas siedziała tam w okularach przeciwsłonecznych, jakby zgrywała celebrytkę. To żalosne. Podzieliłam się tą obawą z mamą, a ona powiedziała:

– Myślisz, że wyglądasz nienormalnie? To popatrz na Feliksa.

Trzeba przyznać, że miała rację. Felix włożył swój ukochany nowy kostium z tygrysią maską i dostał ataku szału, kiedy próbowaliśmy mu wytłumaczyć, że w takim stroju nie będzie mógł zjeść pizzy.

Dzięki tym zdarzeniom poczułam się lepiej. Szczerze mówiąc, ostatnio dużo rzeczy pozytywnie na mnie wpływa. Jedną z nich są niewątpliwie randki z Linusem. Wciąż do siebie esemesujemy, a on przychodzi codziennie po szkole i gra ze mną w ping-ponga w ogrodzie. Gramy od niedawna, ale ta gra już stała się naszą obsesją. Czasami nawet Frank do nas dołącza.

Dzisiaj zdarzyło się coś bardzo fajnego – dostałam od Linusa prezent. T-shirt. Ma z przodu nadrukowaną gałązkę rabarbaru. Linus zamówił go przez Internet. Mama i tata dziwili się, dlaczego akurat rabarbar, a Linus mrugnął do mnie i powiedział:

– To nasza tajemnica.

Nasza tajemnica.

Nie wiem, co bardziej mnie uszczęśliwiło: T-shirt czy ta „nasza tajemnica”. Nigdy przedtem nie miałam wspólnych tajemnic z żadnym

chłopakiem. Bez względu na powód nadal wypełnia mnie radość. Rodzice wyszli z domu, Frank odrabia lekcje, Felix już jest w łóżku, a mnie rozpira energia. Nosi mnie. Chodzę po domu w moim nowym T-shircie i czuję, że chciałabym podzielić się z kimś radością. Chciałabym z kimś pogadać. Spotkać się.

Natalie. Chcę się spotkać z Natalie.

Ta myśl działa jak letni deszcz na mój umysł. Jest tak pozytywna, że aż mrugam ze zdziwienia. Chcę się z nią spotkać. Chcę odzyskać przyjaciółkę. Tak, zrobię to. Teraz.

Po tamtej rozmowie z mamą dwa razy prawie zatelefonowałam do Nat. Raz już wykręcałam numer, ale w ostatniej chwili spękałam. Jednak dzisiaj jestem gotowa zmierzyć się z tym wyzwaniem. A nawet bardziej niż gotowa.

Wyciągam telefon i wprowadzam na klawiaturze numer Natalie, spiesząc się, zanim zmienię zdanie. Znam ten numer na pamięć, chociaż milion lat z nią nie rozmawiałam. Ostatni raz widziałyśmy się tamtego okropnego dnia w szkole tuż przed moim odejściem. Płakała, a ja już nawet nie byłam w stanie płakać, i to było najbardziej rozdzierające pożegnanie.

Wysyłam SMS-a:

Hej, Nat. Co słyhać? U mnie o wiele lepiej. Spotkamy się za jakiś czas? Auds. x

Mniej więcej po trzydziestu sekundach nadchodzi odpowiedź. Zupełnie jakby przez te wszystkie tygodnie Natalie siedziała przy telefonie i czekała na jakiś sygnał.

Zresztą niewykluczone, że właśnie tak było. Mrugając, czytam wiadomość, która brzmi tak:

O Boże, Auds. Tak się o Ciebie martwiłam! Mogę przyjść? Teraz? Moja mama się zgadza. Nat xxxxx

Odpisuję:

OK. To do zaraz.

Zdaje mi się, że mija ledwo pięć minut, a już słyszę dzwonek do drzwi. No, może dziesięć minut, ale na pewno nie więcej. Chyba wyszła z domu od razu po telefonie.

Otwieram na oścież drzwi i nagle cofam się o krok, trochę poirytowana. Nie dlatego że się nie cieszę z jej wizyty, tylko z powodu rzeczy, które przyniosła. Trzyma w ręce koszyk, w którym widzę olejek do kąpielii, pluszowego misia z chorągiewką z napisem: „Wracaj do zdrowia!”, kilka książek i czasopism, czekoladki i ogromną kartkę okolicznościową.

– Cześć – witam ją niepewnie. – Ile prezentów!

– Już dawno się do ciebie wybieraliśmy – tłumaczy pośpiesznie Nat. – Ale twoja mama powiedziała... – Przełyka ślinę. – No, w każdym razie kupiliśmy te rzeczy jakiś czas temu. Leżały w przedpokoju, więc je wzięłam. – Zerka na swoje obciążone ręce. – Wiem, wiem. Wyglądam z tym jak wariatka.

– No to... wejdź.

Kiedy niemal na palcach przechodzi koło mnie, przygląda się moim okularom tak intensywnie, że pytam:

– O co chodzi?

– Kilka osób w szkole mówiło mi, że widziały cię w tych... – Wskazuje na moje okulary przeciwsłoneczne. – No wiesz, na ulicy. Nawet w deszczu. Nikt nie wie, dlaczego nigdy ich nie zdejmujesz.

– Rozumiesz... – Bez przekonania wruszam ramionami. – Choroba i te sprawy.

– Aha. – Natalie wygląda na nieco wylęknioną. – Jasne.

Wchodzi do domu, zrzuca ładunek na stół w kuchni i patrzy na mnie. Przez chwilę utrzymuje się dokuczliwe, niezręczne milczenie. Słyszę jedynie tykanie zegara i swoje myśli: „Czyżby to była pomyłka?”

Jestem ostrożna. Jestem przyczajona jak kot. Nie tak to miało

wyglądać, ale spotkanie z Nat przywołuje wiele wspomnień, które odłożyłam na najdalszą, niedostępną półkę w mojej głowie.

– Przepraszam. – Zdaje się, jakby jej pełne skruchy słowa przedarły się przez tamę. – Auds, przepraszam. Tak mi przykro...

– Nie. – Potrząsam głową, bo nie chcę, żebyśmy zeszyły na ten tor. – Nie masz za co przepraszać.

– Ale powinnam... Nic nie... – Łzy płyną jej po policzkach. – Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co się stało.

– Nie ma o czym mówić. Napij się.

Zaparzam dla nas obu czarnego bzu. Powinnam przewidzieć, że Nat się rozklei. Sama już zostawiłam tamte zdarzenia za sobą. Można powiedzieć, że się przez nie przedarłam. „Przepracowałam je”, jakby się wyraziła doktor Sarah. „Przetrawiłam”. Jakby były kawałkiem sera.

Nie sędzę, żeby Nat mogła powiedzieć o sobie, że przetrawiła tę historię. Za każdym razem, kiedy na mnie patrzy, po jej policzkach znowu płyną łzy.

– A teraz jesteś chora.

– Nic mi nie jest. Już się czuję o wiele lepiej. Mam chłopaka!

Okej, może to nie zabrzmiało szczególnie finezyjnie, ale postawmy sprawę jasno – właśnie taki był główny powód zaproszenia Nat do domu. Żeby mogła się jej pochwalić, że mam chłopaka. Łzy od razu znikają bez śladu, a Nat pochyła się poufale.

– Chłopaka? Ze szpitala?

No co za laska! Myśli, że jestem jakąś szajbuską, która chodzi z takim samym psycholem, bo tylko na to mnie teraz stać?

– Nie. Nie ze szpitala – mówię niecierpliwie. – To Linus. Znasz go? Uczy się z Frankiem w szkole imienia Kardynała Nichollsa.

– Linus? Masz na myśli... Atticusa Fincha?

Wyczuwam w jej głosie niedowierzanie.

– Dokładnie. Dał mi to. – Wskazuję na mój T-shirt. – Dzisiaj. Fajne, nie?

– Czy to rabarbar?

Wygląda na nieco zagubioną.

– Tak. To nasza tajemnica – mówię swobodnym tonem.

– Super! – Nat najwyraźniej nie może się nadziwić tym wiadomościom. – I... jak długo już ze sobą chodzicie?

– Od kilku tygodni. Chodzimy do Starbucksa i w różne inne miejsca. Wiesz, to... rozumiesz, dobra zabawa.

– A ja myślałam, że jesteś naprawdę chora. To znaczy, w łóżku i w ogóle.

– Bo byłam. – Wzruszam ramionami. – Chyba już dochodzę do siebie... – Rozpakowuję batonik i łamię go na części. – Opowiedz mi o szkole.

Zmuszam się do tej prośby, chociaż słowo „szkoła” wywołuje w moim mózgu nieprzyjemne skojarzenia, jest jak zatruwające umysł piętno.

– Och, teraz jest tam zupełnie inaczej – mówi oględnie Natalie. – Nie uwierzyłybyś. Po odejściu Tashy i jej paczki Katie totalnie się zmieniła. Nie poznałybyś jej. A Chloe już nie kumpluje się z Ruby. Słyszałaś, że panna Moore się zwolniła? Mamy teraz nową wicedyrektorę i ta jest fantastyczna... – Natalie przerywa swój monolog. – A ty? Zamierzasz wrócić?

To pytanie jest dla mnie jak cios w brzuch. Na myśl o powrocie do tej szkoły robi mi się niedobrze.

– Przechodzę do Heath Academy – mówię. – Zacznę od przyszłego roku, bo opuściłam za dużo lekcji. Wiesz, na szczęście byłam jedną z najmłodszych w klasie, więc niewiele stracę...

– Mogłabyś powtarzać klasę w Stokeland – sugeruje Nat, ale marszczę nos, słysząc tę propozycję.

– Uczyć się rok niżej niż ty? To byłoby co najmniej dziwne. Zresztą... – Robię pauzę. – W Stokeland nas nienawidzą. Moi rodzice zrobili im straszny raban. Doprowadzili do zwołania wielkiego posiedzenia różnych szych i nie zostawili tam na nich suchej nitki. Walczyli z ogromną... no wiesz. Zajadłością. – Wiem to od Franka, a nie od mamy ani taty. – Ich zdaniem władze szkoły nie poradziły sobie z problemem.

– Pewnie, że nie! – Nat otwiera szeroko oczy. – Wszyscy wciąż to powtarzają. Na przykład moi rodzice tak mówią.

– Sama widzisz. No właśnie. Dlatego byłoby dziwne, gdybym tam wróciła.

Łamię batonik na jeszcze mniejsze kawałki i podaję Nat. Ta częstuje się, a potem unosi głowę i patrzy na mnie znowu ze łzami w oczach.

– Tęsknię za tobą, Auds.

– Ja za tobą też.

– Było mi naprawdę okropnie, kiedy odeszłaś. Naprawdę okropnie.

– Uhm.

Po chwili milczenia nagle, bez uprzedzenia rzucamy się sobie w ramiona. Natalie jak zwykle pachnie szamponem Herbal Essences i jak to ma w zwyczaju, poklepuje mnie po plecach. Ten znajomy gest sprawia, że do oczu napływają mi łzy.

Brakowało mi przytulania. Boże, jak mi tego brakowało.

Odsuwając się od siebie, obie śmiejemy się przez łzy. Dzwoni telefon i Natalie niecierpliwie po niego sięga.

– Tak, mamo – mówi krótko. – Wszystko w porządku. To mama – wyjaśnia, odkładając komórkę. – Czeka w samochodzie przed domem. Miałam co pięć minut wysyłać jej SMS-a, żeby potwierdzić, że wszystko w porządku.

– Dlaczego?

– Bo... wiesz.

– Co?

– Przecież wiesz.

Natalie nerwowo się wierci i nie patrzy na mnie.

– Nie wiem.

– Wiesz, Auds. Dlatego, że jesteś...

– Jaka?

– Niezrównoważona psychicznie – wykrztusza w końcu niemal szeptem.

– Co?! – Zupełnie mnie zatkało. – Jak to?

– Masz dwubiegunowość. – Natalie z trudem próbuje wybrnąć. – Ludzie z chorobą dwubiegunową bywają agresywni. Mama po prostu martwiła się o mnie.

– Ja nie mam choroby dwubiegunowej! – protestuję zdumiona. – Kto ci to powiedział?

– Nie? – Natalie nie kryje zdziwienia. – Mama twierdziła, że na pewno

ją masz.

– I że się na ciebie rzucę? Dlatego nie powinni mnie wypuszczać z zakładu i cały czas trzymać w kaftanie bezpieczeństwa? Jezu! – Próbuję zachować zimną krew. – Poznałam ludzi z zaburzeniami dwubiegunowymi i możesz mi wierzyć, Nat, że byli w stu procentach bezpieczni.

– Przepraszam! – Natalie robi nieszczęśliwą minę. – Skąd mieliśmy wiedzieć?

– Czy moja mama nie powiedziała wam, co jest ze mną nie tak? Nie wytłumaczyła, co się ze mną dzieje?

– Hmm... – Widzę, że ta sytuacja jest dla niej coraz trudniejsza. – Moja mama myślała, że twoja próbuje bagatelizować sprawę. Wiesz, krążyło tyle plotek...

– Jakich? Jakich plotek?

Natalie uparcie milczy, więc powtarzam groźniejszym tonem:

– Jakich plotek, Nat?

– Już dobrze! – mówi pospiesznie. – Takich, że próbowałaś popełnić samobójstwo... że oślepałaś... że przestałaś się odzywać... Aha! Ktoś powiedział, że wydłubałaś sobie oczy i dlatego nosisz okulary.

– Co??? – Jestem w takim szoku, że z trudem łapię oddech. – A ty w to uwierzyłaś?

– Nie! – Widzę, że jest jej głupio. – No pewnie, że nie uwierzyłam. Ale...

– Że wydłubałam sobie oczy? Jak Van Gogh?

– On odciął sobie uszy – poprawia mnie Natalie. – Jedno ucho.

– Wydłubałam sobie oczy? – Zbiera mi się na histeryczny, niemal bolesny chichot. – Uwierzyłaś w to, przyznaj się, Nat. Uwierzyłaś?

– Nieprawda! – Natalie pąsowieje na twarzy. – Oczywiście że nie! Przecież ci mówię!

– Ale myślałaś, że jestem szaloną morderczynią z chorobą dwubiegunową.

– Ja nawet nie wiem, co to znaczy dwubiegunowość – przyznaje się Natalie. – Po prostu brzmi jakoś tak groźnie.

– Szaloną morderczynią z chorobą dwubiegunową i wydłubanymi oczami. – Czuję kolejną falę histerycznego rozbawienia. – Nic dziwnego,



że twoja mama została w samochodzie.

– Przestań! – jęczy Natalie. – Naprawdę nie miałam na myśli żadnej z tych rzeczy!

Natalie to totalna głupolka, a jej mama jest jeszcze gorsza. Ale zalewa mnie fala czułości, kiedy widzę ją w tym stanie – jest tak przybita, skołowana i absolutnie nie wie, co powiedzieć. Znam ją, odkąd skończyłyśmy sześć lat. Już wtedy patrzyła na świat ufnymi, rozszerzonymi ze zdumienia oczami i wierzyła, że mój tata naprawdę jest Świętym Mikołajem.

– Nic mi nie jest – mówię w końcu, żeby już dać jej spokój. – Nie jest tak źle. Nie przejmuj się.

– Naprawdę? – Natalie zerka na mnie niepewnie. – O Boże, Auds. Przepraszam. Znasz mnie i wiesz, że o niczym nie mam pojęcia. – Przygryza wargę i namyśla się. – A więc... jeżeli nie cierpisz na chorobę dwubiegunową, to na co?

Zaskakuje mnie tym pytaniem. Muszę się zastanowić i dopiero po kilku sekundach odpowiadam:

– Już nie cierpię. Wracam do zdrowia. – Sięgam po ostatni kawałek batonika i dzielę go na pół. – Masz. Dokończmy go, zanim wpadnie w łapy Frankowi.

Doktor Sarah jest w swoim żywiole, kiedy jej opowiadam, jak zostałam szaloną morderczynią z chorobą dwubiegunową.

Mówiąc, że jest w swoim żywiole, mam na myśli, że jęczy, łapie się za głowę i powtarza:

– Poważnie?

Widzę, że pisze w swoim zeszycie: „Program wsparcia – szkoły? EDUKACJA???”.

Ja jednak mam niezły ubaw. Wiesz, to naprawdę śmieszne, chociaż teoretycznie nie powinno mnie śmieszyć. Na pewno to rozumiesz.

Ostatnio o wiele częściej się śmieję podczas sesji z doktor Sarah. I zdecydowanie o wiele więcej mówię. Długo zdawało się, że to ona miała więcej do powiedzenia niż ja. To przede wszystkim ona mówiła, a ja słuchałam. (Dla ścisłości – kiedy się poznałyśmy, źle znosiłam każdy rodzaj komunikacji. Dla jeszcze większej ścisłości – na pierwszej sesji nawet nie weszłam do gabinetu, nie spojrzałam na doktor Sarah, ani tym bardziej z nią nie rozmawiałam). Ale teraz wszystko się diametralnie zmieniło. Tyle mam jej do opowiedzenia! O Linusie, o Natalie, o moich wyjściach z domu, o tym, jak wsiadłam do autobusu i ani trochę nie spanikowałam...

– To chyba znaczy, że już po wszystkim – mówię, kończąc ostatnią anegdotkę. – Jestem nówka sztuka.

– Nówka sztuka?

– Wyleczona.

– Aha. – Doktor Sarah z namysłem stuka ołówkiem o kartkę zeszytu.

– To znaczy...?

– No, wie pani. Zdrowa. Wróciłam do normalności.

– Nie da się ukryć, że robisz duże postępy. Bardzo się z tego cieszę, Audrey. Bardzo.

– To nie są jedynie postępy – tłumaczę niecierpliwie. – Znowu jestem normalna. To znaczy, wie pani, w sensie praktycznym.

– Uhm. – Doktor Sarah uprzejmie pozwala mi się nacieszyć, ale po chwili mówi coś zupełnie przeciwnego: – Jeszcze nie wróciłaś do szkoły – przypomina. – Nadal nosisz okulary przeciwsłoneczne. Wciąż bierzesz

lekarstwa.

– No okej, miałam na myśli aspekt praktyczny. – Czuję ukłucie złości.  
– Nie musi pani być taką pesymistką.

– Audrey, chciałabym po prostu, żebyś była realistką.

– Jestem!

– Pamiętasz wykres twoich postępów, który kiedyś narysowałam? Tę zygzakowaną linię?

– Tak, ale tamten wykres to już przeszłość – mówię. – Teraz wygląda tak. – Wstaję, zdecydowanym krokiem idę do tablicy i rysuję na niej prostą linię wznoszącą się do gwiazd. – Oto ja. Żadnych dołków. Tylko do góry.

Doktor Sarah wzdycha.

– Audrey, chciałabym, żeby to była prawda. Jednak znaczna większość pacjentów w podobnej sytuacji doświadcza nawrotów choroby. Ale to normalne. Należy się tego spodziewać.

– Ja już przeszłam wszystkie komplikacje. – Patrę na nią z żelazną determinacją. – Nawroty już mnie nie dotyczą. Nie ma mowy. Nie chcę nawet o nich słyszeć.

– Wiem, że jesteś rozczarowana i zła, Audrey...

– Myślę pozytywnie. Czy to źle?

– Nie. Po prostu nie przesadź. Nie wymagaj od siebie rzeczy ponad twoje siły. Najgorsze, co może się stać, to że sama doprowadzisz do pogorszenia swojego stanu.

– Dobrze się czuję – mówię pewna siebie.

– Na pewno. – Doktor Sarah kiwa głową. – Ale wciąż jesteś krucha. Wyobraź sobie sklejony talerz z porcelany, w którym spoiwo jeszcze niezupełnie się związało.

– Jestem dla pani talerzem? – pytam ironicznie, ale doktor Sarah nie podchwytuje żartu.

– Kilka lat temu miałam bardzo podobną do ciebie pacjentkę na tym samym etapie terapii. Wbrew moim radom postanowiła pojechać do Disneylandu w Paryżu. – Robi zniesmaczoną minę. – Do Disneylandu! Akurat tam!

Od samego myślenia o Disneylandzie dostaję gęsiej skórki – ale na pewno nie powiem o tym doktor Sarah.

– I co się stało?

Jak tu nie zapytać?

– To było dla niej zbyt intensywne doświadczenie. Musiała wcześniej wrócić z wycieczki. Potem wmówiła sobie, że to jej wina. Wpadła w jeszcze głębszą depresję i wszystkie postępy poszły na marne.

– No cóż, ja się nie wybieram do Disneylandu. – Krzyżuję ręce na piersi. – Nic takiego mi nie grozi.

– To dobrze. Wiem, że jesteś rozsądna. – Doktor Sarah przygląda mi się, a kąci jej ust lekko drżą. – W każdym razie wrócił ci dobry humor. W twoim życiu wszystko układa się dobrze?

– Dobrze.

– A Linus wciąż jest...

Dyskretnie zawiesza głos.

– Linusem. – Potakuję. – Wciąż jest sobą. Przy okazji, kazał panią pozdrowić.

– Och! – To ją chyba zaskoczyło. – W takim razie przekaż mu pozdrowienia ode mnie.

– I jeszcze chciał, żebym pogratulowała pani dobrej roboty.

Zapada milczenie, a na ustach doktor Sarah pojawia się uśmiešek.

– Wiesz co? Ode mnie możesz mu powiedzieć to samo. Chciałabym poznać tego Linusa.

– Niech pani sobie nie robi nadziei – mówię beznamiętnie, wzruszając ramionami. – Jest mój.

# MOJA RADOSNA, CZUŁA RODZINKA

## SCENARIUSZ FILMOWY

### WNĘTRZE DOMU. ROSEWOOD CLOSE 5. DZIEŃ

PLAN OGÓLNY: Linus i Felix siedzą w ogrodzie. Między nimi leży rozłożona szachownica i wygląda na to, że chłopcy grają w szachy.

Zbliżenie, daje się słyszeć ich głosy. Felix przesuwa figurę i triumfalnie patrzy na Linusa.

FELIX

Szach.

Linus przestawia figurę.

LINUS

Szach.

Felix przestawia figurę.

FELIX

Szach.

Linus przestawia figurę.

LINUS

Szach.

Patrzy poważnie na Feliksa.

LINUS

Podoba mi się ta gra, którą wymyśliłeś, Felix. To dobra gra.

Felix uśmiecha się z dumą.

FELIX

Wiem.

LINUS

Przypomnij mi, jak się nazywa?

FELIX

Kwadraty.

Linus próbuje zachować powagę.

LINUS

A, no właśnie. Kwadraty. Dlaczego więc nie mówimy „kwadrat”, kiedy przesuwamy figury?

Felix patrzy na niego z politowaniem, jakby miał przed sobą kogoś niezbyt rozgarniętego.

FELIX

Bo mówi się: szach.

Linus patrzy w obiektyw.

LINUS

Aha, to wszystko wyjaśnia.

Mama wchodzi do ogrodu.

MAMA

Linus! Nie wiedziałam, że tu jesteś! To się świetnie składa. Mówisz po niemiecku, prawda?

LINUS

(ostrożnie)

Trochę...

MAMA

Wspaniale! Czy mógłbyś mi pomóc rozszyfrować instrukcję zmywarki? Cała książeczka jest po niemiecku. Po niemiecku! Dlatego potrzebuję twojej pomocy.

LINUS

Och, okej.

Kiedy wstaje, Felix łapie go za nogę.

FELIX

Li-nus! Gramy w kwadraty!

W tej chwili FRANK wchodzi do ogrodu i wymachuje przed Linusem czasopismem o grach komputerowych.

FRANK

Linus, musisz to przeczytać.

AUDREY (z offu)

No, co za rodzina! A może tak byście się odkolegowali od mojego chłopaka?



Doktor Sarah powiedziała, że muszę zwiększyć częstotliwość interakcji z nieznanymi. Już nie wystarczy pójść do restauracji, ukryć się za kartą dań i pozwolić innym złożyć za mnie zamówienie. (Skąd to wiedziała?). Muszę nabrać pewności siebie w rozmowie z obcymi. To moje zadanie domowe. Właśnie dlatego siedzimy z Linusem w Starbucksie, a on stara się wybrać jakąś przypadkową osobę, do której mam podejść i zagadnąć ją o coś.

W szpitalu odgrywaliśmy różne scenki, które miały ten sam cel. Ale scenka to scenka. Czasami czujesz się jak błazen. Boże, jak żenująco było udawać „konfrontację” z chudzielcem, który wyglądał tak, jakby sam mógł wpaść w panikę, kiedy na niego spojrzysz. Ponadto lekarze podpowiadali nam, co mamy mówić, kiedy się zablokowaliśmy, i wygłaszali uwagi w rodzaju: „Zwróć uwagę na mowę ciała, Audrey”.

Chcę przez to powiedzieć, że scenki są do bani, ale to, co teraz wymyśliliśmy, może być całkiem fajną rozrywką. Bo będziemy zaczepiać ludzi na zmianę – raz ja, raz Linus. To w pewnym sensie podobne do gry w rzucanie sobie wyzwania.

– Okej, tamten gość. – Linus wskazuje samotnego mężczyznę przy stoliku w kącie, który coś pisze na laptopie. Ma dwadzieścia kilka lat, nosi bródkę, T-shirt i modną skórzaną torbę w rodzaju tych, których Frank z całego serca nie cierpi. – Podejdz do niego i zapytaj, czy ma Wi-Fi.

Czuję pęczniejącą bańkę paniki, którą próbuję przebić. Męczyzna wygląda, jakby kompletnie pochłaniała go praca. Raczej nie chce, żeby ktoś mu przeszkadzał.

– Wygląda na bardzo zajętego. – Próbuję się wykręcić. – Może ktoś inny? Może tamta starsza pani?

Przy sąsiednim stoliku siedzi słodka staruszka o siwych włosach, która już od jakiegoś czasu uśmiecha się do nas.

– To za łatwe. – Linus nie daje się przekonać. – Nie będziesz musiała powiedzieć ani słowa, bo zagada cię na śmierć. Idź do tamtego faceta i zapytaj go o Wi-Fi. Poczekał tu na ciebie.

Każda część mojego ciała wzbrania się, ale Linus siedzi niewzruszony i patrzy na mnie, więc zmuszam nogi do wysiłku. Jakoś udaje mi się przejść

na drugi koniec kawiarni i oto stoję przed tym mężczyzną, ale on nawet na mnie nie spojrzał. Tylko pisze i marszczy brwi.

– Uhm, hm, przepraszam... – udaje mi się wykrztusić.

Stuk-stuk-stuk-brwi.

Próbuję jeszcze raz:

– Halo, proszę pana... – próbuję ponownie.

Stuk-stuk-stuk-brwi.

Nawet nie uniósł głowy znad klawiatury.

Najbardziej na świecie chcę się odwrócić i uciec. Ale Linus na mnie patrzy. Muszę wytrzymać.

– Przepraszam pana. – Mój głos dudni tak głośno, że niemal odskakuję przestraszona, ale mężczyzna w końcu unosi wzrok. – Zastanawiałam się, czy ma pan Wi-Fi.

– Co takiego? – Patrzy nieufnie.

– Wi-Fi. Ma pan tutaj Wi-Fi?

– Jezu, nie widzisz, że próbuję pracować?

– Aha. Przepraszam. Zastanawiałam się...

– Nad tym, czy mam Wi-Fi. Ślepa jesteś? Nie umiesz czytać?

Wskazuje ręką na tabliczkę w kącie kawiarni z regulaminem korzystania z Wi-Fi na terenie Starbucksa. Nagle zwraca uwagę na moje okulary przeciwsłoneczne.

– Ty naprawdę nie widzisz? Czy tylko jesteś niedorozwinięta?

– Nie jestem niewidoma – mówię drżącym głosem. – Po prostu zadałam zwykłe pytanie. Przepraszam, że przeszkodziłam.

– Cholerna debilka – mamrocze facet i dalej stuka w klawiaturę.

W oczach mam łzy, kiedy wracam chwiejnym krokiem do stolika. Ale idę z uniesioną głową. Postanawiam, że się nie rozkleję. Przy stoliku zmuszam się do sztucznego uśmiechu.

– Zrobiłam to!

– Co powiedział? – pyta Linus.

– Nazwał mnie cholerną debilką. Ślepą i niedorozwiniętą. A oprócz tego, wiesz, był naprawdę szarmancki.

Łzy, które próbowałam powstrzymać, znalazły ujście i spływają mi po policzkach. Linus patrzy zaniepokojony.

– Audrey!

– Nie, wszystko w porządku – zapewniam stanowczo. – Nic mi nie jest.

– Złamas. – Linus złowrogo zerka na faceta w szarym T-shircie. – Jeśli nie chce być zaczepiany, to nie powinien przesiadywać w miejscach publicznych. Tylko pomyśl, ile oszczędza na czynszu. Kupuje jedną kawę i siedzi tu przez godzinę, a potem oczekuje, że cały świat będzie chodził wokół niego na palcach. Jeśli chce być w biurze, to powinien je sobie wynająć. Kutas.

– Najważniejsze, że mi się udało – mówię weselszym tonem. – Teraz twoja kolej.

– Idę pogadać z tym samym gościem. – Linus wstaje. – Niech nie myśli, że może być takim dupkiem.

– Co mu powiesz? – pytam spanikowana. Dławi mnie strach, ale nie wiem, czego właściwie się boję. Po prostu nie chcę, żeby Linus się w to mieszał. Mam ochotę wyjść. – Usiądź – błagam go. – Zakończmy już tę grę.

– Gra się nie skończyła. – Linus mruga do mnie i z kawą w ręce idzie do stolika w kącie.

– Dzień dobry! – zwraca się dziecinnym głosem do tamtego faceta. Robi to tak głośno, że pół kawiarni zaczyna się rozglądać. – To Apple Mac, prawda?

Mężczyzna unosi głowę z taką miną, jakby nie mógł uwierzyć, że znowu ktoś go zaczepia.

– Tak – mówi obcesowo.

– Mógłby pan mi wytłumaczyć, jakie zalety ma Apple Mac nad innymi komputerami? – prosi Linus. – Bo właśnie przymierzam się do kupna komputera. Czy ten jest naprawdę dobry? Założę się, że tak. – Siada naprzeciw mężczyzny. – Mogę go wypróbować?

– Słuchaj no, jestem zajęty – warczy tamten. – Możesz usiąść gdzie indziej?

– Pracuje pan tutaj?

Mężczyzna go ignoruje i dalej stuka w klawiaturę, więc Linus pochyla się do niego.

– Pracuje pan? – powtarza tubalnym głosem.

– Tak. – Mężczyzna zerka wrogo na niego. – Pracuję.

– Mój tata pracuje w biurze – mówi szczerze Linus. – A pan nie ma biura? Czym się pan zajmuje? Mogę być pana asystentem? Przyjdzie pan do naszej szkoły, żeby opowiedzieć o swojej pracy? Ojej, ma pan pustą filiżankę! Chce pan kupić jeszcze jedną kawę? To była cappuccino? Ja lubię białą espresso. Dlaczego ona tutaj nazywa się „biała płaska”? Wie pan? Może to pan dla mnie sprawdzić?

– Słuchaj! – Mężczyzna zatrzaskuje laptop. – Dzieciaku, przeszkadzasz mi w pracy. Poszukaj sobie innego miejsca.

– Przecież jesteśmy w Starbucksie. – Linus udaje zdziwienie. – Mogę siadać, gdzie chcę. Wolno mi. – Wzywa baristkę, która zbiera puste naczynia z pobliskiego stolika. – Przepraszam, czy mogę siadać wszędzie, gdzie chcę? Czy regulamin Starbucksa na to pozwala?

– Oczywiście – odpowiada dziewczyna i uśmiecha się do niego.  
– Wszędzie, gdzie chcesz.

– Słyszał pan? Wszędzie. Ponadto mam kawę, a pan nie. Pan swoją wypił.

Linus zatrzymuje baristkę.

– Przepraszam! – Podaje jej pustą filiżankę mężczyzny.

– Widzi pan? – zwraca się znowu do mężczyzny. – Już pan skończył. Powinien pan złożyć nowe zamówienie albo wyjść.

– Jezu! – Facet wygląda, jakby zaraz miał wybuchnąć. Wpycha laptopa do swojej modnej torby i wstaje. – Pieprzeni smarkacze – mamrocze pod nosem. – Nie do wiary!

– Do zobaczenia – mówi z niewinną miną Linus. – Niech pan nigdy nie przestanie być dupkiem.

Przez chwilę boję się, że facet walnie go w głowę – ale oczywiście tego nie robi. Po prostu rozwścieczony wychodzi z kawiarni. Linus wstaje i wraca do naszego stolika. Kiedy siada na krześle naprzeciw mnie, ma na twarzy swój firmowy uśmiech w kształcie segmentu pomarańczy.

– O Boże! – mówię bez tchu. – Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś.

– Następnym razem ty to zrobisz.

– Nie byłabym w stanie.

– Byłabyś. To niezła zabawa. – Linus pociera dłonie. – Grajmy dalej.  
– Okej, wskaż mi kogoś – mówię podbudowana. – Rzuć mi nowe wyzwanie.

– Zapytaj baristkę, czy sprzedają tu miętowe babeczki. Start! – Macha ręką do baristki, a ta podchodzi do nas z uśmiechem.

Nie mam czasu się zastanowić, czy jestem zdenerwowana.

– Przepraszam, macie miętowe babeczki? – pytam, naśladowując niewinny, dziecinny ton Linusa. Z jakiegoś powodu naśladowanie Linusa dodaje mi odwagi. Nie jestem sobą, nie jestem Audrey, tylko graną postacią.

– Niestety nie. – Baristka potrząsa głową. – Przykro mi.

– Ale widziałam je na stronie internetowej Starbucksa – nalegam. – Jestem pewna, że je widziałam. Miętowe babeczki z nadzieniem czekoladowym. Z taką... posypką.

– Ozdobione miętówką Polo – wtrąca z poważną miną Linus, a mnie niemal skręca ze stłumionego śmiechu.

– Nie... – Baristka wygląda na zdziwioną. – Nigdy o nich nie słyszałam.

– No trudno – mówię uprzejmie. – Mimo to dziękuję.

Kiedy dziewczyna odchodzi, uśmiecham się do Linusa. Emocje uderzają mi do głowy.

– Zrobiłam to!

– Jesteś w stanie z każdym pogadać. – Potakuje. – Następnym razem wypożycz pulpity i wygłoś przemówienie.

– Doskonały pomysł! – mówię. – Zaprośmy tysiąc osób.

– A zatem krzywa w górę, panie i panowie. Panna Audrey pnie się do gwiazd.

Linus wie o funkcji zmiennej/rośnącej, która ilustruje postęp mojej rekonwalescencji, bo mu o niej powiedziałam. Narysowałam mu wykres i tak dalej.

– No pewno. – Stukamy się filiżankami. – Panna Audrey pnie się do gwiazd.

Takie chwile stanowią potwierdzenie, że trzymam rękę na pulsie – że mam całkowity wpływ na kształt mojego wykresu. I jeśli chcę, żeby był funkcją rosnącą, to nią będzie.

Pozwalam sobie zatem na drobne kłamstwo, wypełniając rubryki formularza podczas następnej sesji z doktor Sarah.

*Czy w ciągu ostatnich dni często miewałaś zmartwienia?* „Ani razu”.

*Czy trudno ci zapanować nad zmartwieniami?* „Ani trochę”.

Kiedy oddaję doktor Sarah kwestionariusz, ta zerka na mnie i unosi brwi.

– No, no, co za poprawa!

– Prawda? – pytam bez zastanowienia. Nie mogę się powstrzymać.  
– A widzi pani?

– Masz jakąś teorię dotyczącą powodu tak znacznej poprawy twojego stanu w tym tygodniu? – Doktor Sarah uśmiecha się do mnie. – Czy stało się tak tylko dlatego, że los jest dla ciebie łaskawy? A może jest coś jeszcze? Zaszły jakieś zmiany?

– Nie wiem. – Niewinnie wzduszam ramionami. – Nie przychodzi mi na myśl żadna szczególna zmiana.

To znowu kłamstwo. Coś się zmieniło – przestałam brać lekarstwa. Wyjmuję tabletki z opakowania i wyrzucam je do kosza w zmiętych kopertach. (Nie spuszczam ich w toalecie, bo lekarstwa rozpuszczają się i dostają do wodociągu czy jakoś tak).

I wiesz co? Nie zauważyłam żadnych niepożądanych efektów. Co tylko dowodzi, że wcale ich nie potrzebuję.

Nikomu o tym nie powiedziałam. Oczywiście sprawa, w przeciwnym razie bardzo by to przeżywali. Chcę przeczekać mniej więcej miesiąc, a potem jakby nigdy nic podzielić się ze wszystkimi tą informacją i zobaczyć ich miny.

– Już pani mówiłam – tłumaczę doktor Sarah. – Jestem zdrowa. Nówka sztuka. Nic mi nie dolega.

Dzisiaj mama jest w nastroju do sprzątanía. Ściera kurze w całym domu, układa rzeczy, pokrzykuje na nas i pyta:

– Czyje to buty? Skąd się wzięły właśnie tutaj?

Schroniliśmy się przed nią w ogrodzie. My, to znaczy ja, Frank, Linus i Felix. Jest ciepły dzień, więc fajnie się siedzi na trawie i zrywa stokrotki.

Nagle zza krzaka, za którym się ukryliśmy, dochodzi jakiś szelest, a po chwili wyłania się zza niego tata.

– Cześć, tato – wita go Frank. – Przyszedłeś wstąpić w szeregi Sojuszu Rebeliantów?

– Frank, zdaje się, że twoja mama czegoś od ciebie chce.

„Twoja mama”. To zakodowana wiadomość, która znaczy: „Umywam ręce od najnowszego pomysłu mamy. Nie mam nic wspólnego z jej fanaberiami”.

– Czego? – Frank patrzy na niego wyzywająco. – Jestem zajęty.

– Zajęty chowaniem się za krzakiem? – pytam, parszczając śmiechem.

– Zaoferowałeś swoją pomoc? – upewnia się tata. – Przy organizacji kermaszu w Avonlea? Chyba już czas szykować ten poczęstunek.

– Nie oferowałem pomocy – mówi z oburzoną miną Frank. – To nie była moja inicjatywa. Zostałem zmuszony. To się nazywa wyzysk i praca niewolnicza.

– Jaka wspaniała postawa – komentuję. – Zawsze gotowy nieść pomoc bliźniemu.

– Nie zauważyłem, żebyś ty chętnie pomagała bliźniemu – odgryza się Frank.

– Mogę pomóc. – Wzruszam ramionami. – Co mi szkodzi zrobić kilka kanapek?

– Zresztą co to za określenie: „bliźniemu”? – pyta Frank. – To seksistowskie słowo. Fajnie być seksistką, Audrey?

– To tylko takie utarte powiedzenie.

– Seksistowskie powiedzenie.

– Lepiej już chodźmy – wtrąca tata. – Mama wkroczyła na wojenną ścieżkę.

– Jestem zajęty zabawianiem Linusa – mówi Frank, nie ruszając się

ani o milimetr. – Zabawiam gościa. Chcesz, żebym zostawił go samego?

– On jest moim gościem – sprzeciwiam się.

– Ja się z nim pierwszy kumpłowałem. – Frank intensywnie mi się przygląda.

– I tak miałem już iść – mówi dyplomatycznie Linus. – Mam trening piłki wodnej.

Po wyjściu Linusa słyszę krzyk mamy:

– Chris! Frank! Gdzie się podzialiście?!

Jej złowieszczy ton może oznaczać jedno: „Popamiętacie to sobie”. Wszyscy dochodzimy do wniosku, że nie ma sensu dłużej ukrywać się na dworze. Frank człapie do domu jak potępieniec, a ja biorę kilka głębokich oddechów, bo czuję się trochę spięta.

To znaczy, nic mi nie jest. Nie wpadam w panikę ani nic z tych rzeczy. Jestem po prostu troszeczkę...

Jakby to nazwać? Roztrzęsiona. Nie wiem dlaczego. Pewnie mój organizm próbuje się oczyścić z chemii, którą go zaśmiecałam przez kilka miesięcy. Nawet nie pamiętam ostatniego razu, kiedy mogłam powiedzieć, że naprawdę był czysty.

W kuchni zebrała się niezła menażeria. Przyszła starsza pani w przedpotopowym fioletowym zakiecie z fryzurą, która na sto procent jest peruką. Widzę też panią w średnim wieku, która nosi warkocze i sandały. Jest para pulchnych ludzi w identycznych bluzach z logo parafii Świętego Łukasza i siwy pan na elektrycznym skuterku.

Jego skuter jest całkiem fajny. Trzeba jednak przyznać, że wciąż blokuje wszystkim drogę.

– No dobrze! – Mama wchodzi i klaszcze w dłonie. – Witam wszystkich i dziękuję za to, że przyszliście. Kiermasz zaczyna się o trzeciej. Kupiłam mnóstwo różnych produktów... – Zaczyna wyjmować na kuchenny blat zawartość reklamówek z supermarketu: pomidory, ogórki, sałatę, chleb, kurczaka, szynkę i tak dalej. – Proponuję, żebyśmy zrobili kanapki, jakieś nadziewane przekąski, hmm... Czy ktoś ma jeszcze inny pomysł?

– Może zawijaski z parówkami w cieście? – proponuje tęga pani.

– Aha. – Mama kiwa głową. – Kupne czy domowe?



– Uhm... – Tęga pani wygląda na zakłopotaną. – Nie wiem. Ale ludzie lubią zawijaski.

– Cóż, nie mamy zawijasków. Ani mięsa, żeby je zrobić. Zatem...

– Szkoda – wzdycha tęga pani. – Bo ludzie uwielbiają zawijaski. Jej mąż potakuje.

– To prawda.

– Wszyscy uwielbiają zawijaski.

Widzę, że mama zaczyna się niecierpliwić.

– Może następnym razem – mówi z optymistycznym uśmiechem.

– Zobaczymy, co jeszcze możemy przygotować. Myślałam o... kanapkach z pastą jajeczną...

– Mamo! – Frank wygląda tak, jakby usłyszał coś strasznego.

– Kanapki z pastą jajeczną są ohydne.

– Ja je lubię! – broni się mama. – Czy reszta lubi kanapki z pastą jajeczną?

– Kochana, myślę, że stać nas na coś lepszego niż pasta jajeczna. – Męski głos niespodziewanie ucisza mamę i wszyscy unoszą głowy, żeby zobaczyć, kto to powiedział.

Do kuchni wchodzi sprężystym krokiem facet, którego nigdy przedtem nie widziałam. Wygląda na dwadzieścia kilka lat. Ma ogoloną głowę, chyba z sześć kolczyków w uchu i nosi strój szefa kuchni.

– Mam na imię Ade – przedstawia się. – Derek Gould jest moim dziadkiem. Od niedawna mieszka w Avonlea i powiedział mi o tej imprezie. A więc, co robimy?

– Jest pan szefem kuchni? – Mama patrzy na niego oczami okrągłymi jak spodki. – Zawodowym?

– Pracuję w „Fox and Hounds”. Akurat mam wolną godzinę. Tym dysponujemy? – Obraca w rękach kupione przez mamę produkty. – Myślę, że uda nam się przyrządzić dobre nadzienie do pasztecików... może sałatkę Waldorf... i może opieczemy ten fenkuł, żeby go podać z dressingiem estragonowym...

– Młody człowieku! – Staruszka we fioletach wymachuje mu dłonią przed oczami. – Jak chcesz utrzymać świeżość sałatki w taki dzień jak dzisiaj?

Ade wygląda na zdziwionego.

– Och, przyniosłem z pubu pojemniki termiczne. Trzydzieści. I resztę wyposażenia cateringowego. Możecie je zwrócić jutro.

Starsza pani mruga zaskoczona.

– Pojemniki termiczne? – Mama nieco za bardzo się ekscytuje.  
– Sprzęt cateringowy? Z nieba nam pan spadł!

– *No problemo*. Okej, a więc w menu będą: sałatka Waldorf w picie, pita z fasolką po meksykańsku, dwa rodzaje sałatek...

– Uch... możemy w jakiś sposób wykorzystać jajka? – pyta nieco zakłopotana mama. – Kupiłam dużo jajek do kanapek z pastą jajeczną, na którą, jak się zdaje, nikt nie ma ochoty.

– Hiszpański omlet – mówi bez zająknięcia Ade. – Dodamy chorizo, czosnek, podsmażymy cebulę cukrową i podamy w plastrach...

Uwielbiam hiszpański omlet! Co za fajny gość!

– Kupiłam też dużo papryki – mówi rozentuzjasmowana mama i podaje mu jedną z nich. – Przydadzą się?

– Doskonały pomysł.

Ade bierze od mamy paprykę i obraca ją w palcach. Potem otwiera plecak i wyjmuje zestaw starannie owiniętych noży. Patrzymy przejęci, gdy wyciąga z szuflady pod stołem deskę do krojenia, kładzie na niej paprykę i zaczyna ją siekać.

O mój Boże, nigdy dotąd nie widziałam, żeby ktoś tak szybko kroił warzywa.

Ciach-ciach-ciach-ciach-ciach.

Wszyscy w kuchni przyglądają się zafascynowani. Nawet Frank. A nawet szczególnie Frank. Kiedy Ade kończy, wszyscy biją mu brawo, tylko Frank wciąż stoi jak zaczarowany, a oczy wychodzą mu z orbit.

– Ty. – Ade wyławia go z gromady osób. – Chciałbym, żebyś się zajął siekaniem.

– Ale... – Frank nerwowo przełyka ślinę. – Ja tak nie umiem.

– Nauczę cię. Nie ma się czego bać. – Ade mierzy Franka wzrokiem od stóp do głowy. – Chcesz gotować w takim stroju? Masz fartuch?

– Znajdę – odpowiada szybko Frank, a ja ledwo powstrzymuję chichot. Frank w fartuchu? Bezcenne.

Ade zaczyna buszować w szafkach kuchennych, wyjmując na kontuar różne produkty.

– Przygotuję listę zakupów – oświadcza. – Potrzebujemy parmezan, więcej czosnku, harissę... Kto będzie naszym dostawcą? – Zerka na mnie. – Ładna dziewczyna w okularach przeciwsłonecznych. Chcesz się zająć zakupami?

□ □ □

Zakupy już nie wywołują u mnie paniki.

To znaczy, nie zawsze jest łatwo. Wciąż muszę znosić fanaberie mojego „gadziego mózgu”, który często daje o sobie znać właśnie wtedy, kiedy powinien siedzieć cicho. Od kilku dni nachodzą mnie takie jakby nie związane z niczym konkretnym fale paniki, co jest doprawdy denerwujące, bo myślałam, że już się z nimi na zawsze pożegnałam.

Nauczyłam się jednak, żeby nie walczyć z „gadzim mózgiem”, tylko w pewnym sensie go tolerować. Wysłuchać go, a potem skwitować jego lęki stwierdzeniem: „Tak? Co ty powiesz?”. To tak, jakbyś tolerował wybryki czterolatka. Z upływem czasu zaczęłam myśleć o „gadzim mózgu” jak o dzieciaku – kimś podobnym do Feliksa – chaotycznym i nieodpowiedzialnym. Najważniejsze to nie dopuścić, żeby zaczął mi dyktować, jak mam żyć. Gdybyśmy pozwolili Feliksowi na kierowanie naszym życiem, cały dzień chodzilibyśmy przebrani za komiksowych bohaterów i jedli tylko lody.

Ale kiedy próbujesz się sprzeciwić Feliksowi, musisz się liczyć z wyciem, krzykiem i napadami szału, a sytuacja staje się tym bardziej stresująca. Cała sztuka polega więc na tym, żeby jednym uchem słuchać, co do ciebie mówi, i potakiwać, a drugim od razu wypuszczać jego słowa.

Tak samo jest z „gadzim mózgiem”.

Kiedy więc przed wejściem do supermarketu paraliżuje mnie strach, zmuszam się do uśmiechu i mówię:

– Niezła próba, gadzi mózdzku.

Naprawdę mówię to na głos, a potem wypuszczam powietrze z płuc,

licząc do dwunastu. (Trzeba to robić bardzo wolno. Regulujesz w ten sposób poziom stężenia dwutlenku węgla w mózgu i od razu się uspokajasz. Spróbuj, jeśli mi nie wierzysz). Potem jakby nigdy nic robię swoje i staram się sprawiać wrażenie osoby, której kompletnie nie obchodzi, co sobie myśli jakaś tam gadzina.

I wiesz co? Ten sposób działa.

□ □ □

Wracam do domu, niosąc dwie siatki z zakupami, i nagle staję jak wryta. Frank stoi przy blacie w kuchni i szatkuje warzywa.

Ma na sobie fartuch mamy i trzyma nóż, którego nie poznaję. Widzę, że już nauczył się używać go w taki sam imponujący sposób, w jaki robią to szefowie kuchni. Ciacha jak zawodowiec. Szybko. Ma zaróżowione policzki i sprawia wrażenie całkowicie pochłoniętego pracą. Nawet nie widzi, kiedy wchodzę, a już na pewno nie wyskakuje z żadną głupią uwagą.

– O, świetnie! – Ade zauważył mnie i przejmuje siatki. – Zobaczmy ten czosnek. – Wącha go i pociera suchą jak papier łupinkę. – Piękny. Okej, Frank, pokrój go w drobną kosteczkę. Cały.

– Tak, *chef* – mówi niemal bez tchu Frank i bierze od niego czosnek.

„Tak, *chef*”?

„Tak, *chef*”???

Okej, nie poznaję Franka.

# MOJA RADOSNA, CZUŁA RODZINKA

## SCENARIUSZ FILMOWY

### WNĘTRZE DOMU. ROSEWOOD CLOSE 5. DZIEŃ

Kuchnia. Frank siedzi pochylony nad laptopem taty.

AUDREY (z offu)

A więc dzisiaj odbył się kiermasz. Było w porządku. Wygrałam na loterii takie coś.

W kadrze pojawia się ręka. Sięga po leżącą na stole osłonkę na papier toaletowy uszytą z różowego, puszystego materiału.

AUDREY (z offu)

Nakładasz to na papier toaletowy. Czyż to nie najbardziej odrażająca rzecz, jaką wymyślił człowiek?

Odkłada osłonkę na stół.

AUDREY (z offu)

Ale wszyscy byli zachwyceni przekąskami. Sprzedały się w pięć minut i nawet mer miasta wspomniał o nich w swoim przemówieniu.

Najazd kamery na Franka. Ten ogląda na YouTube film, na którym szef kuchni demonstruje techniki siekania.

FRANK

Myślisz, że mama kupiłaby mi zestaw noży? Wiesz, takich porządnych.

AUDREY (z offu)

Nie wiem. Ile kosztują?

Frank otwiera nowe okno w przeglądarce.

FRANK

Te są za sześćset pięćdziesiąt funtów.

AUDREY (z offu)

Aha, na pewno. Już widzę, jak biegnie do sklepu.

FRANK

Dobre noże to podstawa. Ade powiedział, że mogę wpaść do niego do pubu, żeby nabrać wprawy. W zamian będę musiał trochę pozmywać i takie tam różne – ale wiesz, jeśli mu pomogę, Ade będzie mnie uczył.

Unosi głowę. Jest bardzo ożywiony.

AUDREY (z offu)

To wspaniale!

FRANK

Ma taki przyrząd, do którego mocuje specjalny palnik i na przykład opala kurczaka.

AUDREY (z offu)

Ho, ho. Trzeba przyznać, że jedzenie było pyszne. Wszyscy o nim mówili.

FRANK

Sałatka Waldorf mogła być lepiej przyprawiona. Ade tak twierdził.

AUDREY (z offu)

Mnie tam smakowała.

Kamera wycofuje się z kuchni i zmierza w kierunku ogrodu. Tam się zatrzymuje. W kadrze widać rodziców, którzy stoją koło plastikowego domku i rozmawiają półgłosem. Mama trzyma w ręce list i gwałtownie gestykułuje, wymachując nim przed tatą.

MAMA

Nie do wiary, że mają czelność w ogóle o to prosić.

TATA

Anne, nie bierz tego tak bardzo do siebie.

MAMA

A jak inaczej mam to odbierać? Jak im nie wstyd? Co za tupet!

TATA

Wiem. To niedorzeczne.

MAMA

Raczej potworne! Nie zdają sobie sprawy, jak wielką szkodę wyrządziliby Audrey? Wieczorem napiszę e-maila do tej baby i powiem jej, co o niej myślę, a potem...

TATA

Ale ja go wyślę.

MAMA

(stanowczo)

Mam coś do powiedzenia w tej sprawie, Chris. Na pewno nie pozwolę, żebyś mnie cenzurował.

TATA

Razem napiszmy ten list. Lepiej nie przyjmować zbyt wojowniczej postawy i nie robić sobie wrogów.

MAMA

Zbyt wojowniczej postawy? Żartujesz?



AUDREY (z offu)

W jakiej sprawie?

Zaskoczeni rodzice gwałtownie się odwracają.

AUDREY (z offu)

O co chodzi?

MAMA

Audrey!

TATA

O nic, kochanie.

MAMA

Nic, czym musiałybyś się przejmować. Prawda, że kiermasz się udał?

Przez chwilę wszyscy milczą, a kadr wypełniają zatroskane twarze rodziców. Potem następuje zbliżenie na dłoń, w której mama trzyma list.

AUDREY (z offu)

(wolno)

Tak. Doskonale się udał.

Na co tak patrzyli? No, na co?

Jestem totalnie skołowana. Mama i tata nigdy przedtem tak się nie zachowywali. Tak bardzo się bali, żebym nie odkryła, czego dotyczyła ich rozmowa, że ich reakcja graniczyła z agresją. To znaczy, mama niemal na mnie naskoczyła.

Bez względu na powód nie chcę, żebym nabrała choć cienia podejrzeń.

Moja konsternacja nie ma granic. Nie mogę nawet poddać analizie możliwych teorii ani ich wyeliminować, bo nie mam żadnych teorii. Może chodzi o coś w związku z doktor Sarah? Tylko to mi przychodzi na myśl. Może chce mnie wysłać na jakąś wynaturzoną eksperymentalną terapię, a rodzice się wściekli, że w ogóle zapytała ich o zgodę na taki pomysł?

Ale doktor Sarah nie zrobiłaby czegoś takiego. Nie wpuściłaby mnie na taką minę. Prawda? A mama i tata nie mówiliby o niej „oni”.

Wieczorem przy kolacji znowu poruszam ten temat, a rodzice właściwie ucinają wszelką dyskusję.

– To nic takiego – mówi mama, pospiesznie i jakby gniewnie jedząc swój makaron. – Absolutnie nic.

– Mamo, przecież widzę, że coś się stało.

– Audrey, nie musisz wiedzieć o wszystkim, co się dzieje.

Kiedy to mówi, dopada mnie nagły strach – czyżby mama była chora albo coś w tym rodzaju? Czy nadciąga jakaś rodzinna tragedia, która uderzy w nas z niszczycielską siłą, i dlatego mama nie chce uprzedzać faktów?

Ale nie – powiedziała: „Wyrządziliby Audrey wielką szkodę”. Oni. To słowo klucz, chociaż nie wiem, kim są tajemniczy oni.

Później rodzice spędzają mniej więcej dwie godziny za zamkniętymi drzwiami gabinetu taty, a kiedy w końcu wychodzą, mama mówi:

– No, to załatwione.

Otacza ją aura ponurej satysfakcji. Mam przeczucie, że nie patyczkowała się z adresatem e-maila.

Tata oświadcza, że wychodzi na szybkie piwo z Mikiem, z którym grywa w squasha, a mama mówi, że weźmie kąpiel. Czekam, aż usłyszę szum wody z kranu, a potem skradam się do Franka, który siedzi w swoim pokoju i słucha muzyki z iPod'a.

– Frank, umiałbyś się włamać na skrzynkę pocztową taty? – pytam półszepcem.

– Tak. Dlaczego?

– Moglibyśmy to zrobić? Ale od razu.

Frank bez problemu otwiera skrzynkę pocztową taty, co stanowi wyraźny sygnał, że robił to już przedtem. Zna nawet pokrętnie hasło składające się z symboli, liczb i bezsensownych ciągów liter.

– Często czytasz pocztę taty? – pytam zaintrygowana, siadając na brzegu krzesła.

– Czasami.

– On o tym wie?

– No co ty! – Frank klika na parę wiadomości od osoby o nazwisku George Stourhead. – Można się dowiedzieć ciekawych rzeczy. Wiedziałaś, że w ubiegłym roku starał się o inną pracę?

– Nie.

– Nie dostał jej. Ale jego kumpel Allan twierdzi, że tamta firma jest w tarapatach, więc dobrze, że tacie się nie udało.

– Och. – Przez chwilę analizuję tę informację. – To nic ciekawego.

– Lepsze niż wypracowania z geografii. Och, i planują przyjęcie-niespodziankę na moje urodziny, więc się nie wygadaj, okej?

– Frank! – jęczę. – Po co mi to powiedziałeś?

– Nie powiedziałem. – Kładzie palec na ustach. – Ja nic nie wiem. No dobrze, czego szukamy?

– Nie wiem. Wiadomości, w której mama jest na coś zła.

Frank unosi brwi tak komicznie, że nie mogę powstrzymać chichotu.

– Możesz ograniczyć zakres wyszukiwania?

– Dobrze. No więc... Nie wiem. To coś na mój temat. Wyszukaj: „Audrey”.

Frank patrzy na mnie z ironicznym uśmiechem.

– Audrey, co drugi e-mail jest o tobie. Nie wiedziałaś? Jesteś gorącym tematem w naszej rodzinie.

– Och... – Gapię się na niego zaskoczona. Nie wiem, co odpowiedzieć. Nie chcę być gorącym tematem. Zresztą wcale nie jestem.

– Bzdury – protestuję. – Nie jestem gorącym tematem. Raczej ty nim jesteś. Całymi dniami mama mówi tylko o tobie. Frank to, Frank tamto.

– Ale e-maile pisze o tobie. Audrey to, Audrey tamto. – Patrzy na mnie z poważną miną. – Naprawdę.

To mi zamyka usta na minutę. Nie sądziłam, że mama prowadzi jakąś tajną korespondencję. Okazuje się jednak, że to prawda. Zastanawiam się, co o mnie pisze. Frank mógłby mi pokazać. Mogłabym go poprosić...

Kiedy o tym myślę, w mojej głowie zatrząskuje się ciężka żelazna krata. Nie. Nie będę podglądać – ograniczę się do tego, co niezbędne. Nie chcę wiedzieć, co mama potajemnie o mnie myśli. Każdy ma prawo do odrobiny prywatności.

– Nie powinieneś szpiegować rodziców – mówię.

– Ty też ich szpiegujesz – odpowiada Frank.

– No dobrze, ale ja... – Wycofuję się, bo wiem, że ma rację. – To wyjątkowa wyższa konieczność. Jednorazowa sprawa, bardzo ważna i... Nigdy się nie powtórzy.

– Założę się, że to będzie ta wiadomość. – Frank klika na niedawno wysłany e-mail pod tytułem: „Państwa propozycja”.

Kiedy na ekranie pojawia się tekst, od razu patrzę na jego koniec, gdzie widnieje podpis: Anne i Chris Turner.

– O Boże! – Frank śmieje się pod nosem. – Mama nieźle daje temu komuś popalić.

– Cicho! Daj mi się skupić!

Patrzę nad jego ramieniem i mrużąc oczy, czytam:

Szanowna Pani Lawton,

pragniemy wyrazić nasze zdziwienie, szok i konsternację. Po pierwsze, dlatego że miała Pani czelność napisać wiadomość bezpośrednio do naszej córki Audrey, co świadczy o absolutnie niewłaściwym podejściu. Po drugie, nasze oburzenie budzi sam fakt, że występuje Pani z tak skandaliczną propozycją. Przykro mi słyszeć, że Pani córka Izzy boryka się z problemami, ale szaleństwem z Pani strony jest sądzić, że Audrey zechce się z nią spotkać. Czy już Pani zapomniała, co się stało? Nie pamięta Pani, że jej córka (z koleżankami) znęcała się nad naszą córką? Czy Pani zdaje sobie sprawę z faktu, że od tamtej pory Audrey nie wróciła do szkoły i spędziła kilka tygodni w szpitalu?

Nie obchodzi nas, czy Izzy chce przeprosić czy nie. Nie będziemy ryzykować dalszych szkód w psychice naszej córki.

Z poważaniem,

Anne i Chris Turner

– Kim jest Izzy? – pyta Frank. – Jedną z tamtych?

– Tak. – Wracają do mnie chore, trujące emocje. Wystarczyło, żebym znowu zobaczyła to imię: Izzy. – Nie do wiary, że chce się ze mną spotkać – mówię, nie odrywając wzroku od tekstu na ekranie. – Po tak długim czasie.

– Rodzice się nie zgodzili. Masz to z głowy.

– Nieprawda.

– Prawda! Słuchaj, mama i tata się tym zajmą. Nie musisz się z nikim spotykać. Audrey, na dobrą sprawę już nigdy nie musisz iść do szkoły. Możesz robić, czego dusza zapagnie. Nie doceniasz swojej sytuacji? – Frank klika na inną wiadomość. – Nie doceniasz, prawda? Los daje ci taką fantastyczną szansę, a ty ją marnujesz.

Ledwo dociera do mnie jego głos. W głowie wirują mi myśli. Myśli, których nawet ja sama nie rozumiem. Myśli, których nie chcę.

Zupełnie nieświadomie skuliłam się na podłodze i osłoniłam głowę rękami. Potrzebuję całej energii, żeby pomyśleć.

– Aud? – Frank nagle zwraca na mnie uwagę. – Aud, co się stało?

– Nic nie rozumiesz – mówię. – Teraz, kiedy to przeczytałam... kiedy wiem, o co prosiła... ta sprawa znowu jest aktualna.

– Dlaczego?

– Bo...

Nie potrafię tego powiedzieć. Słowa formułują się w głowie, ale próbuję je wyprzeć. Nie wiem, skąd się wzięły. Nie chcą odejść.

– Może powinnam się z nią spotkać – wyrzucam w końcu z siebie.

– Może powinnam pójść się z nią spotkać.

– Co? – Frank patrzy na mnie osłupiały. – Po co miałabyś to robić?

– Nie wiem. Bo... Nie wiem. – Ściskam głowę rękami. – Nie wiem.

– Gówniany pomysł – oświadcza Frank. – Sama pakujesz się w kłopoty. No wiesz, Aud, spotkało cię już dosyć złego. Nie pogarszaj swojej sytuacji. Hej, tata ma link do quizu „Który bohater Simpsonów jest ci najbliższy?”. Mówię ci, powinnaś go rozwiązać. Gdzie on jest... – Frank klika na chybił trafił w różne miejsca na ekranie. – Trzeba przyznać, że tata właściwie ma poczucie humoru...

– Przestań. Muszę pomyśleć.

– Za dużo myślisz. W tym cały kłopot. Po prostu przestań myśleć.

– Nagle Frank przestaje klikać. – Och. Kurczę. Nie wiem, co zrobiłem. Widziałaś, co zrobiłem?

– Nie.

– Chyba skasowałem jakiś dokument. Ale skucha. – Znowu zaczyna klikać jak szalony. – No dalej, dupku... przywróć. Hej, nie mów tacie, co tu robiliśmy. Bo się wścieknie, jeśli mu coś skasowałem na dobre...

Frank jeszcze coś mówi, ale wychodzę i już go nie słyszę. Kręci mi się w głowie, serce wali i czuję się jak we śnie.

Przeprosiny. Jakoś nie umiem sobie wyobrazić przeprosin Izzy. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby w ogóle miała wiele do powiedzenia. To nie ona była prowodyrką. Zawsze trzymała się z tyłu, nie miała własnego zdania i robiła to, co kazała jej Tasha. No właśnie, spójrzmy prawdzie w oczy – wszyscy robili to, co Tasha. Bo jeśli ja stałam się celem ataku, to znaczy, że oni byli bezpieczni. Nawet Natalie przestała się za mną wstawiać...

Nie. Nie ma co do tego wracać. Natalie była przerażona. Wszystko sobie wyjaśniłyśmy. Znowu się między nami dobrze układa.

To Tasha budzi największy strach. To przez nią cierpię mi skóra. Jest bystra, inteligentna, zdeterminowana i ładna, jeśli ktoś lubi sportową figurę i mocną szczękę. Była ulubienicą wszystkich nauczycieli. Uwielbiali ją. Przynajmniej dopóki nie odkryli prawdy, no i w ogóle.

Miałam dużo czasu na rozmyślanie. Doszłam do wniosku, że robiła to dla zabawy. Wiesz. Tylko dlatego, że mogła.

Domyślam się, że pewnego dnia Tasha będzie obsypywana nagrodami. Zostanie rozchwytywaną specjalistką od reklamy – zajmie się sprzedawaniem wizerunku, manipulowaniem ludźmi tak, by w ten wizerunek uwierzyli, i będzie to robić bezwzględnie, bez wytchnienia, doprawdy w natchniony sposób. Trafi do najwyższej ligi mistrzów reklamy, którzy oszukują cię tak umiejętnie, że poddajesz się im, nie zdając sobie z tego sprawy. Przystajesz myśleć i robisz dokładnie to, czego od ciebie chcą. Będzie wykorzystywać ludzi i traktować ich jak przedmioty jednorazowego użytku. Wszyscy, do których się uśmiechnie, wpadną w jej sieć i dołączą do drużyny. Ci, których znienawidzi, będą się czuli do cna wykorzystani i nieszczęśliwi, ale kto by się nimi przejmował?

Prawda jest taka, że prawdopodobnie tamta historia pomoże jej odnieść w życiu sukces – chociaż żaden dorosły nie odważy się tego przyznać. To był najlepiej zorganizowany projekt, jaki jesteś w stanie sobie wyobrazić. Innowacyjny i trwały. Gdyby coś takiego mogła przygotować jako projekt egzaminacyjny na koniec szkoły – pracę pod tytułem „Kreatywne dręczenie Audrey Turner za pomocą różnorodnych metod” – dostałaby szóstkę z plusem.

To prawda, że w końcu została wyrzucona ze szkoły. Ale kto by się przejmował takim szczegółem.



Kończy się tak, że nie mogę się uspokoić, dopóki tego z siebie nie wyrzucę. Dobrze po jedenastej, kiedy już powinnam spać, schodzę do kuchni, gdzie mama i tata akurat parzą herbatki ziołowe.

– Mamo, przeczytałam twojego maila i sędzę, że powinnam spotkać się z Izzy – mówię.

No. I już.

Mama kategorycznie się sprzeciwiła. Tata też.

Przy okazji porządnie się wkurzyła. To znaczy, wkurzyła się niby na panią Lawton, ale tak często nawiązywała do niektórych tematów, że brzmiało to tak, jakby raczej wściekła się na mnie.

Tak, przyznaję, że czytanie prywatnej korespondencji innych osób nie mieści się w normach przyzwoitego zachowania.

Tak, zdaję sobie sprawę z faktu, że rodzice co dzień zmagają się z ważnymi sprawami, a nie mogą tego robić, żyjąc w ciągłym strachu, że włamię się na ich pocztę internetową.

Czy zależy mi na tym, żebyśmy zamykali przed sobą drzwi na klucz? (Nie).

Czy chcę żyć w rodzinie, w której nikt nikomu nie ufa? (Nie).

Zaraz, zaraz, czy to Frank? To Frank ci pomógł? (Milczenie).

Mamie pobiełały nozdrza, a na czole pulsowały żyły, tata zaś patrzył z poważną miną – tak poważnej od dawna u niego nie widziałam. Oboje byli na sto procent pewni, że spotkanie z Izzy to niedobry pomysł.

– Twój umysł jest kruchy, Audrey – powtarzała mama. – Jesteś jak naczynie z porcelany, które dopiero co posklejano.

Podchwyciła to od doktor Sarah.

Czy mama rozmawia za moimi plecami z doktor Sarah? Nigdy nie przyszło mi to na myśl. Z drugiej strony, czasami moja spostrzegawczość jest daleka od ideału.

– Kochanie, na pewno myślisz, że to będzie oczyszczające doświadczenie, że wypowiedzie swoje kwestie i wszyscy wyjdą z tego spotkania mądrzejsi – mówi tata. – Ale w prawdziwym życiu dzieje się inaczej. Spotkałem w życiu dosyć dupków, żeby to wiedzieć. Sami nie zdają sobie sprawy z tego, że są dupkami. Ani jeden z nich. Bez względu na to, co im powiesz.

I zwraca się do mamy:

– Pamiętasz Iana? Mojego pierwszego szefa? Ten dopiero był dupkiem! Zawsze nim był i nic tego nie zmieni.

– Nie zamierzam wypowiadać żadnej kwestii. – Zwracam im na to uwagę. – To ona chce mnie przeprosić.

– Tak twierdzi – mamrocze ponuro mama. – Tak tylko twierdzi.

– Powiedz nam, dlaczego chcesz to zrobić – prosi tata. – Wytlumacz, skąd ta potrzeba?

– Chcesz usłyszeć od niej słowo „przepraszam”? – pyta mama.

– Możemy się umówić, żeby napisała do ciebie list.

– Nie chodzi o to. – Niecierpliwie potrząsam głową i próbuję poukładać myśli tak, żeby była w nich jakaś logika. – Problem w tym, że sama nie bardzo wiem, dlaczego mi zależy na spotkaniu. Może po prostu chcę coś udowodnić. Ale komu? Sobie? Czy Izzy?

Doktor Sarah niechętnie słucha o Izzy, Tashy i innych. Mówi wtedy rzeczy w rodzaju: „Audrey, o twojej wartości nie świadczy opinia innych ludzi” lub: „Nie czuj się odpowiedzialna za emocje innych” albo: „Z tego, co mówisz, wynika, że ta Tasha jest bardzo nudną osobą – zmieńmy temat”.

Dała mi nawet książkę o niezdrowych relacjach. (Niemal zaśmiałam się w głos. Czy relacje mogą być jeszcze bardziej niezdrowe niż te, które istnieją między mną i Tashą?). Książka mówiła o tym, jak znaleźć w sobie siłę, żeby nie dać się wykorzystywać, i nie oceniać się według miary ludzi o toksycznej osobowości, lecz stać z podniesioną głową, być sobą, zdrowym drzewem, a nie jakimś spróchniałym, walącym się, zależnym od otoczenia pniakiem-ofiarą. Czy coś w tym rodzaju.

Wszystko pięknie, ale Izzy, Tasha i cała reszta cały czas tkwią w mojej głowie. Nie wyprowadziły się. Może zostaną już na zawsze.

– Jeśli tego nie zrobię, wciąż będę zadawać sobie pytania – mówię w końcu. – Do końca życia nie zaznam spokoju. Czy byłabym w stanie to zrobić? Czy coś by się dzięki temu zmieniło?

Mama i tata nie wyglądają na przekonanych.

– To samo można powiedzieć o wszystkim – upiera się mama. – Czy byłabyś w stanie skoczyć z dachu Empire State Building? Może tak, a może nie.

– Życie jest za krótkie – dodaje z naciskiem tata. – Zapomnij o tym, co było.

– Próbuję. Właśnie to jest jeden ze sposobów!

Jednak kiedy patrzę na ich twarze, wiem, że nigdy, przenigdy nie wpłynę na zmianę ich stanowiska. Mogę mówić, co chcę, ale to się nigdy

nie uda.



Idę zatem do Franka. On też uważa, że to zły pomysł, ale różnica polega na tym, że wystarczyło z nim porozmawiać mniej więcej pięć minut, by wzruszył ramionami i powiedział:

– Twoje życie, twoja sprawa.

Tata zmienił hasło do skrzynki e-mail, ale Frank szybko znajduje w jego smartfonie wiadomość zatytułowaną: „Nowe hasło” (biedny tata – naprawdę nie powinien zostawiać swojego BlackBerry, gdzie popadnie) i dostajemy się do programu pocztowego. Zamierzałam sama napisać list, ale Frank wziął sprawy w swoje ręce i trzeba przyznać, że jego styl brzmiał zupełnie tak, jak taty.

– Czytasz za dużo korespondencji rodziców – mówię zdumiona, chłonąc efekt jego pracy. – To niesamowite!

– Gówniana fuszera – mówi Frank, ale widzę, że jest zadowolony.

I dobrze. Ten e-mail to prawdziwe dzieło sztuki. Brzmi tak:

Szanowna Pani Lawton,

proszę wybaczyć mojej żonie i mnie podyktowany emocjami ton naszego wczorajszego listu. Jak Pani zapewne się domyśla, kontakt z Pani strony wywołał naszą konsternację i możliwe, że zareagowaliśmy zbyt pochopnie. Po namyśle doszliśmy do wniosku, że Audrey bardzo chętnie spotka się z Izzy i wysłucha, co Pani córka ma jej do powiedzenia. Czy moglibyśmy zaproponować spotkanie o trzeciej po południu w najbliższy wtorek w Starbucksie?

Proszę nie odpisywać na ten e-mail, ponieważ mój sprzęt ostatnio zawodzi. Podaję numer telefonu, pod który może Pani wysłać potwierdzenie terminu: 07986 435 619.

Pozdrawiam serdecznie,

Chris Turner

To numer mojej nowej komórki. Po wysłaniu listu Frank usuwa go, a potem kasuje go także z kosza i wygląda na to, że jesteśmy czyści.

I nagle w tej chwili pada na mnie strach. Co ja robię? Cholera, co ja wyprawiam? Serce zaczyna mi bić jak szalone, a ręce bezwiednie splatają się i zaciskają.

– Pójdiesz tam ze mną? Proszę – mówię bez namysłu, a Frank zwraca się w moim kierunku i długo mi się przygląda. Staram się nie patrzeć mu w oczy, odwracam głowę, ale po chwili zerkam na niego. Wygląda, jakby się bał – jakby do niego też dotarło, co zrobiliśmy.

– Jesteś pewna, że tego chcesz?

– Tak. Tak. – Potakuję głową kilka razy, jakbym sama próbowała się przekonać. – Tak. Zrobię to. Potrzebuję tylko moralnego wsparcia. Fajnie by było, gdybyś ze mną poszedł. Ty i Linus.

– Trzej muszkietierowie.

– Coś w tym rodzaju.

– Powiedziałaś Linusowi?

– Nie, ale dzisiaj spotkamy się w parku. Powiem mu, kiedy się z nim zobaczę.

Przy wejściu do parku mam naprawdę gwałtowny atak. Przeróżający, taki, jak za dawnych czasów. Wszyscy dokoła wyglądają jak roboty, które chcą mnie skrzywdzić, a powietrze zdaje się naelektryzowane strachem i poczuciem zagrożenia. Mój „gadzi mózg” daje mi znać, że ani trochę nie podoba mu się to doświadczenie. Najchętniej kazałby mi się wczłogać pod najbliższy krzak.

Jednak stanowczo postanawiam nie wczłogiwać się pod żaden krzak. Żaden gad nie będzie mi dyktował, co mam robić. Mdli mnie ze strachu i uderzają mnie fale dziwnych zawrotów głowy, ale udaje mi się wejść do parku pewnym krokiem, jak normalnemu człowiekowi. Widzę Linusa – siedzi na ławce. Jego obecność daje mi pewne oparcie. Pomarańczowy uśmiech, szeroki i emanujący szczęściem, przeznaczony tylko dla mnie, działa na mnie tak, jakby ktoś głaskał mój „gadzi mózg”, żeby go uspokoić, przekonać, że wszystko będzie dobrze.

(Nie powiedziałam Linusowi o moim „gadzim mózgu”. Niektóre rzeczy można powiedzieć swojemu chłopakowi, ale inne lepiej zatrzymać dla siebie, żeby nie wyjść na wariatkę).

– Cześć, Rabarbaro.

– Cześć, Pomarańczku.

Dotykam jego dłoni i delikatnie całujemy się na powitanie.

– Okej – mówi Linus, kiedy się od siebie odsuwamy. – Mam kogoś dla ciebie. Podejdz do tamtego człowieka i zapytaj go, czy kaczki są wegetariankami.

Wskazuje na starszego mężczyznę, który rzuca kaczkom chleb.

– A są?

– No coś ty, głupolku. Przecież jedzą robaki. No, idź.

Dotyka mojego ramienia i popycha mnie lekko, a ja wstaję z uśmiechem. Pulsuje we mnie przerażenie, ale zmuszam się do rozmowy z nieznanym o kaczkach. Potem wracam na ławkę i rzucam Linusowi wyzwanie, żeby podszedł do grupy turystów z Francji i zapytał, w jakim kraju się znajdujemy.

Linus rozgrywa to po mistrzowsku. A nawet lepiej niż po mistrzowsku. Skonsternowany tłumaczy Francuzom, że leciał do Szwecji,

ale chyba zablądził, a oni od razu zaczynają pokazywać mu mapy i wyświetlacze telefonów i tłumaczą mu: „*Angleterre! Anglia!*”, wskazując na czerwone autobusy komunikacji miejskiej, które co pięć minut przejeżdżają koło parku.

– Och, Anglia! – powtarza w końcu Linus, jakby nagle go olśniło, a oni energicznie kiwają głowami i mówią:

– *D'accord! Grande-Bretagne! Anglia!*

Odchodzą, cały czas trajkocząc i oglądając się przez ramię. Pewnie będą o nim mówić do końca swoich wakacji.

– Okej – mówi Linus po powrocie na ławkę. – Idź, zapytaj tamtego faceta, czy ma lody kokosowe.

Wskazuje ruchem głowy sprzedawcę lodów, który odkąd pamiętam, co roku rozstawia latem w parku swój kramik.

– Nie ma.

– Wiem. Dlatego masz go o to zapytać.

– To za łatwe – mówię dumnie. – Wymyśl coś innego.

– Nie chce mi się – odpowiada leniwie Linus. – Idź do tego lodziarza.

Podchodzę do stoiska i cierpliwie czekam na swoją kolej, a potem mówię:

– Przepraszam, czy ma pan lody kokosowe?

Wiem, co odpowie. Od kiedy skończyłam osiem lat, co roku pytam go o lody kokosowe, ale nigdy ich nie ma.

– Dzisiaj są – mówi z błyskiem w oku.

Patrzę z głupią miną, kiedy sięga po łyżkę do lodów.

– Słucham?

– Lody kokosowe dla młodej damy – ogłasza kwieście.  
– Jednorazowa oferta specjalna. Tylko dla ciebie.

– Co??? – Mrugam z niedowierzaniem, a on nakłada do wielkiego rożka białą lodową górę. – To naprawdę lody kokosowe?

– Tylko dla ciebie – powtarza, podając mi rożek. – I czekoladowe dla młodego kawalera – dodaje, wkładając mi do ręki drugi rożek. – Zapłacone z góry.

– Kokosowy to mój ulubiony smak – mówię oszołomiona. – Ale pan nigdy ich nie miał.

– To samo powiedział ten młody człowiek. Poprosił mnie, żebym zrobił coś w rodzaju oferty specjalnej.

Obracam się na pięcie. Linus patrzy na mnie, a jego uśmiech zdaje się jeszcze szerszy niż zwykle.

– Dzięki – zwracam się do sprzedawcy lodów. – Naprawdę dziękuję.

Wracam do Linusa i obejmuję go ramionami, nie upuszczając lodów, a potem całuję go.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś! – Podaję mu jego loda i zaczynam lizać swojego. Ambrozja! Ekstaza! Kokosowy to najlepszy smak na świecie. – Mmm, o Boże!

– Dobrze?

– Kocham je. Kocham.

– Ja też – mówi Linus, liząc swojego loda. – Ciebie.

Mój umysł rejestruje jego słowa. „Ja też”. „Ciebie”.

Park jest pełen słońca, głosów kaczek i krzyków dzieci, ale w tej chwili cały świat kurczy się i wypełnia go twarz Linusa, jego brązowe włosy, szczere oczy i uśmiech w kształcie półksiężyca.

– Co... masz na myśli? – pytam z trudem, bo mam ściśnięte gardło.

– To, co powiedziałem. Że ja też je kocham – odpowiada, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Powiedziałeś: ciebie.

– Cóż... może właśnie to miałem na myśli.

„Kocham to”. „Ja też. Ciebie”.

Te słowa brykają w mojej głowie i dopasowują się jak klocki domina, raz tak, raz inaczej.

– Ale konkretnie co? – Muszę się upewnić.

– Konkretnie wiesz co.

Jego oczy są tak samo roześmiane jak pomarańczowe usta. Ale widzę w nich też powagę.

– Ja też to kocham – mówię ze ściśniętym gardłem. – Ciebie.

– Mnie.

– Tak. – Przelykam ślinę. – Tak.

Nie musimy mówić nic więcej. Wiem, że na zawsze zapamiętam ten moment – nas, kaczki, słońce, jego ramiona wokół mnie. Jego pocałunek



smakuje czekoladą. Jestem pewna, że mój jest kokosowy.

Właściwie, te smaki dobrze się komponują. No więc...

□ □ □

Później tego samego dnia życie nagle zmienia się w ruinę.

On tego nie rozumie. Nie chce zrozumieć. Nie tylko nie zgadza się na mój plan – jest autentycznie zły. Wyżywa się na drzewie, uderza w nie pięściami, jakby to ono zawiniło.

– To cholerne szaleństwo – powtarza, chodząc w tę i z powrotem po trawie i rzucając gniewne spojrzenia wiewiórkom. – Wariactwo.

– Posłuchaj, Linus... – Próbuję mu wszystko wyjaśnić. – Muszę to zrobić.

– Nie wyjeżdżaj do mnie z takimi bredniami! – krzyczy. – Myślałem, że twoja terapeutka zakazała ci używać tego słowa! Podobno jedyna rzecz, którą „muisz” w życiu, to przestrzegać prawa grawitacji! Niczego się nie nauczyłaś? Co z życiem dniem dzisiejszym, a nie przeszłością? Zapomniałaś o tym?

Patrzę na niego, nie mogąc wykrztusić ani słowa. Słuchał mnie uważniej, niż sądziłam.

– Wcale nie musisz tego robić – mówi dalej. – Po prostu tego chcesz. A jeśli będziesz miała nawrót choroby? Co wtedy?

– Wtedy... – Wycieram twarz mokrą od łez. – Nie będzie nawrotu. Wszystko będzie dobrze. Może nie zauważyłaś, ale już mi lepiej...

– Nadal nosisz te pieprzone okulary! – wybucha. – Dalej ćwiczysz składające się z trzech zdań rozmowy z nieznanymi! I ty chcesz stawić czoło jakiejś agresywnej suce? Dlaczego w ogóle miałabyś jej poświęcać swój czas? To samolubna decyzja.

– Co? – Wstrząśnięta cofam się o krok. – Samolubna?

– Tak, samolubna! Wiesz, ilu ludzi próbuje ci pomóc? Czy wiesz, ilu osobom zależy na tym, żebyś wydobrzała? A tymczasem ty decydujesz się na taki wyczyn tylko dlatego, że „muisz”? Jeśli chcesz znać moje zdanie, to niebezpieczne. A kto potem będzie zbierał szczątki? Odpowiedz!

Kipi tak słusznym gniewem, że ogarnia mnie wściekłość. Co on wie o chorobie? Niby co, do cholery, wie o mnie?

– Nie będzie żadnych szczątków – odgryzam się. – Na litość boską, spotkanie z jedną dziewczyną w Starbucksie nie jest niczym niebezpiecznym. Zresztą nie zachorowałam z powodu żadnego konkretnego wydarzenia. To częsty błąd, który ludzie popełniają. Stresujące sytuacje nie wywołują choroby. Winny jest sposób, w jaki twój mózg na nie reaguje. No więc widzisz...

– Okej, a jak twój mózg zareaguje na tę stresującą sytuację? – wypala Linus z nie mniejszą wściekłością. – Odańczy taniec radości i zaśpiewa *Happy*?

– Da sobie radę – mówię szorstko. – Czuję się o wiele lepiej. A jeśli jednak z jakiegoś powodu sobie nie poradzi, to nie przejmuj się, bo wcale nie oczekuję, że będziesz „zbierał moje szczątki”. A tak w ogóle to wiesz co, Linus? Przepraszam, że sprawiłam ci już tyle kłopotów. Lepiej znajdź sobie kogoś innego. Kogoś, kto nie nosi okularów przeciwsłonecznych. Może idź do Tashy? Słyszałam, że jest superfajna.

Wstaję z wysiłkiem i próbuję utrzymać równowagę, co wcale nie jest łatwe, kiedy wszystko wokół zapada się i pochyla nad moją głową, która głośno protestuje.

– Audrey, przestań.

– Nie. Pójdę.

Łzy spływają mi po policzkach, ale nie przejmuję się tym, bo i tak nie patrzę na Linusa.

– W takim razie idę z tobą.

– Zostaw mnie – mówię i wrywam rękę z jego uścisku. – Zostaw mnie w spokoju!

W końcu poddaję się mojemu „gadziemu mózgowi”, chociaż cały dzień udawało mi się go ignorować. Rzucam się do ucieczki.

Najważniejsze, czego nie wolno mi robić po stresującym wydarzeniu, to rozmyślać o nim. Roztrząsać na wszystkie strony. Brać odpowiedzialności za emocje innych osób.

A wiesz, co robiłam po mojej kłótni z Linusem? Rozmyślałam o niej. Roztrząsałam na wszystkie sposoby. Wiele razy odtwarzałam ją w myślach. Czułam się odpowiedzialna za jego wybuch wściekłości (choć jednocześnie miałam do niego pretensje). Miotalam się między rozpaczą i oburzeniem. Co chwilę chciałam do niego zadzwonić. Porzucałam na zawsze myśli o rozmowie z nim.

Dlaczego nie rozumie? Sądziłam, że będzie podziwiał moją determinację. Łudziłam się, że powie coś o odwadze i zamknięciu pewnego rozdziału, a potem stwierdzi: „Masz rację, Audrey. To rzecz, którą naprawdę musisz zrobić, chociaż nie będzie ci łatwo, ale wesprę cię, stanę przy tobie”.

Ledwo spałam przez ostatnie dwie noce. Mój umysł jest jak kocioł, w którym wciąż coś się gotuje, bulgocze, wydała toksyczne opary i fermentuje, by wyprodukować jakąś dziwną miksturę. Jestem dziwnie pobudzona, odrealniona i beztroska. Ale też w pewnym sensie skupiona. Postanowiłam, że to zrobię, i czuję, że to będzie punkt zwrotny w moim życiu, a potem wszystko ułoży się zupełnie inaczej – nie wiem dokładnie jak, ale inaczej. Będzie tak, jakbym pokonała jakąś przeszkodę albo przekroczyła linię mety lub coś w tym rodzaju. Uwolnię się. Od czegoś.

A zatem krótko mówiąc, mam obsesję. Na szczęście mama i tata są zbyt zajęci Frankiem, żeby zwracać na mnie uwagę. Ich radar mnie nie wykrywa. Chodzi o to, że wczoraj wieczorem mama znalazła Atari w pokoju Franka i wszystko zaczęło się od nowa, więc kolejny raz weszliśmy w tryb pod nazwą kryzys rodzinny.

Kiedy schodzę na śniadanie, znowu wałkują ten temat.

– Tłumaczyłem wam milion razy, że to nie jest komputer – mówi spokojnie Frank. – To konsola Atari. Zakazaliście mi używać komputera. Według mojej klasyfikacji komputer to urządzenie, które jest w stanie przetworzyć informacje na wiele sposobów, do których zaliczam edycję tekstu, obsługę poczty cyfrowej i przeglądanie Internetu. Atari nie potrafi

żadnej z tych rzeczy, więc nie jest komputerem, a zatem nie nadużyłem waszego zaufania. – Wkłada do ust porcję płatków Shreddies. – Musicie doprecyzować wasze definicje. To jest prawdziwe źródło problemu, a nie moja konsola Atari.

Myślę, że Frank pewnego dnia powinien zostać prawnikiem. Odniósł miażdżące zwycięstwo w tej dyskusji, lecz trudno powiedzieć, żeby ten fakt ucieszył mamę.

– Słyszysz go? – mama apeluje do taty, który wygląda tak, jakby chciał się ukryć za gazetą. – Sęk w tym, Frank, że obowiązuje nas umowa. Umówiliśmy się, że nie będziesz grał w żadne gry komputerowe. Koniec, kropka. Zdajesz sobie sprawę z ich szkodliwego działania, prawda?

– Jezu! – Frank opiera czoło na dłoniach. – Mamo, to ty masz problem z grami komputerowymi. Zafiksowałaś się.

– Wcale się nie zafiksowałam! – Mama śmieje się szyderczo.

– Ależ tak! Nie umiesz już myśleć o niczym innym! Czy wiesz na przykład, że dostałem dziewięćdziesiąt pięć punktów z chemii?

– Dziewięćdziesiąt pięć? – Mama jest w szoku. – Naprawdę?

– Wczoraj próbowałem ci to powiedzieć, ale nie chciałaś mnie słuchać. Cały czas powtarzałaś tylko: „Atari! Zło! Nie chcę tego widzieć w moim domu!”.

Zdaje się, że te słowa trochę ostudziły emocje mamy.

– Och – mówi w końcu. – Hm... dziewięćdziesiąt pięć! Doskonale! Dobra robota!

– Na tysiąc – mówi Frank, ale od razu dodaje: – Żartuję! Żartuję.

Szczerzy do mnie zęby, ja też próbuję się uśmiechnąć, chociaż skręca mnie w żołądku. Po głowie tłucze mi się tylko jedna myśl: godzina trzecia, godzina trzecia.

Udało nam się umówić spotkanie w Starbucksie, chociaż Lawtonowie przysłali wiele SMS-ów z propozycjami „bardziej sprzyjającej lokalizacji”, takiej jak ich dom, pokój hotelowy albo gabinet psychologa Izzy. Tak, już to widzę.

Frank odpowiadał za korespondencję. Jest w tym fantastyczny. Odrzucił każdą z ich sugestii dokładnie w taki sposób, w jaki mógłby to zrobić tata, i nie podał im alternatywnego adresu e-mail, o który wiele razy

prosili. Jego wiadomości brzmiały identycznie jak taty.

To właściwie nawet zabawne. To znaczy, oni nie mają pojęcia, że korespondują z dwojgiem dzieciaków. Sądzą, że mama i tata też przyjdą na to spotkanie – że to będzie jakieś wielkie pojednanie rodzin. W ostatnim SMS-ie napisali, że mają nadzieję na „oczyszczające dla wszystkich doświadczenie”.

Jeśli o mnie chodzi, to wciąż nie mogę uwierzyć, że znowu zobaczę Izzy. Ale to prawda. Czeka nas wielki finał. Czuję się jak sprężyna, która wolno się skręca, napina, czeka...

Jeszcze tylko siedem godzin.

□ □ □

I nagle zostaje tylko siedem minut, a mnie naprawdę dopadają mdłości. W głowie mi huczy – ale nie z bólu, tylko z powodu nienaturalnie wyostrojonej percepcji. Ulica zdaje się rozjarzona bardziej niż zwykle. Głośniejsza. Surowa.

Frank zerwał się wcześniej ze szkoły, ale nic mu za to nie grozi, bo już skończyły się egzaminy, więc na lekcjach tylko siedzą i oglądają „edukacyjne” filmy na DVD. Idzie ze mną i opowiada o tym, jak na porannym apelu wybuchła panika, bo ktoś przyniósł do szkoły i wypuścił oswojonego szczura. Z jednej strony, mam ochotę warknąć: „Zamknij się! Daj mi pomyśleć!”, a z drugiej, jestem mu wdzięczna za tę próbę odwrócenia mojej uwagi.

Mam na sobie dżinsy, czarny T-shirt i czarne trampki. Poważny strój. Nie mam pojęcia, co Izzy włoży na tę okazję. Nigdy nie ubierała się szczególnie modnie – od tego była Tasha. Nie jestem nawet na sto procent pewna, czy ją poznam. To znaczy, nie minęło aż tyle czasu, ale mam wrażenie, jakby upłynęło pół życia.

Ale oczywiście od razu ją poznaję. Widzę ich przez szybę, chociaż oni jeszcze nas nie zobaczyli. Jej rodzice zdają się zatroskani, lecz siedzą z przyklejonymi do ust uśmiechami. No i sama ona. Izzy. Ma na sobie jakiś dziecienny T-shirt z różową lamówką i grzeczną spódniczkę. Co to może

znaczyć? Chce mi się śmiać. Ale... nie mogę.

Uśmiechnąć się też nie mogę. Czuję się tak, jakby po kolei opuszczały mnie wszystkie moce.

Kiedy wchodzę do kawiarni, odkrywam, że nie mogę też mówić. Jestem pusta, wydrążona. To stało się nagle, bez ostrzeżenia. Cała wewnętrzna siła, którą zbierałam, nakręcona sprężyna, bojowy nastrój i słowa... wszystko zniknęło bez śladu.

Czuję się mała i bezbronna.

Nie, nie mała. Jestem wyższa niż ona. Przynajmniej to mi zostało. Jestem wysoka.

Ale bezbronna. I milcząca. Tymczasem oni patrzą w naszym kierunku. W niemej desperacji ściskam dłoń Franka, a on odczytuje ten sygnał.

– Dzień dobry – mówi dziarsko, zmierzając w kierunku ich stolika. – Pozwolą państwo, że się przedstawię. Frank Turner. Państwo to zapewne pani i pan Lawton?

Wyciąga rękę na powitanie, ale nikt nie odpowiada na ten gest. Oszołomieni rodzice Izzy mierzą Franka wzrokiem.

– Audrey, spodziewaliśmy się twoich rodziców – mówi pani Lawton.

– Zatrzymały ich ważne sprawy – kłamie bez mrugnięcia okiem Frank. – Ja występuję w charakterze przedstawiciela rodziny.

– Ale... – Pani Lawton wygląda na nieco zagubioną. – Naprawdę sądzę, że wasi rodzice powinni... Sądziliśmy, że to będzie spotkanie naszych rodzin...

– Ja jestem przedstawicielem rodziny Turnerów – powtarza stanowczo Frank. Odsuwa krzesło i siadamy naprzeciw nich.

Lawtonowie patrzą na siebie niespokojnie i bezdźwięcznie poruszają ustami, dają sobie sygnały, unosząc brwi, ale po chwili się uspokajają i stają się jasne, że to koniec dyskusji o rodzicach.

– Kupiliśmy kilka butelek wody – mówi pani Lawton. – Ale może powinniśmy zamówić kawę, herbatę albo coś innego?

– Woda wystarczy – odpowiada Frank. – Przejdźmy do sedna, dobrze? Jak rozumiem, Izzy chce przeprosić Audrey, tak?

– Najpierw przedstawmy kontekst – proponuje z namaszczeniem pan

Lawton. – Podobnie jak wy, my też przeżyliśmy kilka miesięcy piekła. Pytaliśmy się nie raz: dlaczego? Izzy też zadawała sobie to pytanie. Prawda, kochanie? – Patrzy z poważną miną na Izzy. – Jak mogło dojść do czegoś takiego? A także, w pewnym sensie, co naprawdę się stało i czyja to była wina?

Kładzie dłoń na dłoni Izzy, a ja po raz pierwszy uważnie się jej przyglądam. Boże, ale się zmieniła. Nagle zdaję sobie sprawę z tego, że wygląda, jakby miała jedenaście lat. To aż nieprzyzwoite. Ma włosy związane w kucyk gumką z wiszącymi ozdobami, jak mała dziewczynka. No i ten jej dziecienny T-shirt z tasienkami! Patrzy na ojca okrągłymi, ufnymi oczami dziecka. Na usta nałożyła jakiś błyszczący o mdlącym truskawkowym zapachu. Czuję go aż stąd.

Przez cały czas ani razu na mnie nie spojrzała. Rodzice też od niej tego nie wymagają. Na ich miejscu zrobiłabym to już na początku. Kazałabym jej na mnie popatrzeć. Dostrzec mnie.

– Izzy odbyła trudną podróż. – Widać, że pan Lawton starannie przygotował swoją przemowę. – Jak wicie, na razie uczy się w domu i przeszła dosyć rygorystyczny program pracy z psychologiem.

„Ale jaja” – myślę.

– Jest jej jednak bardzo trudno dalej tak żyć. – Pan Lawton ściska dłoń Izzy, a ta patrzy na niego błagalnie. – Prawda, kochanie? Niestety, cierpi na depresję kliniczną.

Mówi to takim tonem, jakby jej depresja była ważnym atutem. Mamy jej bić brawo? Powiedzieć, że jest nam przykro? „Ojej, depresja – to musi być straszne”.

– I co z tego? – pyta zjadliwie Frank. – Audrey cierpi na to samo. – Potem zwraca się bezpośrednio do Izzy: – Wiem, co zrobiłaś mojej siostrze. Na twoim miejscu też wpadłbym w depresję.

Jej rodzice głośno wciągają powietrze, a pan Lawton unosi dłoń do głowy.

– Miałem nadzieję na bardziej konstruktywne podejście do tego spotkania – oświadcza. – Może zachowajmy obraźliwe uwagi dla siebie?

– To nie była obraźliwa uwaga! – protestuje Frank. – To prawda! A ja sądziłem, że Izzy zamierza przeprosić. No i gdzie te przeprosiny? – Stuka

palcem w rękę Izzy, a ta cofa ją, sapiąc nerwowo.

– Izzy ciężko pracowała ze swoją grupą terapeutyczną – informuje pan Lawton. – Napisała dla Audrey coś, co chciałaby teraz przeczytać. – Poklepuje Izzy po ramieniu. – Izzy stworzyła to podczas jednego z warsztatów poetyckich.

Poetyckich? Poetyckich???

Słyszę stłumione prychnięcie Franka, a Lawtonowie patrzą na niego z wyraźną niechęcią.

– To będzie trudne dla Izzy – oświadcza lodowato pani Lawton. – Jest bardzo wrażliwa i delikatna.

– Tak jak my wszyscy – dodaje pan Lawton, kiwając głową w moim kierunku i karcąc wzrokiem żonę.

– Tak, oczywiście – potakuje pani Lawton, ale nie wydaje się przekonana. – Prosimy więc, żebyście wysłuchali jej utworu w milczeniu, bez komentarzy. Potem możemy przejść do fazy dyskusji.

Nikt się nie odzywa, kiedy Izzy rozkłada plik kartek formatu A4. Nadal nie spojrzała mi w oczy. Nadal.

– Dasz radę, Izzy – szepcze jej matka. – Bądź dzielna.

Ojciec kojąco poklepuje ją po dłoni, a Frank ukradkiem pokazuje mi odruch wymiotny.

– *Gdy nadeszła ciemność* – zaczyna Izzy drżącym głosem. – Autorka: Isobel Lawton. I ogarnęła mnie ciemność. Szłam za innymi, chociaż nie chciałam. Słuchałam ich, chociaż nie chciałam. A kiedy patrzę wstecz, wiem, że życie sobie poplątałam...

Okej, jeżeli wybulili za ten warsztat poezji, to ktoś ich zdrowo naciągnął.

Słuchając jej słów, czekam na jakąś silną, instynktowną reakcję. Czekam, aż jakaś część mnie wybuchnie, okaże nienawiść, rzuci się na nią czy coś w tym rodzaju. Czekam na wielki moment – na konfrontację. Ta jednak nie nadchodzi. Nie mam parcia. Nie czuję potrzeby walki.

Już od chwili, gdy przekroczyłam próg kawiarni, to spotkanie przebiega zupełnie inaczej, niż oczekiwałam. Jestem pusta w środku, bezbronna i jakby gorsza. Nie wygrywam żadnej bitwy, kiedy siedzę i kurczowo ściskam brzeg stołu, nie mogę nic powiedzieć, a przez głowę



przemykają mi szybkie jak błyskawica, nerwowe myśli.

Ale chodzi o coś więcej – wygląda na to, że wcale nie miałabym z kim walczyć, prawda? Lawtonowie w ogóle nie są mną zainteresowani. Mogłabym powiedzieć, co chcę – oni i tak by nie słuchali. Po prostu zaaranżowali scenkę, w której Izzy przeprasza i jest bohaterką, a ja gram jedynie trzecioplanową rolę. I ja im na to pozwalam. Dlaczego im na to pozwalam?

Kiedy patrzę na pochyloną głowę Izzy, nagle zalewa mnie fala odrazy.

Nie spojrzysz na mnie – na pewno nie. Nie może. Bo mogłabym przebić tę bańkę.

Przypuszczam, że to jej sposób na pozbycie się winy. Cofnąć się w czasie i znów być jedenastoletnią dziewczynką, nosić kucyk, uczyć się w domu i pozwolić rodzicom wmówić sobie, że wszystko w porządku, naprawdę nie byłaś potworem dla słabszych od siebie, kochanie. To inni źli ludzie cię nie rozumieli. Ale wystarczy, że napiszesz wiersz i wszystko znów się ułoży.

Ni stąd, ni zowąd słyszę w myślach głos Linusa: „Dlaczego w ogóle miałabyś jej poświęcać swój czas?”

Dlaczego? Dlaczego marnuję dla niej mój czas? Co ja tu robię?

– ...ale złe moce osaczają mnie ze wszech stron, bez sympatii, jak choroba...

Izzy dalej mamrocze swoją tragicznie słabą nawijkę, od której już puchną uszy. Widzę, że zaraz zacznie kolejną stronę A4. Najwyższa pora się ewakuować.

Ściskam dłoń Franka, żeby dać mu sygnał, i wskazuję wzrokiem na drzwi. On unosi brwi, a ja zdecydowanie potakuję. Udaje mi się nawet wydać cichy, chociaż niezrozumiały dźwięk.

– Tak, musimy już iść – mówi Frank, wchodząc Izzy w słowo.

– Dzięki za wodę.

– Iść?

Lawtonowie wyglądają na kompletnie zbitych z tropu.

– Ale Izzy jeszcze nie skończyła czytać.

– I tak nie prowadzimy żadnej dyskusji.

– Spotkanie dopiero się zaczęło!

– To prawda – potakuje beztrosko Frank i oboje wstajemy. – Gotowa, Aud?

– Nie możecie wyjść, zanim Izzy nie skończy czytać swojego wiersza!

– Pani Lawton przyjmuje groźny ton. – Przepraszam, ale co to za zachowanie?!

Nagle odzyskuję głos.

– Naprawdę chcecie porozmawiać o zachowaniu? – pytam cicho.

Moje słowa działają niczym zaklęcie. Wszyscy milkną i siedzą jak sparaliżowani.

Dziwna rzecz – gwar rozmów nagle cichnie, jakby na chwilę cały Starbucks podchwycił aurę promieniującą od naszego stolika. Mina pana Lawtona zdradza, że przez sekundę rzeczywistość przeniknęła bańkę negacji, którą się otoczył, i otworzyła mu oczy, by mógł zobaczyć, kim naprawdę jestem. Jestem osobą, której wyrządzili to całe zło.

Tak, tamte złe rzeczy. Te, które zrobili. I powiedzieli. I napisali. Między innymi wasza córka w tym niewinnym kucyku. Właśnie ona.

Nie patrzę na Izzy. Po co marnować nawet tę energię, której wymagałoby poruszenie oczami w jej kierunku? Dlaczego miałabym na nią zużyć choćby mikrodżul energii?

Potem wychodzimy z Frankiem. Nie oglądamy się za siebie, nie rozmawiamy o tym spotkaniu, nie poświęcamy ani sekundy więcej na tę śmierdzącą kałużę gówna.

Teraz powinnam triumfować. Prawda? To znaczy, zdaje się, że odniosłam zwycięstwo. Chyba.

Tyle że po powrocie do domu czuję się całkiem pusta. Kiedy wyszliśmy ze Starbucksa, Frank tylko raz skomentował tę sytuację.

– Co za oszołomy – powiedział.

Potem zmienił temat i poinformował mnie, że wraca do szkoły na kółko techniczne, a kiedy przytuliłam się do niego i wymamrotałam mu w kołnierz: „Dzięki. Nie wiem, jak ci się odwdzięczę”, odparł:

– Nie ma sprawy. W piątek wybieram oba dodatki do pizzy. Zgoda?

Minęła siódma, a ja jestem sama w domu. Mama i tata wyszli na lekcję salsy. Nie mają pojęcia, co się stało. Czy to nie dziwne? Zrobiłam coś ważnego – spotkałam się z Izzy – a oni nic o tym nie wiedzą.

Wysłałam SMS-a do Linusa, żeby mu o tym powiedzieć. Przeprosiłam go za to, że tak na niego wsiadłam. Przyznałam mu rację – nie powinnam była tam iść, tęsknię za nim i bardzo, ale to bardzo chciałabym się z nim spotkać. Chcę, żeby było między nami tak, jak przedtem. Chcę, żeby mi rzucił nowe zwariowane wyzwanie. Chcę zapomnieć, że poszłam spotkać się z Izzy.

Uważam, że oboje mieliśmy rację. Ja – dlatego że nie dostałam nawrotu choroby i nie ma do zbierania żadnych szczątków. A on – dlatego że w ogóle nie powinnam była poświęcać tej dziewczynie mojego czasu. No. Kiedy odpisze, zaproszę go do domu i może wrócimy do tej drugiej rozmowy, którą odbyliśmy w parku.

□ □ □

To było dwie godziny temu, a on wciąż nie odpisał. Chyba milion razy sprawdzałam, czy działa sygnał wiadomości w moim telefonie, ale nic się nie zepsuło. Może jest zajęty czy coś?

□ □ □

Tyle że do dziesiątej wieczorem nadal nie odpisał. A on zawsze odpisuje na moje wiadomości. Nie później niż w ciągu godziny. Zawsze znajduje sposób, żeby to zrobić. Pisał do mnie w czasie lekcji, podczas kolacji z rodziną i w ogóle w każdych okolicznościach. Nie zdarza mu się nie odpisać. A jednak teraz nie pisze.

□ □ □

Jedenasta. Dalej nic.

□ □ □

Północ. Nic.

□ □ □

Minęła pierwsza w nocy i nie wiem, co robić. Nie mogę zasnąć. Nie mogę się nawet położyć. Oficjalnie poszłam do łóżka już trzy godziny temu, lecz nawet nie dotknęłam pościeli. Chodzę w tę i z powrotem po pokoju i próbuję poukładać myśli, ale wirują jak trąba powietrzna.

Zrujnowałam mój związek z Linusem. Nigdy nie odpisze. To koniec. Miał rację, że jestem samolubna. Nie powinnam iść na to głupie spotkanie. Po co to zrobiłam? Po co? Zawsze zrobię coś głupiego. Jestem głupią idiotką, nieudacznikiem, a teraz jeszcze zniszczyłam jedyną dobrą rzecz, jaka spotkała mnie w życiu. Linus mnie nienawidzi i nic na to nie poradzę. Wszystko skończone. I to moja wina. Głupia, głupia...

Moje myśli nabierają tempa, ja też chodzę coraz szybciej, szczypię się w ręce, szarpię skórę na przedramionach, próbuję... sama nie wiem, co. Nie rozumiem tego. Zerkam w lustro i doznaję szoku, widząc swój dziki wzrok. Czuję, jakby po całym ciele przebiegały mi wyładowania elektryczne, mam

w sobie więcej energii życiowej, niż jestem w stanie pomieścić, mój organizm jest przeciążony witalnością. Czy można wtłoczyć do organizmu za dużo życia? Bo właśnie tak się czuję. Ponadto wszystko działa za szybko – serce, myśli, stopy, przykurczone ręce...

Może powinnam wziąć jakieś lekarstwo. Ta myśl brzmi jak głos rozsądku szepczący mi do ucha. Tak. Oczywiście. Mam różne tabletki. Mam ich dużo.

Gmeram w mojej skrzynce z akcesoriami do sztuczek magicznych. W pośpiechu wysypuję na podłogę buteleczki i opakowania tabletek. Okej, mam – clonazepam. Może dwie. Albo trzy. Połykam je i czekam, aż wszystko się uspokoi. Ale mój umysł wciąż wrzeszczy, robi większy hałas niż motocykle wyścigowe na arenie. Nie mogę tego znieść. Nie znoszę siebie. Muszę uciec...

Nagle wpadam na nowy doskonały pomysł. Pójdę na spacer. Spalę nadmiar energii. Świeże powietrze na pewno dobrze mi zrobi. A po powrocie prześpię ten kryzys i – jak to mówią – rano wszystko będzie wyglądać lepiej.

# MOJA RADOSNA, CZUŁA RODZINKA

## SCENARIUSZ FILMOWY

### WNĘTRZE DOMU. ROSEWOOD CLOSE 5. DZIEŃ

Obraz trzęsie się, kiedy ktoś próbuje umieścić kamerę na wysoko położonej powierzchni. Gdy ta osoba się oddala, widzimy, że to Frank – znajduje się w swoim pokoju. Patrzy z bardzo zmartwioną miną prosto w obiektyw.

#### FRANK

To coś w ogóle działa? Okej. Cześć. Jestem Frank Turner, a to mój pamiętnik wideo. Moja siostra Audrey zaginęła. To jakiś koszmar. Dzisiaj rano, kiedy się zbudziliśmy, nie było jej w domu. Mama i tata są... (przełyka ślinę) Szukaliśmy jej wszędzie i do wszystkich telefonowaliśmy. Rodzice natychmiast zadzwonili na policję. Policjanci wykonują dobrą robotę, zachowują zimną krew. Ale...

Na chwilę zamyka oczy.

#### FRANK

Wciąż nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

Przez jakiś czas milczy i patrzy nieobecny wzrokiem.

FRANK

Obwiniają mnie o to, co się stało. To nie...

Żałośnie wzdycha.

FRANK

Nieważne. W każdym razie zaraz idziemy znowu jej szukać. Nie wiem, gdzie... to znaczy, sprawdziliśmy już wszystkie miejsca. Może w jakichś małych bocznych uliczkach? Ale mama mówi, że najpierw powinienem coś zjeść. Tak jakby komuś w tej chwili zależało na jedzeniu.

Znowu przeciągle wzdycha.

FRANK

Aha, powiedziałem im, co wczoraj zrobiliśmy. Musiałem. Audrey, jeżeli to oglądasz, naprawdę musiałem.

Długa pauza.

FRANK

Audrey, proszę, wróć i obejrzyj to nagranie.

Słysząc brzęczenie dzwonka u drzwi i Frank podskakuje, jakby wyrwany z transu.

FRANK

Poczekaj chwilę.

Wybiega z pokoju. Mija kilka sekund, po czym Frank wraca ze zwieszonymi ramionami. Towarzyszy mu Linus.

FRANK

(do kamery)

To nie ona. To Linus.

LINUS

(do Franka)

Przykro mi.

Niepewnie zerka w obiektyw kamery.

LINUS

Przykro mi.

Mama wchodzi zdecydowanym krokiem do pokoju. W jej oczach płonie determinacja, a z zachowania można wywnioskować, że jest bardzo pobudzona.

MAMA

Frank, właśnie przeglądamy jej rzeczy i muszę wiedzieć...



Zauważa Linusa i nagle milknie. Jej postawa wyraża wrogość.

MAMA

Och, to ty. Co ty tu robisz?

Linus jest zaskoczony jej negatywnym nastawieniem.

LINUS

Ja? Ja tylko... Frank powiedział mi o Audrey, więc...

MAMA

Wiesz, gdzie jest?

LINUS

Nie! Oczywiście że nie! Na pewno bym powiedział!

Nerwowo przełyka ślinę, nie wiedząc jak się zachować wobec tego wybuchu agresji, ale mówi dalej:

Wiem od Franka, że chciała się pani dowiedzieć, z kim Audrey się kontaktowała. Proszę bardzo. Wczoraj wysłała mi tego SMS-a, ale doszedł dopiero przed chwilą. Nie miałem pojęcia, że napisała do mnie.

Pokazuje jej telefon.

LINUS

To znaczy, nie wiem, czy to w czymś pomoże.

Mama uważnie czyta wiadomość, coraz bardziej podekscytowana.

MAMA

(do Linusa)

A więc ty też wiedziałeś o spotkaniu z Lawtonami? To był twój pomysł?

LINUS

Nie!

MAMA

Ale tu jest napisane, że rzucałeś jej „zwariowane wyzwania”.

Stuka palcem w wyświetlacz telefonu.

MAMA

Wyraźnie napisała, że chce od ciebie jakieś nowe „zwariowane wyzwanie”.

LINUS

(zaniepokojony)

To nie były tego rodzaju wyzwania. Chodziło o zagadywanie ludzi w Starbucksie i tego rodzaju rzeczy.

Mama sprawia wrażenie, jakby go nie słyszała.

MAMA

Czy to wyjście z domu w środku nocy było jednym z twoich „zwariowanych wyzwań”? Odpowiedz, Linus!

LINUS

Nie! Jak pani w ogóle może...

Szuka wsparcia u Franka.

LINUS

No powiedz, czy zrobiłbym coś takiego?

FRANK

Mamo, zastanów się, co mówisz.

Mama przechodzi do otwartego ataku.

MAMA

Wiem tylko tyle, że zanim ciebie poznała, była na prostej drodze do normalności. A teraz zaginęła.

LINUS

To niesprawiedliwe.

Z trudem zachowuje zimną krew.

LINUS

To bardzo niesprawiedliwe. Muszę już iść. Dajcie mi znać, jeżeli będę mógł jakoś pomóc.

Po wyjściu Linusa rozwścieczony Frank krzyczy na mamę.

FRANK

Jak mogłaś oskarżyć Linusa?!

Ze wszystkich ludzi wybrałaś akurat jego? W tym domu wszystko jest pochrzaniłone!

Mama nagle daje upust swojemu cierpieniu.

MAMA

Audrey zaginęła, Frank! Nie rozumiesz? Zaginęła! Muszę próbować wszystkich środków. Muszę brać pod uwagę każdą możliwość...

Milknie, bo w drzwiach staje zdyszany tata z telefonem w ręce.

TATA

Znaleźli ją. W parku. Spała. Ukryła się pod... Musieliśmy ją

przeoczyć...

Trudno mu się wysławić.

TATA

Mają ją.

Najdziwniejsze jest to, że tamtej nocy zgubiłam okulary przeciwsłoneczne, lecz wcale tego nie zauważyłam, dopóki tata się nie zdziwił:

– Audrey! Nie masz okularów!

Rzeczywiście. Moje oczy były kompletnie odsłonięte. Po raz pierwszy od wielu miesięcy. I dopiero tata musiał mi to powiedzieć.

Akurat siedzieliśmy na posterunku policji. Miła funkcjonariuszka Sinead źle nas zrozumiała – sądziła, że zgubiliśmy okulary już w budynku. Dostyc długo musieliśmy tłumaczyć, że wcale nie chcę ich odzyskać.

Naprawdę nie chcę. Radzę sobie bez nich. Świat wydaje się jaśniejszy, ale nie jestem pewna, czy to z powodu braku okularów, czy dlatego, że znowu biorę lekarstwa. Przynajmniej na razie. Doktor Sarah wygłosiła mi długi wykład o zagrożeniach związanych z odstawieniem lekarstw bez nadzoru specjalisty. Ostrzegła mnie przed zawrotami głowy (potwierdzam) i przyspieszonym biciem serca (potwierdzam) oraz wieloma innymi objawami, a potem kazała mi przysiąc, że nigdy więcej tego nie zrobię. Przysięgam.

Lekarstwa, które mi dała, ścięły mnie z nóg na tyle, że przez ostatnie dwa dni głównie spałam, ale wszyscy co chwila zaglądali do mojego pokoju. Domyślałam się, że chcieli sprawdzić, czy wciąż tam jestem.

Tata opowiedział mi o nowych piosenkach, które pisze, Frank pokazał mi mnóstwo filmów na YouTube, które przedstawiały różne techniki krojenia, siekania i szatkowania (już zaczyna trochę przynudzać), a Felix pochwalił się, że w szkole ściął włosy swojemu koledze Benowi, a ten się popłakał. Tata potwierdził tę historię, ale Felix upiera się, że Ben płakał ze szczęścia.

Najczęściej zagląda do mnie mama. Całe popołudnie spędziła ze mną na łóżku i odświeżyłyśmy sobie *Małe kobietki* – idealny film do oglądania z mamą, kiedy musisz zostać w łóżku, bo dziwnie się czujesz. (Jeżeli nie wiesz, o którym mówię, to chodzi mi o ten z Elizabeth Taylor).

Oglądając film, ozdabiałyśmy torebki z filcu, które wczoraj uszyłyśmy. To nowy konik mamy – kupuje robótki do samodzielnego uszycia i bawimy się w nie razem. Nie jesteśmy w tym szczególnie dobre,

ale... no wiesz. To miłe, relaksujące zajęcie. Nie przyświeca nam żaden wyższy cel. Mama po prostu siada na moim łóżku i spędzamy ze sobą czas. Nie rozgląda się czujnie po pokoju, nie szuka wskazówek pozwalających jej zajrzeć w głąb mojego umysłu. Sądzę, że nie potrzebuje więcej wskazówek. Wszystko już wie. A w każdym razie wie wystarczająco dużo.

Kiedy próbowałam przykleić do torebki aplikację w kształcie gwiazdki, zebrałam się na odwagę, żeby zapytać:

– Mamo, dlaczego nie wrócisz do pracy?

Mama zeszywniała. Starannie złożyła tasiemkę na pół i połączyła oba końce zszywaczem. Dopiero wtedy powtórzyła:

– Do pracy?

– Tak, do pracy. Od dawna nie byłaś w biurze. Od czasu, kiedy...

– Nie dokończyłam zdania.

– No cóż, był z tym pewien kłopot.

Zachichotała pod nosem.

– Wiem. Ale jesteś świetna w tym, co robisz. Zdobywałaś nagrody i nosiłaś fantastyczne marynarki...

Mama uniosła głowę i znowu się zaśmiała.

– Kochanie, do pracy nie chodzi się tylko po to, żeby nosić ładne marynarki. – Zamyśliła się. – No, w każdym razie, nie zawsze.

– To z mojego powodu siedzisz w domu, prawda? – drażyłam temat.

– Kochanie... – Mama westchnęła. – Uwielbiam z tobą przebywać. Nie zależy mi na tym, żeby być gdzie indziej.

– Wiem.

Przez jakiś czas milczałyśmy, tymczasem w filmie Jo odrzuciła oświadczyzny Lauriego, a ja jak zwykle żałowałam, że ich nie przyjęła.

– Mimo wszystko myślę, że powinnaś wrócić do pracy – powiedziałam. – W pracy nabierasz blasku.

– Blasku? – dziwi się mama.

– Tak. I stajesz się supermamą.

Niesamowicie się wzruszyła. Zamrugła i nanizała na tasiemkę kolejną kokardę, a potem powiedziała:

– To nie takie łatwe, Audrey. Musiałabym wyjeżdżać, pracować do późna, a ty zaczynasz nową szkołę...

– Razem zrobimy wszystko, żeby nam się udało – powiedziałam na tyle pewnie, na ile mnie było stać w tej chwili. – Mamo, nie ma sensu, żebym poczuła się lepiej, jeżeli sprawy nie zaczną się układać lepiej dla każdego z nas. Przecież ostatnio wszyscy przeżywaliśmy trudne chwile, prawda?

Całe przedpołudnie o tym myślałam. Łatwo byłoby po wyzdrowieniu beztrzesko trzasnąć drzwiami i zostawić mamę, tatę, Franka i Feliksa, żeby sami rozwiązyali swoje problemy. Nie można jednak być tak samolubnym człowiekiem. To, co się stało, odbiło się na wszystkich członkach rodziny. Powinniśmy zatem razem beztrzesko trzasnąć drzwiami i zamknąć pewien rozdział życia.

Frank mógłby bardziej radośnie zwieszać ramiona. Wyobrażasz to sobie?

Milcząc, oglądałyśmy dalej film. Nagle mama odezwała się takim tonem, jakby kontynuowała poprzedni temat:

– Doktor Sarah powiedziała mi, dlaczego odstawiłaś lekarstwa. Chciałaś mieć prosty wykres?

Od razu zepsuł mi się humor. Naprawdę myślałam, że uda nam się uniknąć rozmowy o lekarstwach. Mogłam się jednak spodziewać, że nie da się przed tym uciec.

– Chciałam być normalna – mamroczę i zalewa mnie fala gorąca. – No wiesz, normalna na sto procent. Bez lekarstw i innych wspomagaczy.

– Jesteś normalna. – Mama obejmuje dłońmi moją twarz, tak jak wtedy, gdy byłam mała. – Kochanie, z tygodnia na tydzień zachodzi wyraźna poprawa. Jesteś zupełnie inną dziewczyną. Sądzę, że wyzdrowiałaś już na dziewięćdziesiąt procent. A nawet na dziewięćdziesiąt pięć. Musisz do dostrzec.

– Ale ta zygzakowata krzywa mnie wykańcza – mówię sfrustrowana. – Dwa kroki w górę, jeden w dół. Jakie to męczące. Jakie powolne. Przypomina niekończącą się grę w węże i drabiny.

Mama popatrzyła na mnie tak, jakby miała się zaśmiać, a może zapłakać, i powiedziała:

– Audrey, takie już jest życie. Wszyscy znajdujemy się na zygzakowatej krzywej. Ja na pewno. Raz w górę, raz w dół. Całe życie.



Tymczasem Jo poznała profesora Bhaera, więc musiałyśmy obejrzeć ten fragment.

No a potem zmarła Beth. Wygląda na to, że życie sióstr March też ilustrowała bardzo zygzakowata krzywa zmian.

Wieczorem schodzę na parter i słyszę tatę, który mówi:

– Anne, zamówiłem nowego laptopa dla Franka. No. I już. Powiedziałem to.

Nie do wiary!

Skradam się, zerkam przez szparę w drzwiach i widzę, że mama niemal upuszcza na ziemię kubek.

– Nowego laptopa?

– Używanego. W doskonałej cenie. Poszedłem do Paula Taylora, bo u niego zdarzają się dobre okazje... – Tata milknie, widząc minę mamy.

– Anne, zrozum. Pamiętam, o czym rozmawialiśmy. Wiem, co myślisz. Ale dłużej nie wytrzymam tego napięcia w naszym domu. Frank ma rację, naprawdę potrzebuje Internetu do odrabiania lekcji. Ponadto może w każdej chwili wejść do mojej skrzynki pocztowej, a wiemy...

– Nie mogę uwierzyć, że po prostu poszedłeś i to zrobiłeś.

Mama kręci głową, ale nie krzyczy, jak się spodziewałam. Prawdę mówiąc, zdaje się niemal spokojna.

To dziwne i niepokojące. Nie jestem pewna, czy spokój mamy to dobry znak. Już chyba lepiej, żeby się wkurzyła i wyrzuciła z siebie potok słów.

– Czy to naprawdę tak źle, że Frank od czasu do czasu w coś zagra? – pyta odważnie tata.

– Och, sama nie wiem, Chris. – Mama pociera twarz. – Już niczego nie jestem pewna.

– Ja też. – Tata przyciąga ją do siebie i obejmuje. – W każdym razie kupiłem mu laptopa.

– Dobrze.

Mama ustępuje tacie, pozwala mu się przytulić i widzę, jaka jest zmęczona. Frank powiedział, że nigdy przedtem nie widział mamy w takim stanie, jak wtedy, gdy zaginęłam. Twierdził, że jakby poszarzała. A jej oczy zgasty, jakby wyczerpały im się baterie.

Nigdy nie zapomnę tego, co im zrobiłam. Ale nie dręcę się tymi myślami. Rozmawiałam o tej sytuacji z doktor Sarah i doszłyśmy do wniosku, że najlepiej wynagrodzę im cierpienie, jeżeli postaram się

odzyskać zdrowie. Będę łykać lekarstwa i myśleć pozytywnie.

– Pamiętasz tamte święta, kiedy oboje się rozchorowali? – pyta po chwili mama. – Mieli wtedy chyba dwa i trzy lata. Pamiętasz? Dostali biegunki i zabrudzili swoje skarpety na prezenty. Wszystko było usmarowane kupą, a my mówiliśmy: „Później będzie łatwiej”.

– Pamiętam.

– Sprzątaliśmy po nich i wciąż powtarzaliśmy, że kiedy dzieci podrosną, skończą się kłopoty. Pamiętasz?

– Tak.

Tata patrzy czule na mamę.

– Szkoda, że teraz problemy nie ograniczają się do kupy. – Mama nie może opanować śmiechu. – Oddałabym wszystko za kupę.

– Ja też marzę o kupie – mówi stanowczo tata, a mama dostaje takiej śmiechawki, że wyciera łzy z oczu.

Wycofuję się rakiem bez słowa. Gorąca czekolada może poczekać.

Jedynym brakującym elementem układanki zostaje Linus. Ale to ważny element.

Frank pokazał mi nagranie wideo, na którym mama sztorcuje Linusa w salonie. Gapiałam się z otwartymi ustami i nie mogłam to uwierzyć. Przede wszystkim nie wiem, jak mama mogła coś zarzucić Linusowi. Po drugie, nie uwierzyłam, że dopiero wtedy dostał moją wiadomość. Po trzecie, nie sądziłam, że jeszcze przyjdzie się ze mną spotkać.

A zatem mnie nie rzucił. Nie znienawidził. Nic nie zepsułam. Myliłam się niemal we wszystkim. Oglądając wideo drugi raz, poczułam wstyd. Widziałam, że mama czuła się jeszcze gorzej.

– Nie mam takiego głosu – powtarzała zgorziona. – I wcale tego nie powiedziałam... Powiedziałam?

– Właśnie że masz dokładnie taki głos – odpowiada Frank. – Szczerze mówiąc, masz jeszcze gorszy. Na filmie nie słychać wszystkiego.

Trochę się nad nią pastwił. Na co dzień mama nie ma takiego piskliwego, jędzowatego głosu.

– Muszę przeprosić Linusa – wzdycha mama.

– Ja też – dodaję szybko.

– I ja – mamrocze posepnie Frank.

– Co?

Obie z mamą zwracamy się w jego kierunku.

– Pokłóciliśmy się. O *Ziemię zdobywców*. Mówił o tym turnieju, a ja... chyba poczułem się zazdrosny.

Frank wygląda jak przerośnięty uczeń. Ma uwalane tuszem dłonie i żałośnie wpatruje się w swoje kolana. Jeszcze nie wie o laptopie. Chciałabym szepnąć mu o tym na ucho, żeby go pocieszyć, ale decyduję, że już dosyć zmalowałam za plecami rodziców. Przynajmniej na jakiś czas.

– Aha. – Mama znowu kipi energią. – Zatem wszyscy musimy przeprosić Linusa.

– Wszystko pięknie, mamo – mówię beznamiętnym tonem. – Tyle że już za późno. Rodzice Linusa emigrują. Właśnie dojechali na lotnisko. Straciliśmy naszą szansę.

– Co???

Mama odskakuje jak oparzona.

– Może jeszcze zdążymy dojechać na lotnisko. – Tata znacząco zerka na zegarek. – Które to lotnisko? Anne, pojedziemy twoim samochodem.

– Który lot? – dopytuje mama. – Audrey, znasz numer lotu?

Co jest z rodzicami? Chyba oglądają za dużo filmów z Richardem Curtisem, które rozmiękczają mózg.

– Nie ma go na żadnym lotnisku! – mówię. – To był żart. Chyba wiedzielibyście, gdyby Linus naprawdę miał się przeprowadzić za granicę?

– Och. – Mama traci rezon. – No dobrze. Przyznaję, że przez chwilę dałam się ponieść emocjom. W takim razie, co robimy?

– Zaproście go

□ □ □

Sytuacja jest dość zabawna. Kiedy Linus wchodzi do Starbucksa, cała moja rodzina czeka na niego przy dużym stole. Linus sprawia wrażenie totalnie wytrąconego z równowagi i przez chwilę boję się, że weźmie nogi za pas, ale wiesz, ucieczka nie jest w jego stylu. Mija mniej więcej pięć sekund i już rezolutnie podchodzi do nas, patrząc na wszystkich po kolei – szczególnie na mamę. Mnie zostawia sobie na koniec.

Potrzebuje mniej więcej pół minuty, żeby zauważyć.

– Twoje okulary!

– Właśnie.

Mimowolnie uśmiecham się od ucha do ucha.

– Kiedy...?

– Nie wiem. Po prostu pewnego dnia same mi spadły. No i już tak zostało.

– Linus – zaczyna mama. – Chcielibyśmy cię przeprosić. Frank, ty pierwszy.

– Sorry, że się wkurzyłem – mówi Frank i strzela buraka.

– Och. – Widzę, że Linus czuje się niezręcznie. – Hm... nie ma sprawy.

Po koleżeńsku stukają się pięściami, a potem Frank zwraca się do mamy:

– Mamo, teraz twoja kolej.

– Dobrze. – Mama lekko odkasłuje. – Linus, bardzo przepraszam, że wyładowałam na tobie moje zmartwienia i obawy. Zachowałam się absolutnie niewłaściwie. Wiem, jaki dobry jesteś dla Audrey, i mogę cię jedynie prosić o wybaczenie.

– Tak. Uhm. – Linus jest coraz bardziej zakłopotany. – Słuchajcie, wcale nie musicie tego robić – mówi, patrząc na wszystkich członków rodziny. – Wiem, że byliście pod wpływem silnego stresu.

– Ale i tak chcemy cię przeprosić. – Mamie nagle załamuje się głos. – Linus, bardzo cię lubimy. Nie powinnam na ciebie nakrzyczeć. To był trudny moment i jest mi bardzo przykro.

– Przykro! – powtarza po niej Felix, który do tej pory cały czas opychał się herbatnikami. – Musimy przeprosić Linusa. Przepraszam, Linus. – Promiennie się uśmiecha. – Przepraszam, Linus.

– Felix, nie zrobiłeś nic złego – protestuje Linus.

Widzę, że Felix przygląda się Linusowi, pochylając na bok głowę okoloną białym puchem jak kwiat dmuchawca. Wygląda tak, jakby próbował zrozumieć, co tu robimy.

– Mamusia ścięła ci włosy? – pyta takim tonem, jakby w końcu rozgryzł tę tajemnicę. – Płakałeś? Ben płakał ze szczęścia.

– Nie, Felix, nikt mi nie obciął włosów – odpowiada skonsternowany Linus.

– Ben płakał, bo był szczęśliwy – powtarza Felix.

– To tyle ode mnie – mówi mama. – Chris. Teraz ty.

Patrzy na tatę, a ten zdziwiony unosi głowę. Jestem pewna, że nie był przygotowany na to, żeby każdy z nas przeprosił w swoim imieniu.

– Ee... Tak, oczywiście. Podpisuję się pod tymi słowami. – Wskazuje na mamę. – Mogę powiedzieć dokładnie to samo. Rozumiemy się?

– Rozumiemy się – potakuje Linus, uśmiechając się pod nosem.

– Linus, chcielibyśmy dać ci prezent jako dowód naszej dobrej woli – mówi mama. – Coś niezobowiązującego. Może zaproszenie do teatru... albo do parku rozrywki? Sam coś wybierz.

- Mam wolny wybór? – Linus patrzy tajemniczo na mamę i tatę.
- Mogę wybrać, co zechcę?
- No, w granicach rozsądku! Coś niedrogiego...
- To, o czym myślę, nie jest drogie.
- Świetnie! – wyrywa się tata, a mama zerka na niego, marszcząc brwi.
- Chcę zagrać z Frankiem w eliminacjach do turnieju *Ziemi zdobywców* – sugeruje Linus. – Tego chciałbym najbardziej.
- Och... – Mama zmieszana patrzy na niego. – Naprawdę?
- Masz swoją drużynę – mówi oschle Frank. Nie patrzy na Linusa, co zdradza, że naprawdę się wzruszył.
- Chcę grać w twojej drużynie. Tamci mają rezerwowych. Nie potrzebują mnie.
- Ale my nie mamy drużyny! – wybucha Frank, a w jego głosie nagle daje się słyszeć głęboki żal. – Nie ma komputera, nie ma drużyny...
- Na razie – mówi tata, tryskając energią. – Na razie. – Szczerzy się do Franka jak szaleniec. – Na razie.
- Co? – Frank patrzy na niego obojętnym wzrokiem.
- Na razie nie masz komputera. – Tata mruga do niego, jakby kokietował ze sceny swoją publiczność. – Chcę cię tylko uprzedzić, żebyś miał oko na duży brązowy karton. I już nie włamuj się na moją pocztę.
- Jak to? – Frank zdaje się niemal pijany nadzieją. – Poważnie?
- Tylko pod warunkiem, że będziesz przestrzegał naszych zasad i nie robił scen, kiedy każemy ci przerwać grę – mówi mama. – W razie problemów komputer wyląduje za oknem. – Mama uśmiecha się z satysfakcją. – Wiesz, że potrafię to zrobić. Wiesz, że się nie cofnę.
- Co tylko chcecie! – Frankowi niemal odbiera mowę. – Zrobię wszystko, co chcecie!
- Będziesz mógł grać w tę swoją grę. – Tata zdaje się nie mniej podekscytowany niż Frank. – Czytałem o niej w „Sunday Times”. Wygląda na to, że *Ziemia zdobywców* to poważny biznes, prawda?
- Tak! – wykrzykuje Frank, jakby myślał: „W końcu!”. – W Korei została zaliczona do oficjalnych dyscyplin sportowych! A w Ameryce fundują stypendia dla graczy. Prawdziwe stypendia.

– Powinnaś przeczytać ten artykuł, Anne – mówi tata. – Ile można zgarnąć w turnieju? Sześć milionów dolarów? – Uśmiecha się do Franka. – Zamierzasz to wygrać?

– Nie mamy drużyny. – Nagle z Franka ulatuje powietrze. – Nigdy nie uda nam się jej stworzyć. Do eliminacji został już tylko tydzień.

– Ollie mógłby zagrać – proponuje Linus. – Jest niezły, jak na dwunastolatka.

– Ja też – dorzucam pod wpływem impulsu. – No wiesz, jeśli mnie chcecie.

– Ciebie? – pyta drwiąco Frank. – Ty jesteś do niczego.

– Zawsze mogę potrenować, no nie?

– Właśnie! – przyklaskuje mama. – Może trenować. A zatem postanowione. – Zerka na zegarek, a potem na Linusa i na mnie. – Teraz zostawimy was samych, żeby Audrey mogła... Żebyście mogli... – Nie kończy. – W każdym razie na pewno nie chcecie, żebyśmy cały czas tu siedzieli i wprawiali was w zakłopotanie!

Rzecz w tym, że nikt nie czuł się zakłopotany, dopóki nie wypowiedziała tego słowa. Teraz jednak oboje z Linusem czekamy w niezręcznej ciszy, aż wszyscy wstaną. Felix upuszcza ciastko i chce jeszcze jedno, tata znowu pochyla się nad wyświetlaczem swojego BlackBerry, mama tłumaczy Feliksowi, że więcej nie ma, i szczerze mówiąc, bardzo kocham moją rodzinę, ale jej członkowie czasami są niezmiernie denerwujący.

Czekam, aż wyjdą ze Starbucksa i zamkną za sobą szklane drzwi. Dopiero wtedy zwracam się w kierunku Linusa, patrzę prosto na niego.

– Wreszcie możesz się przywitać z moimi oczami – mówię łagodnie. – I co o nich sądzisz?

– Podobają mi się. – Uśmiecha się. – Szaleję za nimi.

Siedzimy i po prostu patrzymy na siebie. Czuję, że między nami zawiązuje się coś nowego, coś jeszcze bardziej intymnego niż wszystko, co robiliśmy do tej pory. Nasze oczy się spotykają. To najpotężniejszy rodzaj kontaktu.

– Przepraszam, Linus – mówię w końcu, z trudem odrywając od niego wzrok. – Powinnam wtedy cię posłuchać... Miałaś rację...



– Już dość. – Kładzie dłoń na mojej dłoni. – Powiedziałaś to. Ja też to powiedziałem. I wystarczy.

Coś w tym jest. Odkąd się odnalazłam, wysłaliśmy do siebie co najmniej trylion SMS-ów. (Tyle że mama nie może się o tym dowiedzieć, bo oficjalnie w tym czasie „odpoczywałam” i „nabierałam sił”).

– Czy to znaczy... że między nami wszystko dobrze?

– To zależy – odpowiada Linus, a ja mimowolnie czuję nagły przypływ strachu.

– Od czego?

Przez chwilę Linus patrzy na mnie z namysłem.

– Od tego, czy dasz radę zapytać tamtą blondynkę przy trzecim stoliku o drogę do cyrku.

Śmieję się tak, jak nie śmiałam się od wieków.

– Do cyrku???

– Słyszałaś, że do miasta przyjechał cyrk. Koniecznie chcesz pójść na przedstawienie. Zależy ci zwłaszcza na słoniach.

– Okej. Zrobię to. – Wstaję i żartobliwie dygając, zapowiadam: – Popatrz, zrobię to bez okularów! Użyję samych oczu!

– Wiem. – Unosi głowę i uśmiecha się. – Kocham je, ale chyba już ci to powiedziałem.

– Kochasz je?

Stroszę piórka z radości i dumy.

– Ciebie.

Coś mi ściska gardło. Linus patrzy mi prosto w oczy i nie mam cienia wątpliwości, co miał na myśli.

– Ja też – mówię zdławionym głosem. – Ciebie.

Zatapiamy się w swoich oczach. Jesteśmy niczym dwoje wygłodniałych ludzi opychających się ciastkami z kremem. Linus rzucił mi jednak wyzwanie i nie zamierzam się wykpić. O nie. Odwracam się więc i idę zawracać głowę tamtej blondynce. Kiedy z nią rozmawiam, ani razu nie patrzę za siebie. Ale cały czas czuję na sobie jego wzrok. Jest jak promyk słońca.

Mama kazała zrobić dla nas jednakowe T-shirty z nadrukiem. Nasza drużyna startuje pod nazwą Stratedzy, którą wylosowaliśmy z kapelusza, bo nie mogliśmy się zdecydować na żaden z zaproponowanych pomysłów.

Gdybyś teraz zobaczył pokój zabaw, z wrażenia spadłyby ci kapcie. Wygląda jak stacja kosmiczna. Ollie i Linus już wczoraj przywieźli do nas swój sprzęt, więc mamy dwa komputery stacjonarne (Olliego i taty – pożyczony od niego specjalnie na mecz kwalifikacyjny) oraz dwa laptopy. Każde stanowisko jest wyposażone w krzesło, słuchawki i butelkę wody, żebyśmy się nie odwodnili. W ostatniej chwili mama uzupełniła ten zestaw o pudełko pączków Krispy Kremes.

Każdy z nas mógłby grać w swoim domu i łączyć się z innymi przez Internet. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego. Ale mama stwierdziła: „Jeżeli to jest sport, to grajcie jak porządna drużyna”. Turniej odbywa się w sobotę rano, więc takie rozwiązanie dobrze się sprawdza.

Mama po raz pierwszy w życiu nagle zainteresowała się *Ziemią zdobywców*, więc przez cały tydzień wyjaśnialiśmy jej kwestie związane z bohaterami, poziomami i historią, odpowiadając na jej lamerskie pytania w rodzaju: „Dlaczego wszyscy w tej grze muszą być tacy brutalni i chciwi?”. W końcu Frank nie wytrzymał i powiedział:

– Mamo, to *Ziemia zdobywców*, a nie *Ziemia wolontariuszy na rzecz aktywnego rozwoju społeczności lokalnej*.

Nieco ją to zawstydziło.

Pograłam kilka godzin przez Internet i trochę się podciągnęłam w tej grze. Wiesz, daleko mi do Franka, ale nie zawiodę drużyny. Mam nadzieję. Prawdę mówiąc, chyba jestem nawet lepsza niż Ollie, który podczas pierwszego wspólnego treningu zapytał mnie, czy chodzę z Linusem, a kiedy potaknęłam, przez mniej więcej pół minuty wyglądał tak, jakby uleciało z niego powietrze, ale potem po męsku stwierdził: „Cóż, zawsze możemy być przyjaciółmi i partnerami sportowymi”. Słodziak z tego Olliego.

– Przyniosłem colę dla drużyny!

To tata, który właśnie stanął w drzwiach pokoju.

– Chris! – Mama marszczy brwi. – Kupiłam im wodę!

– Jedna cola nie zrobi im krzywdy.

– O Boże. Tylko na to popatrzcie. – Mama rozgląda się po pokoju, jakby dopiero teraz zobaczyła go pierwszy raz. – Widzicie to? Cola! Krispy Kremes! Komputery!

Wielka trójca rzeczy, wobec których czuje lęk i odrazę. Muszę przyznać, że trochę mi jej żal.

– Jesteśmy złymi rodzicami? Poważnie. Jesteśmy źli? – pyta tatę.

– Możliwe. – Tata wzrusza ramionami. – Pewnie tak. A co?

– Jesteśmy złymi rodzicami, Audrey? – Mama obraca się w miejscu, żeby na mnie spojrzeć.

– Czasem tak, czasem nie – odpowiadam ze śmiertelną powagą.

– Nie jesteśmy tacy źli, jak ci goście – mówi tata w nagłym przychywie inwencji i podaje mamie egzemplarz „Daily Mail”, który zapewne kupił, kiedy poszedł po colę. – Przeczytaj to.

Mama bierze gazetę i jej wzrok zachłannie pada na główny artykuł na pierwszej stronie.

– „Co dzień musimy ubierać się tak samo” – czyta. – „Matka sześciorga dzieci zmusza je do noszenia identycznych ubrań”. O mój Boże. – Kiedy unosi głowę, widzę, że zdecydowanie poprawił się jej humor. – Rzeczywiście, nie jesteśmy aż tacy źli! Słuchajcie dalej. Dzieci są wyśmiewane w szkole, ale ich matka, trzydziestodwuletnia Christy Gorringe, obstaje przy swoim. „Lubię, kiedy moje dzieci wyglądają podobnie”, twierdzi. „Materiał na ubrania kupuję w hurtowych ilościach”. – Mama z niedowierzaniem kręci głową. – Widzieliście ich?

Pokazuje nam gazetę, żebyśmy mogli zobaczyć zdjęcie przedstawiające sześciorgo smutnych dzieci w identycznych koszulkach w ciapki.

– To najlepsza rzecz, jaką dzisiaj usłyszałam! – Po chwili się mityguje: – To znaczy, biedne dzieciaki.

– Biedne dzieciaki – potakuje tata.

– Ale przynajmniej nie jesteśmy dla was tacy źli. – Stuka palcem w gazetę. – Przynajmniej nie każę moim dzieciom nosić identycznych ubrań w kiepskim guście. Zawsze mogło być gorzej.

Naprawdę nie wiem, co mama zrobiłaby bez „Daily Mail”.

# MOJA RADOSNA, CZUŁA RODZINKA

## SCENARIUSZ FILMOWY

### WNĘTRZE DOMU. ROSEWOOD CLOSE 5. DZIEŃ

Kamera (trzymana przez tatę) filmuje pokój zabaw, w którym walają się puste puszki po coli i butelki po wodzie.

Odwróceniem plecami do kamery Frank, Ollie, Linus i Audrey zdają się całkowicie zajęci grą w *Ziemię zdobywców*. Mama chodzi między nimi, zagląda im przez ramię, patrzy na ekrany i bez powodzenia próbuje śledzić przebieg rozgrywki.

FRANK

Bierz go! O Jezu!

Klika jak szalony, a na jego monitorze wybuchają eksplozje.

MAMA

(zaniepokojona)

Co to było? Który to ty?

LINUS

Ruszaj. Ruszaj!

AUDREY

Zostań między drzewami. Nieee! Ollie, ty ofermo.

Ollie z wypiekami na twarzy gorączkowo wciska przycisk myszki.

OLLIE

Przepraszam.

Mama nerwowo zwraca głowę to do jednego ekranu, to do drugiego.

MAMA

Zginąłś? Co się dzieje, kiedy giniesz? Jak możesz zostać w grze?

FRANK

Potraktuj skurwiela ogniem. Giń! A masz!

MAMA

(w szoku)

Frank!

Z głośników dobiega za pośrednictwem Skype'a stek przekleństw po rosyjsku.

FRANK

*Na kalieni, suka.*

MAMA

Co to znaczyło? To był dialog z gry?

LINUS

To po rosyjsku. Wolałaby pani nie wiedzieć, co znaczy.

MAMA

A więc ten ludzik jest Rosjaninem? Czy to ty, Frank?  
Wskazuje palcem na ekran.

MAMA

Bo mnie oni wszyscy wydają się tacy sami. Tobie też, Chris?

Kamera (wciąż w ręce taty) filmuje obraz na monitorze. Zbliżenie.

TATA (z offu)

Oczywiście że nie są tacy sami. Giń! Giń!

Nie wygraliśmy turnieju. Nie tylko nie wygraliśmy – ponieśliśmy totalną klęskę.

Sądzę, że mamą szczerze wstrząsnęła porażka. Założę się, że myślami już była na finałach w Toronto i widziała, jak odbieramy czek na sześć milionów dolarów, a ona króluje wśród rodziców wszystkich graczy.

– Jak to się stało, że was pokonali? – nie mogła się nadziwić, kiedy w końcu zrozumiała, o czym do niej mówimy.

– Po prostu byli lepsi – mruknął zniechęcony Frank. – Naprawdę dobrze grali.

– Wy też byliście bardzo dobrzy – gorliwie zapewnia nas mama. – Zabiliście mnóstwo ludzi. Zauważyłam, Frank, że masz świetną technikę. Prawda, Chris? Doskonałą technikę.

I jak tu nie kochać mamy? Od jakiegoś czasu zachowuje się tak, jakby *Ziemia zdobywców* była najważniejszą rzeczą w życiu.

– Czy ktoś ma ochotę na ostatniego pączka? – proponuje, ale wszyscy potrząsamy głowami.

Widok beczynnych komputerów i wałających się puszek po coli oraz unoszący się w powietrzu nastrój porażki wywołuje w nas przygnębienie. Mama chyba to zauważa, bo mówi głosem pełnym optymizmu:

– Mam pomysł! Chodźmy całą drużyną na obiad do restauracji, żeby uczcić udział w zawodach. Co powiecie na Pizzę Express?

– Fajnie. – Frank zdejmuje słuchawki i wyłącza laptopa. – A potem może zajrzę do pubu – dodaje jakby od niechcenia. – Ade powiedział, że mogę w weekendy pomagać w kuchni i trochę się tam pokręcić. Muszę pogadać z głównym szefem kuchni. Idę zadzwonić do Ade’a, żeby się umówić.

– Och... – Mama zdaje się nieco zdezorientowana. – Aha... Dobrze, Frank. Świetny pomysł! – Wychodząc z pokoju, zerka ukradkiem na tatę i zaskoczona szepcze do niego: – Dobrze usłyszałam? Frank stara się o pracę?

Tata jej jednak nie słyszy. Włożył na uszy słuchawki i zalogował się z Olliem do następnej rozgrywki *Ziemi zdobywców*.

– Tato, ty umiesz w to grać? – dziwię się.

– Och, trochę podłapałem od was i od innych – mówi i energicznie uderza palcami w klawisze.

– Ale z kim gracie?

– Z dwoma kumplami ze szkoły – odpowiada Ollie, którego gra tak samo wciągnęła. – Akurat byli w sieci, więc... Bierzmy tego!

– Mam go! – mówi zdyszany tata. – O kurde. Sorry.

Mama patrzy na niego zdegustowana.

– Chris, co ty wyprawiasz? – Stuka go ramię. – Chris! Mówię do ciebie! Słyszałeś, co powiedziałam o Franku?

– Uhm. – Tata na chwilę zdejmuje słuchawki. – Tak. Słyszałem. Daj mu szlaban.

Nie mogę powstrzymać chichotu. Nawet mama uśmiecha się pod nosem.

– Graj sobie dalej, duży dzieciaku – mówi. – Ale za pół godziny wychodzimy, okej? Za pół godziny. I nie chcę słyszeć wymówek, że jeszcze nie skończyliście gry.

– Dobrze – mówi tata. Brzmi zupełnie jak Frank. – Świetnie. Tak. Już nie mogę się doczekać. – Wściekle stuka w klawisze, a potem zwycięsko unosi pięści, gdy na ekranie pojawia się kolorowa eksplozja. – Giń, skurczybyku! Giń!



# MOJA RADOSNA, CZUŁA RODZINKA

## SCENARIUSZ FILMOWY

### WNĘTRZE DOMU. ROSEWOOD CLOSE 5. DZIEŃ

Kamera chwieje się. Ktoś próbuje ją postawić na podwyższeniu. Kiedy ta osoba się cofa, widzimy, że to Audrey w swojej sypialni. Waha się, a potem patrzy prosto w obiektyw.

#### AUDREY

To ja, Audrey. Widzimy się po raz pierwszy. Pewno wyglądam inaczej, niż sobie mnie wyobrażałeś. Mam ciemniejsze albo jaśniejsze włosy czy coś w tym rodzaju... Mniejsza z tym. Cześć. Miło cię poznać.

Przysuwa sobie krzesło i przez chwilę patrzy w obiektyw, jakby próbowała poukładać myśli.

#### AUDREY

Dużo o wszystkim myślałam. Wygląda na to, że mama chyba miała rację co do krzywej na wykresie. U wszystkich ma podobny, zygzakowaty przebieg. Nawet u Franka. Nawet u mamy. I u Feliksa. Zdaje się, że ja też doszłam do wniosku, że całe życie polega na tym, by wspinać się, a potem spadać i znowu się podnosić. I nieważne, że czasami jesteś w dołku. Liczy się to, żeby cały czas zmierzać mniej więcej do góry. Zawsze trzeba mieć nadzieję, że tak będzie. Mniej więcej do góry.

Następuje krótka pauza, a potem Audrey unosi głowę i promiennie się uśmiecha.

AUDREY

Nie mogę za długo mówić. Mam ważne spotkanie z...

Sięga po coś z podłogi i podnosi duże, płaskie pudełko z chromowanej stali.

AUDREY

Z tym! To prezent od mamy. Zestaw do makijażu. Zobacz.

Otwiera pokrywkę i dumnie pokazuje paletę cieni do powiek.

AUDREY

To jest mascara, a to... chyba podkład czy coś...

Robi śmieszny minę, oglądając podłużny, walcowaty przyrząd.

AUDREY

Nie mam pojęcia, do czego to może służyć. Ale mama na pewno mi pokaże. Wprawdzie idziemy tylko na pizzę, ale będzie tam też Linus, więc to taka niby randka, nie?

Kolejna pauza.

AUDREY

Myślę, że mama jest bardzo zadowolona, że odzyskałam oczy. Powiedziała, że kiedy się urodziłam, to była pierwsza rzecz, na którą zwróciła uwagę. Moje oczy. To cała ja. Oczy definiują człowieka.

Audrey przez kilka sekund bawi się pokrywką zestawu do makijażu, a potem zamyka pudełko i zwraca się prosto do kamery.

AUDREY

W każdym razie chciałam powiedzieć, że dobrze się bawiłam, kręcąc ten film. To znaczy, nie zawsze się bawiłam, ale ogólnie można tak powiedzieć. Wiesz. No. To dzięki za oglądanie, kimkolwiek jesteś.

Pauza – a potem twarz Audrey rozjaśnia piękny, szeroki uśmiech.

AUDREY

To już chyba wszystko. Wyłączam się.

Kiedy Audrey podchodzi, żeby wyłączyć kamerę, jej błękitne oczy wypełniają cały kadr. Audrey mruga kilka razy, a potem puszcza oko do kamery.

AUDREY

No to do zobaczenia.